



SZEŚĆ SCENARIUSZY WOJNY

**Czym się skończy
kontrofensywa Ukrainy**



**Szorstka przyjaźń
prezydenta Dudy
z prezesem Kaczyńskim**

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 38/494 19-25 WRZEŚNIA 2022 CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

SZATY KRÓLOWEJ

**– NA CZYM POLEGAŁ
STYL UBIERANIA SIĘ
ELŻBIETY II**



**Czy ja montuję bomby?
– rozmowa z Marcinem Rolą,
szefem telewizji wRealu24**

JUŻ PO „WINNETOU”

Lewacy nie ustają w niszczeniu kultury



ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 54 000 egzemplarzy

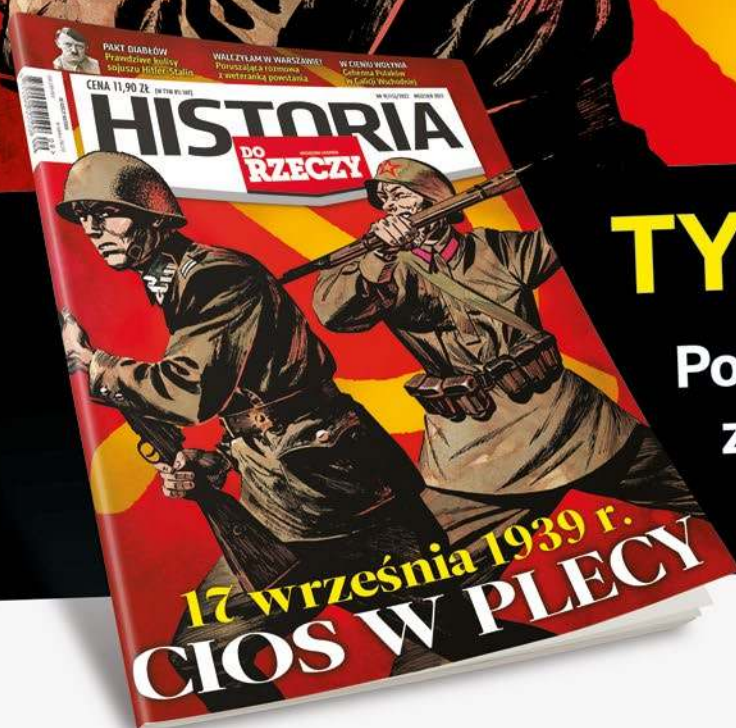


HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Poruszająca rozmowa
z weteranką Powstania
Warszawskiego



- Ian Ona Johnson – Diabelski pakt Hitler-Stalin
- Maciej Rosalak – Wojna Polski z Sowietami
- Tomasz Stańczyk – Zbrodnie 17 września
- Arkadiusz Karbowski – UPA kontra Węgrzy
- Piotr Zychowicz – Ludobójstwo Polaków w Galicji
- Sławomir Koper – Emila Plater bez retuszu
- Leszek Lubicki – Zamach stanu Piastów
- Rafał A. Ziemkiewicz – Paradoks Rockefellera

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Reductio ad Putinum

Występując w środę w Sejmie, prezes Jarosław Kaczyński stwierdził: „Ja wiedziałem, że tu jest agentura Putina, ale że tak liczna, nie”. Słowa te skierował do przedstawicieli opozycji, którzy wcześniej oskarżyli go dokładnie o to samo: o spiskowanie z Rosją.

Wzajemne oskarżenia o to, że jest się rosyjską agenturą, to prawdziwie polskie danie, chciałoby się powiedzieć – coś w rodzaju spécialité de la maison. Putin odgrywa w polskiej debacie dość osobliwą rolę: jest źródłem i wzorcem wszelkiego zła. Zastąpił w niej innych dziejowych niegodziwców i pełni taką funkcję, jak dla światowej lewicy Hitler. O ile na Zachodzie cała sztuka prowadzenia dyskusji polegała na tym, by przeciwnika – głównie chodziło o prawicę – ubrać w szaty zwolennika Hitlera i faszystu, o tyle polską odmianą jest posługiwanie się „Putinem”. Tak jak na Zachodzie powszechnie używa się „reductio ad Hitlerum”, w Polsce występuje „reductio ad Putinum”.

Prosto każdy, z kim się nie zgadzamy, zostaje natychmiast opatrzony łatką agenta Putina i na tym analiza i wymiana argumentów się kończy. Swoistą kwintesencją tego sposobu rozumowania były nieskończone długie wynurzenia gen. Piotra Pytla, byłego (całe szczęście!) szefa wojskowego kontrwywiadu, który dowodził, że PiS prowadzi politykę prorosyjską. Generał zaprezentował coś, co można spokojnie uznać za formę manii prześladowczej: rząd jest kontrolowany przez agentów Kremla, być może agentami są premier Mateusz Morawiecki i zapewne minister Michał Dworczyk, agentura krzewi się wszędzie, ze szczególnym uwzględnieniem instytucji Kościoła i harcerstwa,

a plan Trójmorza jest projektem rosyjskim. W spisku uczestniczą też Ordo Iuris i w ogóle wszyscy, którzy mają konszachty z PiS. Oczywiście, z drugiej strony, z nie mniejszą mocą swoją teorię o rosyjskiej operacji w Smoleńsku głosi Antoni Macierewicz. Także tu każdy, kto powątpiewa w zamach, staje się „pożytecznym idiotą Putina”. W ostateczności liczy się to, kto kogo głośniej i mocniej oskarży o zdradę.

Pierwszym skutkiem takiej formy debatowania jest pożegnanie z rzeczywistością. Gdyby wsłuchać się w głosy wielu polskich polityków i komentatorów, wyszłoby na to, że Rosja jest wręcz przepotężna. Kontroluje cały rząd i całe państwo. Jej agenci opletli praktycznie wszystkie najważniejsze dziedziny życia i sterują wszystkim. To o tyle ciekawe, że ostatnie miesiące pozwoliły tezę o skuteczności Kremla zweryfikować. Nie ma chyba wątpliwości, o czym świadczy przebieg działań na Ukrainie, że rosyjskie służby wykazały się indolencją i nieskutecznością. Nie tylko, że nie przewidziały nastrojów Ukraińców, lecz także nie potrafiły przejąć kontroli nad ośrodkami władzy w Kijowie. Dowodzą tego choćby masowe czystki w FSB. Okazuje się jednak, że te same służby, tak nieudolne na Ukrainie, potrafią od lat kontrolować polski rząd (wersja opozycji) lub przygotować najbardziej perfekcyjny zamach w dziejach świata (wersja władzy).

Po drugie, wytworzenie takiego stanu emocjonalnego – Rosja jest jedynym źródłem światowego zła – uniemożliwia polskim politykom ocenę sytuacji geopolitycznej. Wszystko jawi się jako starcie sił ciemności i światłości. Nie myśli się już o tym, jak zabezpieczyć interesy polskiego społeczeństwa, jak dbać

o jego korzyści, ale o eschatologicznej i ostatecznej rozprawie. Nieustannie trzeba dostosowywać się do najbardziej radykalnych postulatów. Instrumenty polityczne zostają zastąpione moralnym potępieniem. W takiej atmosferze łatwo podejmować ryzykowne posunięcia, które w efekcie uderzają w samych Polaków. Doskonałym przykładem była nieszczęsna decyzja o natychmiastowym embargu na import rosyjskiego węgla.

Wreszcie, po trzecie, polska opinia publiczna może być łatwo manipulowana. Im silniejsza emocja, tym trudniejsze racjonalne myślenie. Nieproporcjonalny strach bywa równie złym doradcą jak nadmierny optymizm. Jeśli ktoś wie, jak działa ten mechanizm, może skutecznie rozhuścić histerię. Wystarczy wskazać, że dany pogląd „jest na rękę Putinowi” lub że „powtarza tezy rosyjskiej propagandy”, i na tym dyskusja się kończy. Przecież swoje, odrębne od polskich interesy mają także nasi sojusznicy i partnerzy. Ryzyko nie dla wszystkich jest takie samo. Wydaje się choćby, że dla Polski, ze względu na bliskość teatru działań wojennych, jest ono wyższe niż dla innych.

W Polsce się tego nie chce dostrzegać. Dlatego nie ma w Polsce poważnej dyskusji na temat kosztów obecnego, bezwarunkowego poparcia dla Ukrainy. Dominuje inne podejście, doskonale wyrażone przez premiera Morawieckiego, zgodnie z którym utrata suwerenności Ukrainy jest jednoznaczna z utratą suwerenności Polski. Polska jest najgłośniejszym rzecznikiem najdalej idących sankcji. Nad społecznymi i gospodarczymi kosztami takiej polityki przechodzi się do porządku dziennego. ©©



TEMAT TYGODNIA

16 KRZYSZTOF MASŁOŃ

PIELENIE CHWASTÓW W LITERACKIM OGRÓDKU

Wycofywanie się z wydawania książek Karola Maya w Niemczech to cenzura idiotów

KRAJ

20 KAMILA BARANOWSKA

JAK PREZES Z PREZYDENTEM

Prezydent nic już nie musi. Ale może. I korzysta z tego, że to od niego zależą losy pomysłów PiS. A to doprowadza do szału Jarosława Kaczyńskiego

24 PIOTR SEMKA

PLATFORMA JEDNOOSOBOWA I BEZDYSKUSYJNA

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

GRA SMOLEŃSKIEM

28 ROZMOWA Z MARCINEM ROLĄ
CZY JA MONTUJĘ BOMBY?

30 TOMASZ ROWIŃSKI

DEMONTAŻ SZKOLNEJ KATECHEZY

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

JESIEŃ ŚREDNIOWIECZA DLA PIRATÓW

34 ZUZANNA DĄBROWSKA

CELEBRYCKIE OPARY ABSURDU

KULTURA

36 PIOTR SEMKA

SŁOŃCE LIZBONY I MGŁY BRUGII

Portugalskie malarstwo na wystawie w Paryżu

DODATEK SPECJALNY



43 WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI

JAK POLACY TWORZYLI GEOGRAFIĘ: NAJSŁYNNIEJSI POLSCY PODRÓŻNICY I ODKRYWCY

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

64 JAN FIEDORCZUK

PIS MĄDRY PO SZKODZIE

W ostatnich tygodniach PiS zdecydowanie zaostriżył kurs wobec Brukseli, najwidoczniej godząc się z tym, że żadnych pieniędzy z KPO nie zobaczy

66 MAREK JUREK

Z CZYM TOCZY SIĘ WOJNA?

HISTORIA

68 TOMASZ LENCZEWSKI

PAMIĘTNIKARSKIE NIEDYSKREJCJE

Pamiętniki wydane niedługo po śmierci ich autorów bywały powodem ostrych protestów, zwłaszcza ze strony potomków i rodzin osób opisanych w tych memuarach bez kurtuazji

ŚWIAT

74 MACIEJ PIECZYŃSKI

OPERACJA NIESPECJALNIE UDANA

Sześć scenariuszy wojny

78 TERESA STYLIŃSKA

NOWY PREMIER NA POLU MINOWYM

EKONOMIA

82 ŁUKASZ WARZECHA

NAJPIERW POSTAWMY NA POLAKÓW

Polemika z tekstem Rafała A. Ziemkiewicza o imigracji

STYL

86 JOANNA BOJAŃCZYK

(NIE)WSZYSTKIE SZATY KRÓLOWEJ

Elżbieta II potrafiła zaskoczyć

ZDROWIE

90 KATARZYNA PINKOSZ

WYLECZYĆ NAJTRUDNIEJSZĄ Z BIAŁACZEK

Rozmowa z prof. Sebastianem Gieblem, kierownikiem Kliniki Transplantacji Szpiku i Onkohematologii Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie, Oddziału w Gliwicach

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



WSPÓŁORGANIZATOR



TYGODNIK LISIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
 Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwiel,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkos, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Torajski, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
 Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
 Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Kamila Gala, **Zofia Magdziak**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Bugaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid Sieńkowski**,
Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),

Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

Fotoredykcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wemerowska**,

Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa

Odkładka: **AF Archive/Cinetext Bildarchiv/East News**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy


DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa
 listy i e-maile. Przypominamy, by
 korespondencję elektroniczną
 kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

**„Polowanie na
 prof. Roszkowskiego”,
 „DRz” 36/2022**

Szanowna Redakcjo,
 kilka zdań od stałego czytelnika.
 Skoro lewactwo urządziło tak jazgotliwą
 histerię wokół książki „Historia i teraźniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego, to
 musi to być pozycja bardzo wartościowa
 – pomyślałem. Udałem się do księgarni
 i kupiłem egzemplarz. Przeczytałem. Rewe-
 lacyjna! Wróciłem do księgarni i kupiłem
 jeszcze sześć egzemplarzy na prezenty
 na Gwiazdkę. Książkę, jako podręcznik
 trzeźwego myślenia, polecam nie tylko
 młodzieży, lecz także zainfekowanym
 poprawnością polityczną samorządow-
 com, celebrytom, nauczycielom i politykom.
 Pożytecznej lektury!

Jan Gać

Szanowny Panie Redaktorze,

w nawiązaniu do „Do Rzeczy”
 nr 36/2022, a dokładniej do artykułów
 dotyczących nagonki na podręcznik
 i osobę prof. Wojciecha Roszkowskiego,
 a także tekstu o homoseksualnych ko-
 miksach, chciałbym przytoczyć ciekawą
 analizę włoskiego intelektualisty, filozofa
 i autora poczytnych książek Umberto
 Eco, która, jak sądzę, właśnie odnosi się

do sytuacji obserwowanej od kilku lat
 w Polsce.

W znakomitej powieści „Wahadło
 Foucaulta” (wyd. PIW, 1993, wyd. pierw-
 sze, str. 234) pisze on: „Wypracowano
 koncepcję, że nowym podmiotem re-
 wolucyjnym będzie nie proletariatus, lecz
 zboczeńcy seksualni. Zamiast doprowa-
 dzać do zboczenia proletariatus, lepiej
 sproletaryzować zboczeńców [...]”.

Oczywiście powyższy cytat dotyczy
 sytuacji w powieści, ale jednocześnie
 z kontekstu wynika, że taką postawę
 przyjęły intelektualne, liberalne zachod-
 nie kręgi w latach pisania książki, czyli
 w drugiej połowie lat 80. zeszłego wieku.

Socjalizm/komunizm był wtedy już
 w rozsypce i proletariatus – tak dotąd
 modny na Zachodzie jako uciskana klasa
 – sam zdecydował o przejściu na „drugą
 stronę”. W Polsce na domiar złego nosił
 na sztandarach papieża. Przesłał więc
 nadawać się na ideologiczną pochodnię
 wyżej wymienionych kręgów. Sam pa-
 miętam, jak zachodnia młodzież nosiła
 na koszulkach Che Guevarę, Lenina
 i wielbiła przewodniczącego Mao. Teraz
 koszulki zmieniły się na tęczone i wielbi
 się ideologię LGBT, ochronę klimatu
 itd., itp. No cóż, młodzież szuka „rewo-
 lucyjnych podmiotów”, aby buntować
 się przeciw zastanemu porządkowi,
 a zawodowi ideolodzy doskonale to
 wykorzystują, szukając tą drogą władzy.
 Umberto Eco pewnie dzisiaj głęboko
 zastanowiłby się, czy warto tak napisać,
 ryzykując nagonkę i ostracyzm.

**Z poważaniem
 Leszek Sebesta**

Ekspertci naszego instytutu za grube
 granty zajmują się poszukiwaniem
 odpowiedzi na pytanie „ile ptci
 mieści się na Tęteu
 sepilki?”



C E Z A R Y 2 5 4 3 7 0 7 2

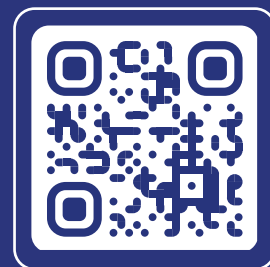
W4UA



SUMMIT

W4UA

WORLD FOR UKRAINE



7-9 grudnia 2022

G2A Arena, Rzeszów-Jasionka

www.w4ua.com

NA PIERWSZY OGIEŃ

Z ziemi niemieckiej do włoskiej



PIOTR SEMKA

Finałowa sesja obrad „drogi synodalnej” niemieckich katolików we Frankfurcie nad Menem zakończyła się w sposób, który zaszokował katolików w wielu krajach Europy. Przegłosowano postulaty zmian w czterech kluczowych sprawach – zmiany doktrynalnego podejścia do homoseksualizmu, do celibatu, do zakazu kapłaństwa kobiet, zmian w stosunkach pracy (chodzi o gwarancje praw w instytucjach kościelnych dla jawnych homoseksualistów i rozwodników). Zarządzono też tworzenie rad synodalnych, które mają gromadzić świeckich i kapłanów – faktycznie te ciała mają stać ponad episkopatem. Tylko dokument o zmianach w podejściu do etyki seksualnej nie zyskał wymaganej większości wśród biskupów. Teraz hierarchie mają zawieźć dokument do Watykanu jako swoiste ultimatum. To cały Kościół powszechny ma biedzić się, jak dostosować się do postulatów znad Renu, a nie na odwrót.

Gdy idea „drogi synodalnej” pojawiła się w Niemczech parę lat temu, uznawano, że będzie to sposób na odrodzenie się Kościoła

niemieckiego po serii skandali związanych z tuszowaniem molestowania seksualnego. Od początku było widać, że cały ten proces uchwycił w swoje dłonie Centralny Komitet Katolików Niemieckich (ZDK), który stanowi główną awangardę zmian i który grupował stronników daleko idących korekt nauczania katolickiego i doktryny.

Przerażeni skalą ataków na Kościół w mediach biskupi zaakceptowali tę dziwną formułę „drogi synodalnej”. W prezydium synodalnym jest aż 94 członków ZDK, ale np. niemieckie ruchy odnowy i wspólnoty katolickie reprezentowane są tylko przez trzy osoby.

Biskupi ulegli presji świeckich rewolucjonistów i sprzyjających im mediów. Podeptano przyjętą wcześniej zasadę, że dokument musi uzyskać poparcie kwalifikowanej większości dwóch trzecich głosów biskupów. Gdy okazało się, że 21 z 67 biskupów nie poparło dokumentu, to mimo to przewodniczący episkopatu, zwolennik zmian – bp Georg Bätzing – zapowiedział, że i tak zostanie on przesłany Stolicy Apostolskiej.

Swoistemu szantażowaniu moralnemu biskupów pomagają

miały obradowanie przy włączonych kamerach i faktyczny nastrój sejmiku w najgorszym tego słowa znaczeniu. Zwolennicy zmian jawnie deklarowali w czasie dyskusji, że to sami niemieccy katolicy powinni dojść do zmian w doktrynie przy nieoglądaniu się na resztę Kościoła powszechnego.

Partykularny kierunek, jaki przyjęły obrady „drogi synodalnej”, wywołał niepokój nawet u papieża Franciszka. Efekt? Opracowano dokument końcowy, który prowadzić musi do realnej schizmy. Kościół katolicki w kraju naszych zachodnich sąsiadów znalazł się w najgłębszym kryzysie być może od czasu reformacji. Cała sprawa powinna być ostrzeżeniem przed tymi publicystami nad Wisłą, którzy absolutyzując kwestię skandali związanych z molestowaniem seksualnym w Kościele, łączą ją z szumnymi manifestami o „końcu Kościoła, jaki znacie”.

Problemy, jakie zasygnalizowały grzechy ludzi Kościoła, były i są realne, ale wykorzystuje się je bez skrępowania do wypaczania zasad depozytu wiary. Nad Wisłą schematy destrukcji nauczania Kościoła mogą być bardzo podobne. ©

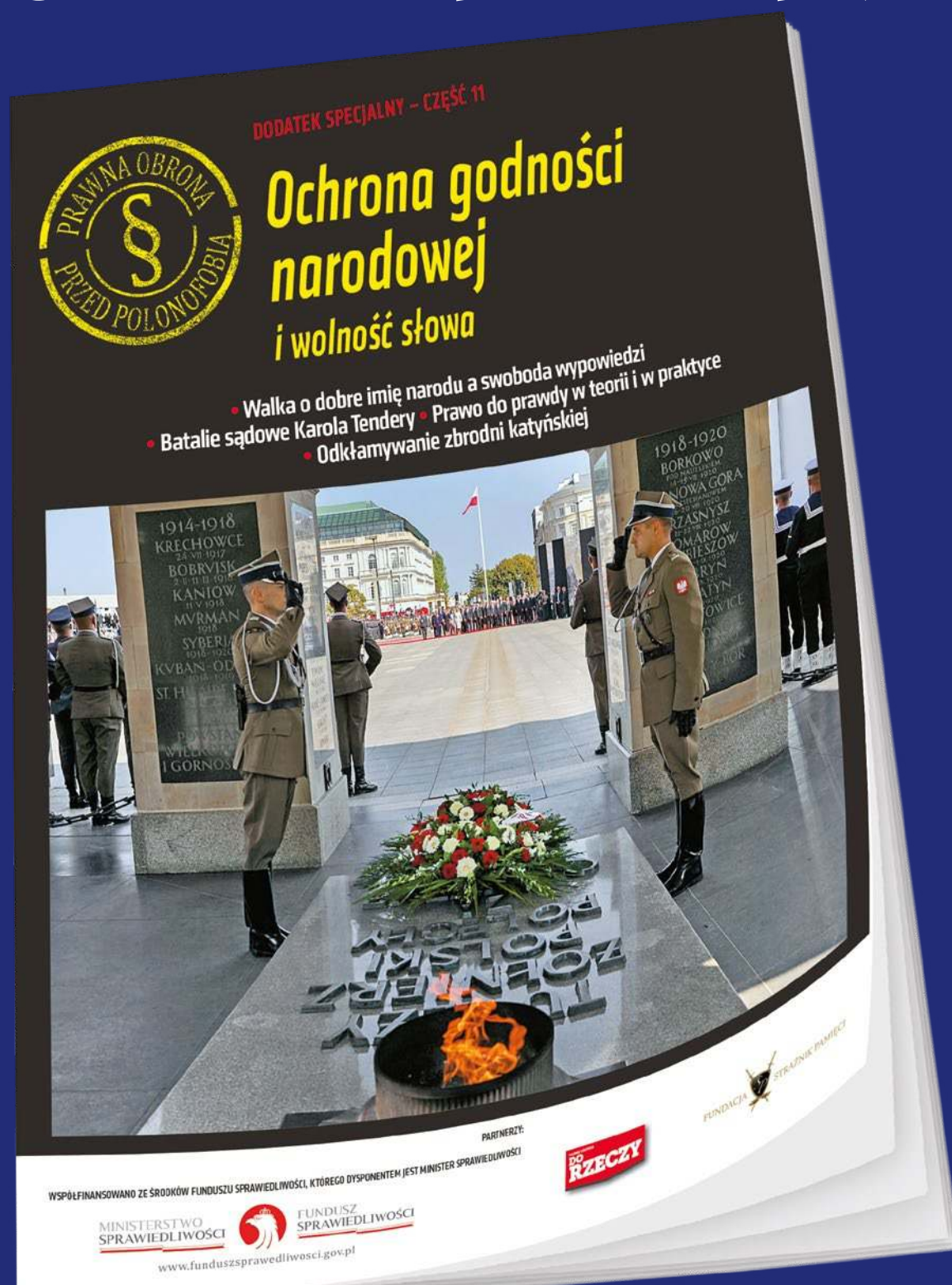


FOT. PAP/ADAM WARSZAWIA

KANAL
JUŻ GOTOWY

Tuż przed oficjalnym uroczystym otwarciem kanału żeglugowego na Mierzei Wiślanej (zaplanowanym na 17 września, już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”) przepłynęła przez niego pierwsza jednostka – 60-metrowy wielozadaniowy statek „Zodiak”, będący własnością Urzędu Morskiego w Gdyni. Przekop Mierzei Wiślanej rozpoczęto w 2019 r. Kanał pozwoli przepływać z Zatoki Gdańskiej na Zalew Wiślany statkom o zanurzeniu do 4,5 m, długości do 100 m i szerokości do 200 m. (luz) ©

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl ad6fdee2f1



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Koniec sielanki

Od chwili rosyjskiej napaści na Ukrainę, a ściślej – od chwili, gdy okazało się, że Rosjanom nie pójdzie tam łatwo, zarówno międzynarodowe organizacje żydowskie, jak i rząd Izraela z dnia na dzień zrobiły się dla Polski bardziej miłe. Gdzieś nikł temat osławionej „ustawy 447” i „odszkodowań za Holocaust”, urwały się dywagacje na temat tego, co Polacy wysysają z mlekiem matki, za to pojawił się nowy ambasador, czyniący pod naszym adresem miłe gesty.

Wyjaśniałem już na naszych łamach ten fenomen zmianą geopolityczną: ponieważ nasz region, a Polska szczególnie, okazał się ważny dla USA, zaczęło być bardziej opłacalne zaprzyjaźnić się z nami niż nas kopać. Swoje znaczenie ma też zapewne

fakt, że Władimir Władimirowicz, hojnie sponsorujący najbardziej zajadłych tropicieli „polskiego antysemityzmu” za pośrednictwem swego przyjaciela Władysława Mojżesza Kantora, zaczął mieć pilniejsze wydatki i sprawy.

A jednak, ciężka, wieloletnia praca nad skłóceniem Polaków z Żydami i wmówieniem światu, że jesteśmy kolejnym krajem, który trzeba „zdenazyfikować”, choć spowolniła, to nie została przerwana. Dowodem publikacja „Times of Israel” o tym, jak to Polacy mają czelność domagać się od Niemców reparacji za Żydów, których sami wymordowali. Tekst jest tak nikczemny, tak kłamliwy (oparty oczywiście na „autorytecie” Jana Tomasza Grossa) i tak odrażająco głupi, że opublikowanie go przez

poważny portal wydawałoby się po prostu niemożliwe. Ale taka jest właśnie symetria w debacie polsko-żydowskiej: u nas głupie, agresywne i antysemickie teksty publikowane są w mediach Leszka Bubla i głoszone przez ludzi pokroju Piotra Rybaka czy Olszańskiego „Jabłonowskiego”. A u nich analogiczne trafiają do mediów głównego nurtu.

Co zrobią polskie MSZ i rząd, żeby zmusić medium, które coś tak obrzydliwego upowszechniło, do przeprosin? Rzecz nie jest prosta, bo Żydzi, jak wiadomo, przepraszać i odszczekiwać nie mają zwyczaju, choćby nie wiem co. Ale odpuścić nie wolno, bo będzie to znak, że nadal jesteśmy tym przysłowiowym pochyłym drzewem, na które skakać jest łatwo i się opłaca. ©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Jedyne takie referendum

Nie ma sensu zaprzeczać, że większość Polaków (kierując się czymś, co określiłbym jako syndrom pokomunistycznej traumy i konsumpcyjnego głodu) chciała wstąpienia do Unii Europejskiej. Stwierdzenie tego faktu to nie powód jednak, by nie przypominać, jak tę decyzję przeprowadzono. Było to bowiem głosowanie bardzo różne od innych. Dość przymierzyć do niego dwa „standardy demokratyczne”, określone potem przez Trybunał Konstytucyjny i Krajowe Biuro Wyborcze za rządów Platformy. TK w 2011 r. uznał, że dwudniowe wybory byłyby niezgodne z konstytucją. Dwa lata później (więc ciągle dobry rocznik!) Krajowe Biuro Wyborcze

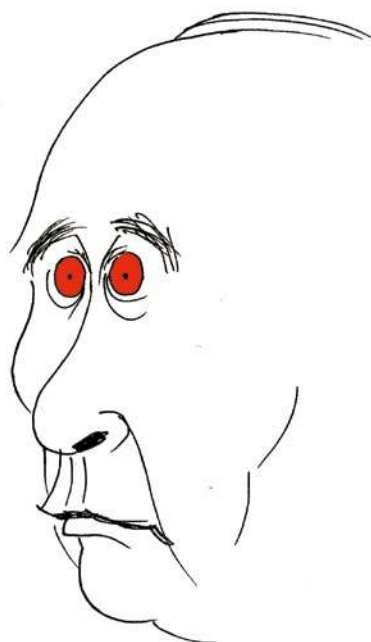
uznało za sprzeczne z prawem informowanie o frekwencji podczas referendum w sprawie odwołania z urzędu prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Podawanie frekwencji i wydłużanie wyborów uznawano bowiem za świadomą presję frekwencyjną, co w wypadku referendum (w odróżnieniu od wyborów) przesądza ich ważność, więc pośrednio wynik. W wypadku referendum europejskiego jego organizatorzy zrobili wszystko, by uzyskać zamierzony i określony; nawet nie udając bezstronności. Jeśli tak rzadko podaje się to jako przykład demokracji sterowanej, to tylko dlatego, że takie działania miały za sobą szeroki consensus prounijnych liderów. Wobec ich

zgody równoprawność wyborców (szczególnie tych będących w spodziewanej mniejszości) schodziła na dalszy plan.

Warto zastanowić się, jaka filozofia polityczna stała za taką formą głosowania. Nie rządów narodu, który problemy rozstrzyga, ale jedynie demokracji jako władzy sprawowanej za przyzwoleniem narodu. Historycznie taką demokrację określano jako „plebiscytną” i uznawano za jedną z form autorytaryzmu, urzeczywistnioną najpełniej we francuskim Drugim Cesarstwie. A w czasach współczesnych tak właśnie, w pierwszych latach Unii Europejskiej, rodziła się neoliberalna demokracja, której dzisiejsza UE stanowi model doskonały. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wszystko przebiega
zgodnie z planem...Wszystko przebiega
zgodnie z planem...Wszystko przebiega
...

C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O komediantach

W Italii już nikt nie pyta, kto wygra wybory 25 września. Przedmiotem rozważań są jedynie rozmiary klęski, która czeka lewicową Partię Demokratyczną i jej nieudolnego wodza, byłego premiera Enrica Lettę. Może dlatego w luźnej atmosferze kampanii wyborczej, która już niczemu nie służy, bo wiadomo, kto wygra, jej protagoniści opowiadają żarty i głupoty rozmiarów kosmicznych.

Berlusconi raczy anegdotą, w której wyskakuje z jedynym spadochronem ze spadającego samolotu, przechytrzając współpasażerów: papieża, Bidena i Putina. Odgrzał też starą opowieść o tym, jak to w 2008 r. uratował świat przed wojną, przekonując swego przyjaciela Putina, żeby nie

anektował Gruzji. Jednak narrację wzbogacił o nowy element. Rzekomo potem na Kremlu Putin i rosyjska generalicja złożyli hołd Berlusconiemu, bo dzięki jego inicjatywie wiele dzieci będzie nadal miało swoich ojców. Ubolewał przy tym, że dziś nie ma już takich mężów stanów jak drzewiej, a wystarczyłaby jedna wspólna misja duetu Berlusconi – Merkel, żeby zakończyć wojnę na Ukrainie.

Z kolei Enrico Letta alarmuje, że obecna ordynacja wyborcza, która pozwoli zwycięzcy, czyli centroprawicy, dzięki 45–48 proc. głosów otrzymać dwie trzecie miejsc w parlamencie, jest niedemokratyczna i sprzyja powstaniu dyktatury. Ale to właśnie Partia Demokratyczna, której Letta przewodzi,

wprowadziła tę ordynację w 2017 r., gdy wydawało się, że lewica śpiewająco wygra wybory. Filozofia Kalego kłania się w pas.

Co więcej, Letta chcąc pokazać, jak bardzo na sercu leżą mu ekologia i kryzys energetyczny, w ramach kampanii wyborczej wyruszył w podróż po kraju dużym elektrycznym busem. Wyborcom wehikuł skojarzył się z karawanem pogrzebowym. Prześmiewcy natychmiast uznali, że pojazdem podróżują dwa polityczne trupy: Partii Demokratycznej i Enrica Letty. Co więcej, pojazd w połowie drogi na wiec do Turynu zatrzymał się, bo zabrakło prądu, i Letta się szpetnie spóźnił. Jak wiadomo, polityka i sport nieudolności i pecha nie wybaczą. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

DLACZEGO NIC
NIE MÓWI?

Prezenter telewizyjny Tomasz Kammel rzadko opowiada o swoim życiu prywatnym. Jednak ostatnio zagościł w Kanale Sportowym u Krzysztofa Stanowskiego, który słynie z zadziornych pytań. I zapytał Kammela o to, o czym od dawna wszyscy plotkują, czyli o jego orientację seksualną.

– Chcę zapytać ciebie wprost, bo ludzie pytają też na czacie o takie rzeczy. Czy ty ukrywasz swoją orientację czy nie ukrywasz? – wypalił do Kammela. – Nie ukrywam mojej orientacji. Nie zajmuję się moją orientacją publicznie, natomiast nic nie ukrywam. Wiem, że od lat, nie wiem w sumie dlaczego, ale to są już ponad dwie dekady, ciągle trwają spekulacje na temat tego, czy ja jestem homoseksualistą czy nim nie jestem. Głównie w branży, bo poza branżą to nie jest taki temat. Powtórzę jeszcze raz, że ja nie jestem homoseksualistą. Natomiast gdybym nim był, to byłbym z tego dumny i korzystałbym z faktu, że tak jest, na rzecz troski – bo nie chcę mówić walki – o lepsze życie ludzi, którzy mają tak jak ja, czyli taką orientację – odparł Kammel. I tłumaczył, że jego zdaniem plotki biorą się głównie z tego, że „nie gada o tym”. – Nic tak nie wzmacnia autorytetu jak milczenie. Gdy jestem atakowany w prasie czy w mediach, zazwyczaj nie mówię. Po co nakręcać coś, co i tak za chwilę przestanie istnieć, a przez mój komentarz będzie tylko trochę dłużej istniało? – stwierdził. Rany, jak dobrze, że nie wszyscy celebryci tak myślą. Inaczej cały show-biznes poszedłby z torbami!

TRIUMF DODY

Doda triumfuje! Nie, nie na rynku muzycznym, ale w sądzie. A dokładniej w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu, który uznał, że Polska naruszyła jej prawo do wolności słowa. Chodzi o dawną sprawę z 2012 r., gdy Doda została przez polski sąd skazana za obrazę uczuć religijnych. Wcześniej w jednym z wywiadów stwierdziła bowiem, że „bardziej wierzy w dinozaury niż w Biblię” i „trudno wierzyć w coś,



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

co spisał jakiś napruty winem i palący jakieś zioła” człowiek. Sprawa trafiła do prokuratury, potem do sądu. Był wyrok, Doda dostała karę grzywny w wysokości 5 tys. zł. A potem postanowiła się poskarżyć do Europejskiego Trybunału, który to uznał, że wyrok polskiego sądu łamie Europejską Konwencję Praw Człowieka. I tak oto Polska musi zapłacić Dodzie 10 tys. euro! Nie powinna przyjąć tych pieniędzy. To tak w ramach zadośćuczynienia za muzyczne krzywdy wyrządzone społeczeństwu polskiemu.

NIEŁATWY LOS
PERFEKCYJNEJ

Małgorzata Rozenek-Majdan po latach dopięła swego i została prowadzącą „Dzień dobry TVN”. Niestety, na razie więcej jest krytyki pod jej adresem niż pochwał, ale może się jeszcze rozkręci. Na razie bowiem cały program wisi na jej partnerze Krzysztofie Skórzyńskim, który robi to po prostu dobrze. Perfekcyjna bardzo chce mu dorównać, więc stara się, jak może. Myślała, że zabłyśnie przy okazji tematu ścielenia łóżka (sic!).

W końcu kto, jak nie ona, która latami pouczała Polaków, jak należy sprzątać, będzie ekspertem od domowych porządków! Tymczasem okazało się, że Rozenek nie poradziła sobie z tym arcytrudnym zadaniem. – Nie możesz być szybszy ode mnie! – krzyczała zrozpaczona do Skórzyńskiego, gdy na wyścigi mieli nawlec poszewkę na kołdrę. – Nawet „Perfekcyjna pani domu” nie wszystko wie – skwitował współprowadzący. Na szczęście Małgorzacie udało się zrehabilitować. Zdołała bowiem samodzielnie złożyć prześcieradło z gumką! Twarz zachowana, kamień z serca. Biedna Perfekcyjna Pani Domu. Nie spodziewała się zapewne, z jak wielkimi wyzwaniem przyjdzie jej się mierzyć w tej śniadaniówce!

TA OKROPNA
POPULARNOŚĆ

Dagmara Kaźmierska to gwiazda programu „Królowe życia” – reality show, w którym ona i jej inne koleżanki pokazywały swój wystawny amerykański styl życia. Wkrótce okazało się, że pani Dagmara ma nieciekawą przeszłość, bo siedziała w więzieniu, ale potem się zmieniła i teraz pięknie sobie żyje w Ameryce. Niedawno jednak program zawieszono, a teraz wyszło na jaw, że pani Dagmara nie zamierza kontynuować swojej kariery w show-biznesie, bo ma dość popularności. – Zmęczyła mnie telewizja, popularność, ludzie, nie chcę tych pieniędzy, nie chcę napadania przez ludzi, którzy się nachylają, pluja mi jedzeniem do buzi [...]. Nie rozumiem, że ja nie jestem małpą w klatce, jestem też normalnym człowiekiem – żaliła się. – Dlatego odeszłam. Mnie już w telewizji nie zobaczycie. Chyba że mi się coś stanie. Dzisiaj nie, koniec – oznajmiła. – Moją najgorszą decyzją było pokazanie w „Królowych życia”, gdzie ja mieszkam. Nigdy nie wiedziałam, jakie to konsekwencje za sobą pociągnie – dodała na koniec przestraszona. No tak, brać udział w reality show, którego głównym założeniem jest pokazywanie życia uczestników, a potem dziwić się, że wszyscy wszystko o niej wiedzą. Następnym razem niech poprosi o umowę w formie obrazkowej. Może to pomoże? ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, dowiedzieliśmy się, iż w szkole według ministra Czarnka ma być obecny przedmiot o nazwie „biznes i zarządzanie”. Jest to kapitalistyczno-neoliberalna indoktrynacja osobodzieci, której musimy powiedzieć stanowcze no pasarán!

Agenci - spiochy w Polsce nieco zapali, ale starają się szybko nadrobić stracony czas...



Przed wszystkim dlaczego, w ramach wolności sumienia, nie ma alternatywnego przedmiotu pod nazwą „wyuczona bezradność” dla tych, którzy nie mają ochoty być przedsiębiorczy, nie wyznają kultu pieniądza i biznesu? Szkoła powinna o to zadbać. A co z biznesowymi agnastykami? Czy dla nich nie powinno być odrębnych zajęć pod hasłem: „nie wiem, czy biznes istnieje, ale jeśliby istniał, to...”?

No i w ogóle powiedzcie, czego dobrego się takie dziecko na podobnych lekcjach nauczy? Zakładania firmy? No to w pakiecie także wyzyskiwania pracowników, nieposzanowania środowiska, zakładania fabryk na obrzeżach Trzeciego Świata i zatrudniania w nich osobodzieci do zrywania azbestu z dachów.

A w przypadku zarządzania? Przecież zarządzanie to wymysł fashystofski, zakładający istnienie podległości, negujące egalitarność stosunków w miejscu pracy. Zarządzanie to nic innego, jak mówienie innym, co mają robić, i wymuszanie tego. Zarządzanie, kochani, to po prostu przemoc.

I właśnie dzięki tym prostym zabiegom logiczno-erystycznym udowodniliśmy, iż pisowska szkoła ma uczyć agresji i przemocy w neoliberalnym duchu.

Mamy w tym kraju poważne problemy z nadmiernym spożywaniem produktów pochodzenia zwierzęcego oraz ze skąpstwem, a zatem sumując oba te czynniki, widzimy wyraźnie, w jakim januszowym grajdole my żyjemy.

Wnioski te wyciągamy na podstawie wyników badania, wedle którego jeden Polak na trzech szuka w sklepach promocji na mięso, a tylko trochę mniej na olej, masło i margarynę.

Skoro jeden na trzech, pomyśleliśmy, a nas w kolektywie jest sześcioro, to oznaczałoby, iż przynajmniej dwie osoby spośród nas szukały w ostatnim czasie taniej karkówki. Ze świadomością tego poczuliśmy się bardzo nieswojo. No bo wiadomo – jeden to Nowy z Tarnowa. Ale kto drugi? Kolega gej? Były supervisor Fabian? Bo że nie my, redakcja, to wiadomo.

No i kiedy zebraliśmy kolektyw celem rozpatrzenia problemu, kolega gej się po prostu przyznał, zalewając się łzami, iż tak, to on, był w wakacje u osób płodzących, one chciały urządzić mu gryla, bo

to w końcu syn pierworodny zajechał z wielkiego ośrodka, trzeba go godnie ugostić, a w Polsce B to, wiadomo, godnym ugoszczeniem jest gryl, wódka i Zenek z głośnika.

No i ten biedny kolega gej został wysłany do lokalnych sklepów z zadaniem zorganizowania na tę biesiadę karkówki z promocji, bo wiadomo, że musi być godnie, ale nie może być za drogo. Pocieszyliśmy bardzo serdecznie naszego frenda, daliśmy mu kielków sushi na detoks, a jednocześnie się ucieszyliśmy, mając świadomość, iż to jednorazowa akcja i w kolejnym badaniu statystyki dotyczące poszukiwań taniego mięsa radykalnie spadną.

Chyba jakieś błędy i chochliki wkradły się wielu wiodącym redakcjom w zeszłym tygodniu, iż widzieliśmy tytuły artykułów sugerujące, jakoby osoba przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen czy też premiera Finlandii Sanna Marin przyznają rację Polsce.

Of kors, nie czytamy więcej niż tytuły artykułów, iż kto by więcej pamiętał, ale zakładamy, iż to na pewno jest błąd, prawda? Spokojnie więc poczekamy do przyszłego tygodnia na normalne tytuły, które nie będą u nas powodować dysonuansu, dyskomfortu i dysmemorii. © ©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Szlag by tę Ankę trafił

Michał, weź tam zaciągnij zasłonę do końca, muszę przecież normalne światło włączyć. Może ci po prostu przyniosę trzecią świeczkę, Mati?

Zwariowałaś? Przecież sam ustaliłem przedział: po dwie

świeczki na dobę. Mnie to też obejmuje. Ale już nie mogę tak ślepić. Włącz ten duży żyrandol. Ale tu ciepło u ciebie jest.

No ile mogę siedzieć w tych 17 stopniach? Szlag by tę Ankę trafił. Złośliwie o tym powiedziała, teraz wszyscy tak musieli ustawić. Stopy mam lodowate, ale muszę tak mieć, jak ludzi przyjmuję. Pod wieczór sobie podkręcam.

Ja mam inaczej. Kazałem wyciąć w biurku zakryć i ustawiłem tam farelkę. Przynajmniej w nogi ciepło.

E, to i tak nic. Ela sobie kupiła na fotel matę elektryczną. A oficjalnie ma w gabinecie 12 stopni. Na sali plenarnej ma być 10 stopni. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Idealne byłoby podwójne zwycięstwo – Ukraińcy pokonają Rosję, a Polacy PiS”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Jednym ze skutków przemysłu na pustkowiu, znaczy długiego urlopu naczelnika państwa, jest odwilż w relacjach z Węgrami. Tak słyszeliśmy. Bo na ruską agresję wystarczy pomoc z Ameryki, a z agresją brukselską musimy sobie radzić sami. Pod pięknymi rozłożystymi gałęziami drzew naczelnik myślał nie tylko o zmianie prezesa TVP.

Tymczasem na kierunku niemieckim. Jak wiadomo, mamy nowego ambasadora w Berlinie. To Dariusz Pawłowski. Pisaliśmy o jego kandydaturze w marcu. Jak widzicie, nasze hasło to już nie „tomorrow news today”. Półroczne wyprzedzenie bardziej nas zadowala.

Media ekscytują się wiadomością, że Niemcy wysłał na Ukrainę dwa pojazdy opancerzone Mars II oraz 50 Dingo. Znając niemiecką szczodrość wobec Kijowa, wolelibyśmy się najpierw upewnić, czy nie chodzi przypadkiem o psy dingo. Mogłyby ciągnąć wózki z niemieckimi hełmami.

Z kolei kanclerz Olaf Scholz wykorzystał obecność w Poczdamie złego Donalda z Sopotu, by oświadczyć, że inni źli ludzie chcieliby rewizji granicy polsko-niemieckiej. To niby w kwestii reparacji. Akurat Scholz powinien w tej kwestii milczeć. Tak się składa, że Berlin – i na jego polecenie Bruksela – w relacjach z Polską od ładnych kilku lat ciągle przekraczają kolejne granice. Na przykład przyzwoitości.

Od razu uspokajamy – powołanie do rządu na wicka Janusza Kowalskiego to nie jest ta zapowiadana jesienią rekonstrukcja rządu. Wiewiórki mówią, że rekonstrukcja może okazać się prawie zimowa, gdyż najlepszy termin na wymienianie ministrów to połowa grudnia, kiedy i tak wszyscy myślą o świętach. No i to ostatnia chwila, żeby nie było mowy, że się coś zmienia tuż przed wyborami.

Wracając do Polski i do Kowalskiego. Ponownym wejściem do rządu dołącza do długiej listy seryjnych ministrów, czyli ludzi, którzy z zawodu mogą pracować w każdym resorcie. Bez wątplenia jego powrót doda rządowi kolorytu. Janusz posiada bowiem opinię na każdy temat, a najsilniejsza z nich to ta, że należy te opinie głośno wypowiadać.

Przypominamy więc maksymę amerykańskiego pisarza Harlana Ellisona: „To nieprawda, że każdy ma prawo do swojej opinii. Ma prawo do uzasadnionej opinii”.

Życia elit. Jolanta Pieńkowska, znana pani z tefauenów o ustach zaciśniętych jak dłoń Brukseli na szyi Polski, okazała się rasistką. Komentując karierę Jeremy’ego Sochana w NBA, ogłosiła bowiem, że „fajnie byłoby zobaczyć w NBA Polaka, ale takiego od nas”. Osobom postronnym wyjaśniamy, że według Pieńkowskiej Sochan nie jest „od nas”, gdyż urodził się w USA, wychowywał w Anglii, a jego kolor skóry podpowiada, że godzien jest miana Afropolaka. Czekamy niecierpliwie, aż wieści o poglądach Jolanty dotrą do wierchuszki koncernu Discovery. To lepsze niż podatki Kraśki.

Ośławiony wywiad byłego szefa wojskowego kontrwywiadu w „GazWybie” odbił się szerokim echem nawet wśród ludzi służb związanych z minionym reżimem. Musimy jednak rozczarować gen. Pytla – echa te są dalekie od entuzjastycznych. Najłagodniejsze opinie, jakie słyszeliśmy, to: „Pie...i jak potłuczony” oraz „Tomasz Piątek polskiej generalicji”. Teza Pytla o PiS jako piątej kolumnie Putina broni się

słabo, a nawet się nie broni. Bo wynika z niej, że Polska, wspierając Ukrainę ze wszystkich sił, działa na korzyść Rosji.

Ale skoro już o Pytlu i Kremlu. Wiewiórki opowiadają, jak za czasów jego rządów przy ul. Oczki po korytarzach siedziby SKW ruscy przechadzali się jak po własnej chałupie, a rozmaite trunki lały się strumieniami. Ważny niuansik: akcja de facto miała miejsce nie przy Oczki, tylko przy Koszykowej, bo właśnie tam urzędował Pytel. To tak dla niepoznaki, bo adres pocztowy rzeczywiście to Oczki.

Nas jednak takie tajne przez poufne zupełnie nie dziwi. Dwie różne ulice jako siedziba służby specjalnej to pikuś. Wszyscy pamiętają słynne rozmowy w tajnym ośrodku Departamentu I, czyli w Magdalence. Mało kto wie, że Magdalena nie znajduje się w Magdalence, ale parę kilometrów dalej, w miejscowości Sękocin Las. Nawiasem mówiąc, dziś ten ośrodek nie jest już we władaniu Agencji Wywiadu, lecz Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Nie wiemy jednak, czy gen. Pytel w ogóle zdawał sobie z tego sprawę. Mawiają przecież o nim, że Pytel nie wie, co to strach, nie wie, co to trwoga, a tak w ogóle to niewiele wie.

Bylebysmy niesprawiedliwi, gdybyśmy nie napisali, że jeden z byłych szefów służb nie wsparł Pytla. I to publicznie. Uczynił to były szef CBA Paweł Wojtunik, noszący od czasów służby w policji dumne miano „Gazor”. I u niego za kołnierz nie wylewano. Mielśmy okazję obejrzeć pozostałości barku „Gazora”. To, co wzbudziło w nas prawdziwy podziw, to ręcznie rzniete szklanki do whisky z logo CBA. Oraz ich pojemność. W taką szklankę wchodziła bowiem bez problemu butelka trunku. Jesteśmy w posiadaniu jednego egzemplarza, choć do tej pory nie mieliśmy go szansy użyć. Picie szlachetnych trunków z wiaderka jest jednak ponad nasze siły.

To dobra okazja, by odpowiedzieć na postulaty naszych czytelników, którzy pytają, dlaczego nie skomentowaliśmy jeszcze tezy Eine Totalopposition, że niedługo PiS zakaże seksu dla przyjemności. Powiemy więcej – PiS zakaże także picia dla przyjemności. Dowody w tej sprawie za tydzień. ©©

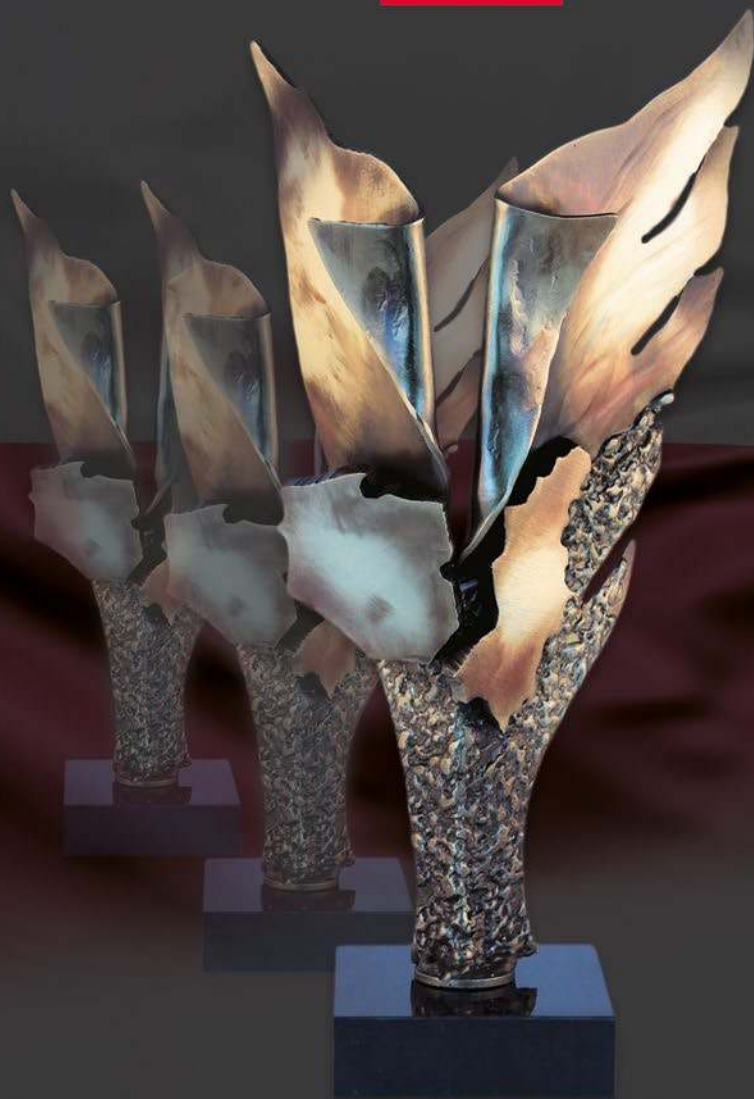
dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



TYGODNIK LUDSKOŚCI
**DO
RZECZY**

HISTORIA
DO
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY



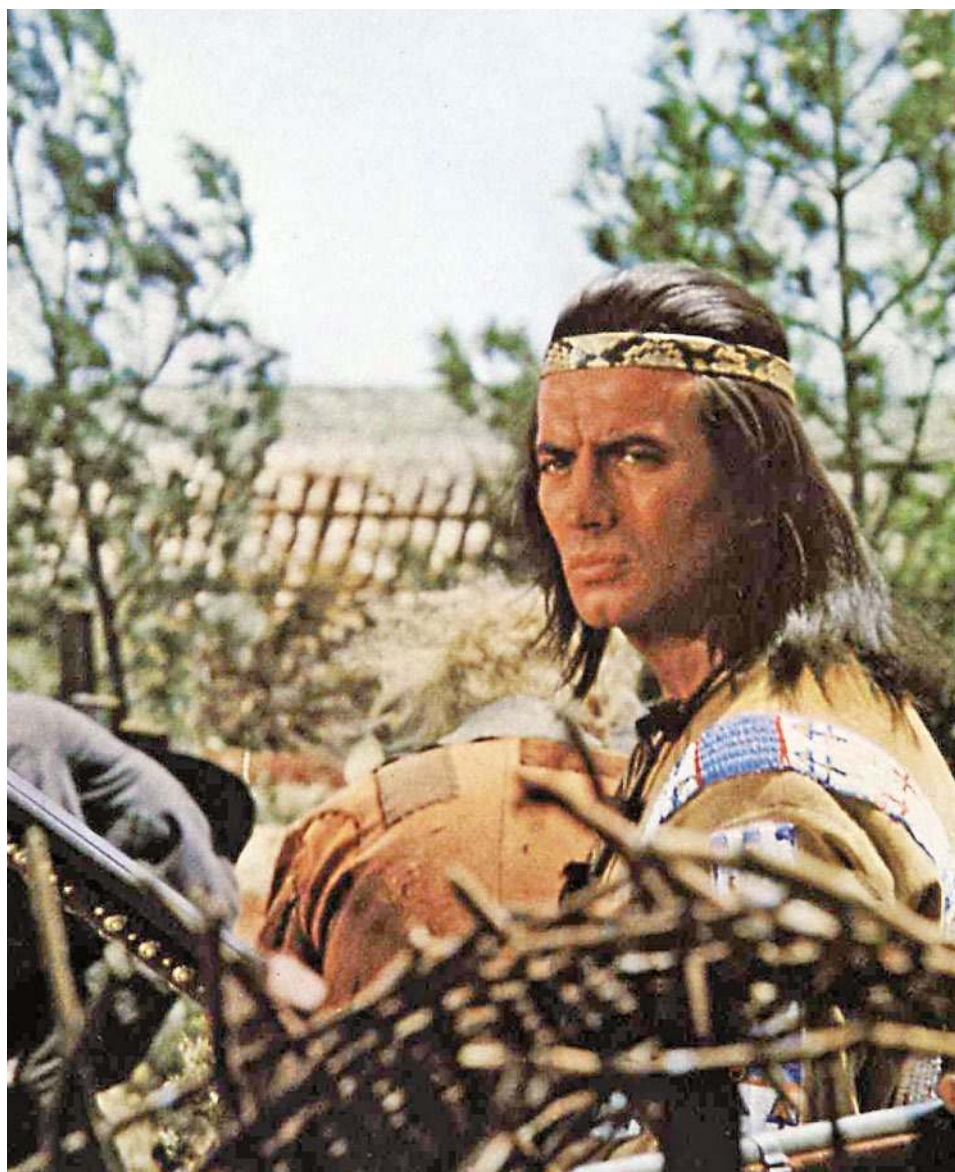
Krzysztof Masiński

Wycofywanie się z wydawania Karola Maya w Niemczech to cenzura idiotów. W PRL jego książki też zniknęły – przy okazji z „Katechizmem polskim” i ze wszystkimi książkami Zofii Kossak

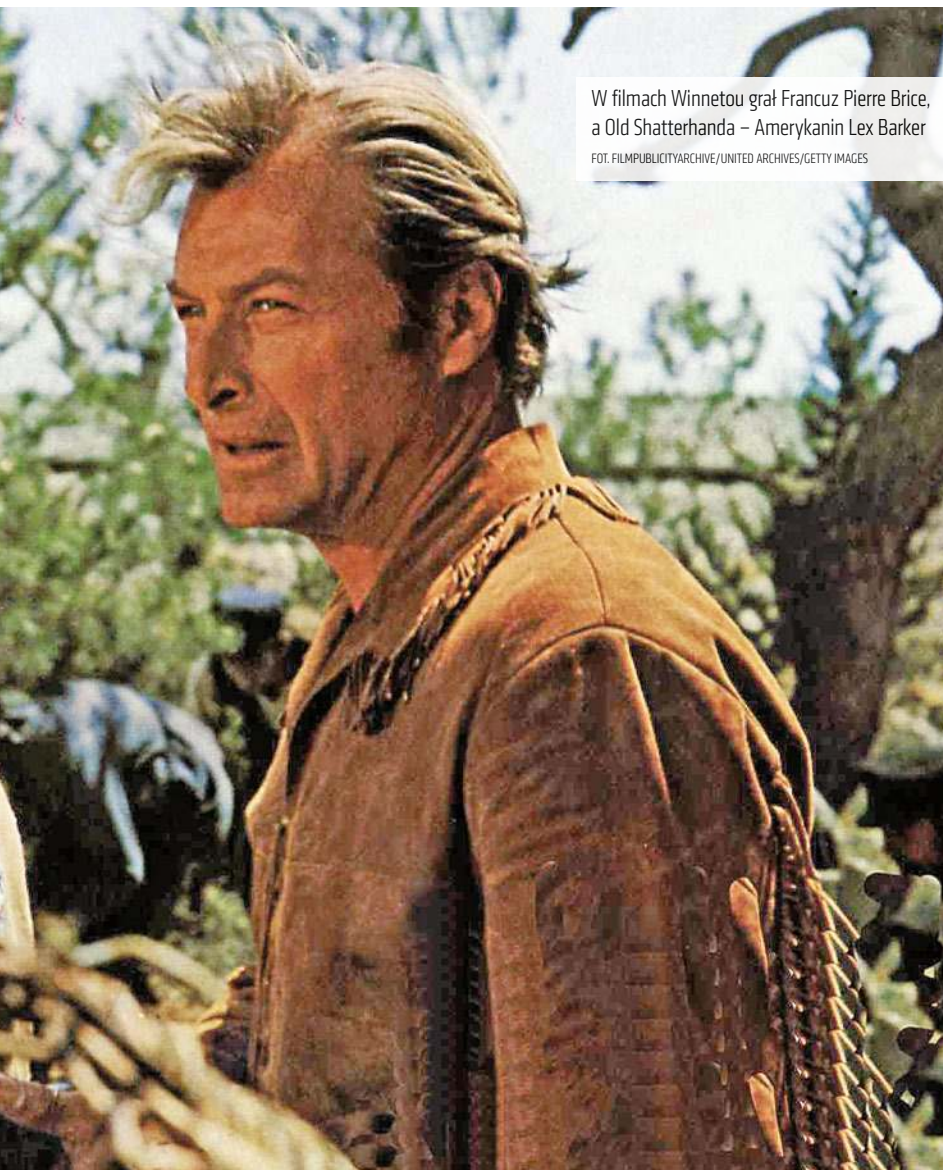
Właściwie po tym, jak „Dziesięciu małym Murzynkom” Agathy Christie już chyba wszędzie w świecie zmieniono tytuł na znacznie gorszy, za to rzekomo poprawny, gdyż pozbawiony odniesień rasistowskich (w Polsce funkcjonuje jako „I nie było już nikogo”), gdy oceniano „Przygody Robinsona Cruzo”, zakwestionowano poszczególne fragmenty „Tajemniczego ogrodu” i „Doktora Dolittle”, w „Oliverze Twiście” Charlesa Dickensa napiętnowano antysemityzm, a w przerobionych „Trzech małych świnkach” dopatrzonego się ataku na muzułmanów, nic już nie powinno dziwić. A jednak w zamieszaniu powstałym w Niemczech, gdzie powiedziano „Raus!” Karolowi Mayowi i jego „Winnetou”, jest coś, czemu warto się przypatrzeć bliżej, szczególnie w kontekście ataków na „W pustyni i w puszcy” Henryka Sienkiewicza, mających miejsce dwa lata temu.

Najpierw jednak fakty. Oto Ravensburger Verlag zawiesiło wydanie nowej książki o przygodach Winnetou, wycofując z oferty niektóre tytuły Karola Maya z wodzem Apaczów w roli głównej. Pozycjom tym zarzuca się bowiem propagowanie rasistowskich stereotypów uderzających w Indian, czyli rdzenną ludność Ameryki. Naturalnie, bo jakżeby inaczej, w ślad za tą światłą decyzją Amazon zdjął ze swojej oferty książki o Winnetou i jego białym przyjacielu Old Shatterhandzie.

Książki Karola Maya sprzedały się w łącznym nakładzie ok. 200 mln egzemplarzy, a przetłumaczone zostały na 40 języków. W latach 60. w Niemczech powstał niemal tuzin filmów o Winnetou, w których w tytułowego bohatera wcielał się przystojny francuski aktor Pierre Brice, a w Old Shatterhanda – Amerykanin Lex Barker. Popularność wyssanej z palca przez Maya historii o braterstwie krwi szlachetnego czerwonoskórego i bladej



Pielenie chwastów w literackim ogródku



W filmach Winnetou grał Francuz Pierre Brice, a Old Shatterhanda – Amerykanin Lex Barker
FOT. FILMPUBLICITYARCHIVE/UNITED ARCHIVES/GETTY IMAGES

przesłanie tych powieści. Że o historycznym uwarunkowaniu nie wspomnę.

HOLOKAUST I TYLE

Karol May (1842–1912) inne cykle swoich przygodowych książek osadzał w realiach afrykańskich i azjatyckich, na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej. Nie osiągnęły one jednak ani części tej popularności, którą zdobyły takie tytuły jak: „Winnetou”, „Old Surehand” czy „Skarb w Srebrnym Jeziorze”. Jeśli chodzi o liczbę sprzedanych egzemplarzy książek, to nie może się z nim mierzyć żaden pisarz niemiecki. W naszym kraju „polskim Karolem Mayem” nazywano przed wojną, raczej niesłusznie, Ferdynanda Ossendowskiego. A po wojnie, w 1951 r., komunistyczni cenzorzy wycofali z naszych bibliotek wszystkie książki jednego i drugiego.

Ponoć Karol May na drzwiach swego domu w Radebeul umieścił wizytówkę: „Karl May zwany Old Shatterhendem”. I choć książki o rzekomo przeżytych przygodach na prerii były wyłącznie wynikiem jego wyobraźni i fantazji, to trudno nie docenić osadzenia ich w geograficznych, obyczajowych i kulturowych realiach Ameryki, co dowodzi niezłego przygotowania autora i dość solidnie przeprowadzonej przez niego kwerendy. Dziś wierni czytelnicy tych, prawda, że niewysokich lotów książek podkreślają ich egzotykę, ciekawą fabułę i humor. Jak również humanitarne tendencje powieści Maya, przenikający je duch chrześcijański i popieranie uciskanych narodów, Indian zwłaszcza.

Ale taki „Die Zeit” wie lepiej i z całą mocą stwierdza, że „literacka idylla z książek Maya to kłamstwo, które ukrywa ludobójstwo rdzennej ludności Ameryki, niesprawiedliwe zasiedlenie ich ziem przez białych osadników i zniszczenie ich naturalnego środowiska”. Nawiasem mówiąc, w Stanach Zjednoczonych May jest praktycznie nieznany, a tamtejsi bojownicy o osiągnięcie kultury organizacyjnej zastrzeżonej w prawach człowieka i równości, cokolwiek by to znaczyło, skupiają się na literackich wypaczeniach dziejów czarnoskórej ludności Stanów Zjednoczonych, czyli na wszystkich piśarskich fałszerstwach w rodzaju „Chaty wuja Toma”. Problemy Indian są już jakby załatwione: holokaust i tyle.

Neoficką gorliwość wykazują natomiast cenzorzy z Kanady, Australii czy Nowej Zelandii. Do pierwszego z tych

twarzy (pisarz odwiedził Amerykę po raz pierwszy dopiero po swoim sukcesie wydawniczym, choć wcześniej fantazjował o przygodach, jakie przeżył na Dzikim Zachodzie; naprawdę nie zapuścił się dalej niż do Buffalo w stanie Nowy Jork) spowodowała powstanie licznych adaptacji powieści, w tym sztuk teatralnych. I właśnie na podstawie takiego musicalu o młodym Winnetou, dość luźno związanym z książką z 1893 (!) r., powstał film i to on dopiero wywołał taką, a nie inną reakcję edytora planującego wcześniej wydanie materiałów związanych z tym wydarzeniem. Tak przynajmniej, bardzo pokrętnie zresztą, tłumaczy się wydawca, sprawiający wrażenie zaskoczonego reakcją opinii publicznej, w zdecydowanej większości krytykującej decyzję oficyny, której szef Clemens Meier zapewniał, że

„nigdy nie było naszą intencją zranienie uczuć innych ludzi tymi tytułami. Nasi redaktorzy intensywnie pamiętają o takich tematach jak różnorodność czy zwłaszcza kulturowe”.

Kto tu kogo rani? Dziwić się przywiązaniu Niemców do lektur swego dzieciństwa może ten tylko, kto nie zauważył takiego fenomenu, jak organizowany od 1952 r. Karl May Festival przyciągający do Bad Segebergu ćwierć miliona miłośników książek Karola Maya. I tego, że dostrzegają w nich może coś więcej niż tylko wartką akcję, bo i marzenie o życiu w zgodzie z naturą, i pielęgnowanie takich uczuć jak męska przyjaźń, dochowywanie słowa, szacunek dla drugiego człowieka. Idioci, którzy widzą w książkach Maya jedynie powielanie rasistowskich stereotypów wywodzących się z kolonializmu, pomijają

■ krajów udał się niedawno, jak wiemy, z pokutną pielgrzymką sam papież, przeprasząc za cierpienia doznane przez indiańskie, innuickie i metyskie dzieci, które odbierano rodzicom, wywożono do szkół z internatami, nie tylko je kształcał, lecz także dopuszczając się wobec nich przemocy, w czym celować mieli – naturalnie – słudzy Kościoła. Wszystko to opisała z detalami Joanna Gierak-Onoszko w nagrodzonej Nike reportażowej książce „27 śmierci Tony’ego Obeda”, obecnie, na fali wystąpień antymayowych, mimochodem przypominanej jako przykład literatury poprawnej i postępowej. Pewien portal tak się rozpędził, że relacjonując historię ocenzurowania „Winnetou” z Old Shatterhandem, pospołu reklamuje dzieje nieszczęsnego Tony’ego tuż obok książek Maya, po które ponoć warto sięgnąć, by samemu przekonać się o ich szkodliwości. Pewnie, dlaczego nie zarobić na literaturze zakazanej, która jak świat światem cieszy się największym powodzeniem?

PODPALIĆ ŚMIECIA GÓRY!

Działania cenzorskie, a z takimi mamy właśnie do czynienia, przynoszą jednak opłakane skutki. Nieobecność, nawet czasowa, poszczególnych książek w obiegu czytelniczym powoduje powstawanie luk i braków intelektualnych, ograniczając wiedzę o przeszłości: ideach, wydarzeniach, ludziach. W Polsce powinniśmy sobie zdawać z tego sprawę, pamiętając o tym, jakie szkody przyniosły decyzje podjęte na początku lat 50., kiedy to w pełnym rozkwicie stalinizmu wycofanych zostało z bibliotek ok. 2, 5 tys. tytułów, w tym ponad 500 pozycji z literatury dziecięcej i młodzieżowej, włącznie zresztą z wydaniem powieści Karola Maya. Że zniknął wtedy także „Katechizm polski” Władysława Bełzy, szkoda nawet mówić, bo to oczywiste. Ale nie pamięta się o tym, że to wówczas właśnie wyrugowano z księgozbiorów książki Zofii Kossak. Wszystkie! W efekcie teraz poprawnościowe baranie łby oburzają się na treści zawarte w jej „Pożodze”, która po latach zaistniała w nauczaniu licealnym. Cóż, wzorce stalinowskie mają niesłychanie długi żywot.

W 1951 r. na śmietnik historii wyrzucono, wraz z Mayem, George’a Owena Baxtera i Thomasa M. Reida, rzekomo z uwagi na niski poziom ich książek. Komunistycznym pięknołuchom nie podobali się jednak i Jack London, i Lucy Maud Montgomery, Ewa Szelburg-Zarembina i Kornel Makuszyński, a nawet „W Wojtusiowej izbie”

Janiny Porazińskiej. Dlaczego? Szkoda miłregi, by dociekać dróg, którymi podążały myśli (?) janczarów przodującego ustroju, preferującego lekturę jedynie słuszną – najlepiej sowieckie. Na przykład Wandy Wasilewskiej, Gorkiego czy Ostrowskiego. Dzieciom powinny wystarczyć „Soso, dziecięce i szkolne lata Stalina” czy „Płomień gorejący”, o Feliksie Dzierżyńskim. Osta-

tecnie „Witia Malejew w szkole i w domu” Nosowa czy „Czuk i Hek” albo „Timur i jego drużyna” Gajdara.

A w „Szpilkach” (satyrycznych!) można było znaleźć wtedy takie uzasadnienie „czyszczenia” bibliotek z literatury niepożądaney:

*Gdy książki wartościowe wędrują pod strzechy,
Wyplenić trzeba chwasty, wymazać stare grzechy.
Wywalić z szaf, podpalić owego śmiecia góry!
W nich miejsce dla prawdziwej jest dziś literatury.*

Czyżby i dla „Winnetou” szukać już trzeba miejsca na cmentarzu zapomnianych książek? Kto czytał „Cień wiatru” Carlosa Ruiza Zafóna, zapamiętał może te zdania: „Każda znajdująca się tu książka, każdy tom, posiadają własną duszę. I to zarówno duszę tego, kto daną książkę napisał, jak i dusze tych, którzy tę książkę przeczytali i tak mocno ją przeżyli, że zawładnęła ich wyobraźnią [...], kiedy jakaś książka ginie w otchłani zapomnienia, ci, którzy znają to miejsce, my, strażnicy ich dusz, robimy, co w naszej mocy, aby te bezdomne książki trafiły tutaj. Bo tutaj książki, o których nikt już nie pamięta, książki, które zagubiły się w czasie, żyją nieustanną nadzieją, iż pewnego dnia trafią do rąk nowego czytelnika, że zawładnie nimi nowy duch”.

KIEŁBASA Z CZTERECH MURZYŃÓW

W Niemczech ewidentnie wykorzystano pretekst w postaci filmu o młodym Winnetou, by z zapowiedzi wydawniczych usunąć Maya z jego indiańskimi książkami. Kogo obchodzi, że tysiące czytelników wzruszało się w dzieciństwie losami młodego wodza Apaczów, jego siostry Nszo-czi i ojca Inczu-czyny? Ich wnuki nie poznają już tych historii, cóż z tego, że zmyślonych przez autora, z całą pewnością jednak oddziałujących na wyobraźnię nie gorzej, a może i lepiej niż wyzute z wszelkiej dozy prawdopodobieństwa, niemające nic wspólnego z jakimikolwiek realiami fantasy. Opatrywanie literatury enigmatycznym przymiotnikiem „magiczna” to wąta raczej dla niej rekomendacja.

Jeszcze w zeszłym wieku w „Nowych Książkach” Ewa Nowacka narzekała na utwory dwudziestolecia – „tandetne, pretensjonalne, miałkie poznawczo i nieznosne stylistycznie, nie powinny więc stanowić wzoru dla dzieci i młodzieży”. Naprawdę, utrzymywała, nie kształtują one morale czytelników, przesiąknięte są za to, aż nadto, akcentami patriotycznymi, bliskimi groteski.



Książki Karola Maya sprzedawały się w ponad 200 mln egzemplarzy

Powstała już w PRL seria książek Alfreda Szklarskiego o Tomku Wilnowskim jest dziś ponoć zdecydowanie nie do przyjęcia, a to, że ma ona wyeksponowane akcenty patriotyczne właśnie, tym gorzej dla niej. Po „Anaruku, chłopcu z Grenlandii” Czesława Centkiewicza słuch – oczywiście jak najśluszniej – zagiął. A jeśli chodzi o klasykę, to poprawnościowi mędracy natrętnie podsuwają postać Nabu z książki Jarosława Mikołajewskiego „Wędrówka Nabu” o małej uciekinierce z Afryki do Europy, która w gronie bohaterów dziecięcej wyobraźni miałyby zastąpić Kalego z „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza. Powodzenia!

Przypomnę tu, że powieść ta, zdaniem oświatowych hunwejbiniów, „przedstawia Afrykanów i Arabów w sposób właściwy dla dziewiętnastego wieku, utrwalając szkodliwe stereotypy i krzywdząco prze rysowując kulturowe różnice. To książka, która pomimo wielu swoich wspaniałych cech uczy pogardy, braku szacunku i poczucia wyższości nad każdym, kto nie jest białym chrześcijaninem. Jaki jest cel indoktrynowania uczniów myśleniem o świecie sprzed stu sześćdziesięciu lat?”.

Mała uciekinierka z „Wędrówki Nabu” Mikołajewskiego **miałaby zastąpić Kalego z „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza**

Tak pytano rzekomo w trosce o właściwe wychowanie naszej dziatwy.

Podążając tym samym tropem, ośmielam się zwrócić uwagę na szkoldliwe treści zawarte w „Królu Maciusiu Pierwszym” Janusza Korczaka i jego kontynuacji – „Król Maciuś na wyspie bezludnej”. Naturalnie jestem świadomy wyjątkowości postaci autora, ale jest faktem, że w swojej sztandarowej książce o dziecku sprawującym władzę popełnił gafy absolutnie niewybaczalne. Bo też jak przejść do porządku dziennego nad sformułowaniem, że oto Bum-Drum, ojciec Maciusiowej przyjaciółki Klu-Klu, król ludożerców (!) zresztą, choć w końcu się ucywilizował, zaczął się ubierać i nawet fryzjer ostrzygł mu włosy, to jednak „zjadł pudełko pasty do czyszczenia butów i ka-

wałek pachnącego mydła, które mu dano do mycia”? Z innymi czarnymi władcami, których zaprosił król Maciuś, było jeszcze więcej kłopotów: „Król Lum-Bo tak się przestraszył, kiedy zobaczył siebie w lustrze, że trzeba mu było dać kropli, żeby się uspokoił. Król Du-Nko, zamiast zejść ze schodów, zjechał na poręcz, spadł i złamał nogę. Król Mup odgryzł lokajowi palec w złości. A ile było guzów, trudno zliczyć. Król Pu-Bu-Ro przywiózł dwadzieścia żon, które wcale nie były zaproszone. Król Dul-Ko-Cyn w wielkiej tajemnicy przywiózł kiełbasę zrobioną z czterech Murzynów. Znów awantura, kiedy mu kiełbasę odebrano. Król Bra-Put włożył na drzewo i siedział tam pięć godzin, a jak chciano go zdjąć, pluł, kopał i gryzł. Musiano wezwać strażaków, którzy puścili na niego strumień wody tak silny, że spadł do rozstawionej sieci”.

No zgroza! A mała, dzielna Klu-Klu przyjechała do Maciusia w klatce z małpami, jakby to było odpowiednie dla niej towarzystwo. Wszyscy jej żalowali, bo to – mówili – „Mądre, wesołe i pocziwe dziecko, szkoda, że taka czarna”. „Choć jak się przyzwyczaić, niebrzydka” – dodawali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

29,90 Zł ~~49,90 Zł~~

TA KSIĄŻKA WSTRZĄSNĘŁA WSPÓŁCZESNĄ AMERYKĄ!

Książka zawiera odpowiedzi na najważniejsze, egzystencjalne pytania, które musi sobie stawiać współczesny człowiek. Ahmariemu pomaga w tym odwołanie się do życia wybranych duchowych mistrzów. To swoisty przewodnik na przyszłość dla syna autora, ale też dla każdego z nas. Książka głęboka, przenikliwa. Polecam.

-PAWEŁ LISICKI

Dodatkowe -5% z kodem

Ahmari

Kod ważny do
15 października

ZAMÓW NA WWW.ESPIT.COM.PL LUB
POD NUMEREM TELEFONU: 12 267 05 69

DARMOWA DOSTAWA OD 120 ZŁ!

esprit



Kamila Baranowska

Prezydent nic już nie musi. Ale może. I korzysta z tego, że to od niego zależą losy pomysłów PiS. A to doprowadza do szału Jarosława Kaczyńskiego

Im bliżej wyborów, tym napięcia między prezydentem i szefem PiS będą coraz większe – patrząc na ostatnie wydarzenia i wypowiedzi obu polityków, trudno mieć co do tego wątpliwości. Do tej pory o złych relacjach między Pałacem Prezydenckim a Nowogrodzką mówiło się głównie nieoficjalnie. Niby wszyscy o tym wiedzieli, politycy PiS chętnie rozprawiali o tym z dziennikarzami, ale oficjalnie wszyscy nabierali wody w usta i nie komentowali tego, że dwie najbardziej decyzyjne osoby w państwie nie rozmawiają ze sobą, nie utrzymują kontaktów i darzą siebie coraz większą niechęcią.

Dziś po kurtuazji nie ma śladu. Przy czym pierwszy niepisaną zasadę niewleknięcia animozji na światło dzienne złamał prezes Kaczyński. W wywiadzie, udzielonym Interii pod koniec ubiegłego roku, wyznał, że z prezydentem rozmawiał „dawno temu”. „Powiedzmy, że to nie ma znaczenia, kilka tygodni czy kilka lat. Na politykę nasze relacje nie mają większego wpływu. One tak wyglądają w zasadzie od początku prezydentury” – stwierdził wówczas.

„Tak”, czyli nie najlepiej – tego już Kaczyński nie powiedział, ale taki mniej więcej był wydźwięk tamtej wypowiedzi, która została w Pałacu Prezydenckim dobrze zapamiętana.

To w tamtym wywiadzie prezes PiS skrytykował mocno i otwartym tekstem prezydenckie weta do ustaw sądowych, za które to weta dziękował prezydentowi w czasie kampanii wyborczej. „Ciężko byłoby w czasie kampanii pominąć ten temat, bo bulwersował on naszą partię, a ona musiała być zmobilizowana, bo prezydent musiał wygrać tę niełatwą rozgrywkę. Trudno natomiast zaczynać kampanię i mówić, że prezydent nie miał racji...” – skomentował swoje słowa z kampanii Kaczyński. „Jestem po prostu bardzo doświadczonym politykiem.



FOT. ADAM BUKOWSKI/REPORTER



W polskich warunkach zapewne jestem wśród najbardziej doświadczonych. Żaba została przełknięta, prezydent wygrał, nie ma sprawy” – wyjaśnił jeszcze, wyraźnie dystansując się od prezydenta.

Do sprawy wet prezydenckich Kaczyński wracał też w niedawnych wywiadach dla mediów. I wciąż wini prezydenta w kontekście sporu rządu z Brukselą. – Tamta sprawa mocno w nim siedzi. Weta były potwierdzeniem wszystkich jego obaw, które miał wobec Andrzeja Dudy od dnia jego wyboru na prezydenta, w co do końca nie wierzył. Od początku był wobec niego sceptyczny, a to całkiem przesądziło o ich późniejszych relacjach – uważa nasz rozmówca z PiS.

ODPOWIEDŹ DUDY

Andrzej Duda postanowił odpowiedzieć na zarzuty, które od jakiegoś czasu formułuje pod jego adresem Kaczyński. Zapytany w Radiu Zet o słowa prezesa dotyczące wet do ustaw sądowych, stwierdził, że „pamięta zupełnie odwrotne wypowiedzi pana prezesa z wiosny 2020 r., kiedy mówił, że to są słuszne decyzje”. – Wszyscy, którzy mają dobrą pamięć i pamiętają, jak wyglądała wtedy sytuacja, przebieg procesu zmian w polskim wymiarze sprawiedliwości przez ostatnie lata, to wiedzą, z ilu kwestii pan prezes potem sam się wycofywał – powiedział prezydent Duda.

**Prezydent Andrzej Duda
oznajmił, że jest sceptyczny
wobec ważnego dla
Kaczyńskiego pomysłu
dotyczącego zmiany ordynacji
wyborczej**

W tym samym wywiadzie prezydent oznajmił także, że jest sceptyczny wobec ważnego dla Kaczyńskiego pomysłu dotyczącego zmiany ordynacji wyborczej. Przypomniał przy okazji, że już raz nie zgodził się na zmianę ordynacji – w 2018 r. w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Prezydent nie krył, że ma żal, iż nikt z nim wcześniej nie konsultuje najważniejszych projektów. Dostawał gotowe ustawy na biurko, kiedy nie było już o czym dyskutować. Jedyne, co mógł zrobić, to wetować lub kierować ustawy do Trybunału. Tak było m.in. z głośnym wetem w sprawie

■ „lex TVN” (chodziło o nowelizację ustawy o radiofonii i telewizji, która uderzała w media z zagranicznym kapitałem). W sprawie nowelizacji prawa oświatowego minister edukacji Przemysław Czarnek co prawda spotkał się z głową państwa i wysłuchał jego licznych uwag, by na koniec i tak żadnej z nich nie uwzględnić w ustawie i grać zaskoczonego prezydenckim wetem.

Tymczasem za każdym razem, kiedy prezydent wetował ważną dla obozu rządzącego ustawę, prezes Kaczyński utwierdzał się w swoim przekonaniu, że Andrzejowi Dudzie nie może w pełni ufać. Nie dostrzegał przy tym, że w większości spraw wina takiego stanu rzeczy leżała głównie po stronie partii i jego samego.

Klucz do dobrych relacji z prezydentem znalazł za to premier Mateusz Morawiecki. I choć między politykami nie ma „jakiejś wielkiej chemii”, jak mówią ich współpracownicy, to obaj wiedzą, że współpraca wychodzi im na dobre.

Kaczyński na to przystał. Kurski został zdymisjonowany, by wrócić na stanowisko zaraz po tym, gdy tylko prezydent podpisał ustawę.

Niektórzy spekulują, że niedawne ponowne odwołanie Kurskiego miało być elementem porozumienia Kaczyńskiego z prezydentem i ceną za poparcie zmiany ordynacji wyborczej. Z naszych informacji wynika jednak, że powody odwołania prezesa TVP były inne i tym razem obóz prezydencki nie miał z tym wiele wspólnego. Co nie zmienia faktu, że zmiana w telewizji publicznej ucieszyła zarówno prezydenta, jak i premiera.

Faktem jest, że do tej pory jednak Andrzej Duda niezbyt chętnie opowiadał o swoich nie najlepszych relacjach z Kaczyńskim. Miał na głowie kampanię i reelekcję, do której machina PiS i wsparcie Kaczyńskiego były mu niezbędne. Dzisiaj, gdy jest w trakcie swojej drugiej kadencji, a jego pozycja nigdy nie była mocniejsza z uwagi na zaangażowanie w pomoc Ukra-

stał się najważniejszą postacią polskiej polityki i ważnym graczem w polityce międzynarodowej. Jego aktywność zaczęła przypominać tę z najlepszych czasów kampanii wyborczej, gdy parł do przodu i potrafił ciężko pracować. Politycy dobrze znający prezydenta tłumaczyli wtedy, że „zobaczył dla siebie miejsce i zaczęło mu się znów chcieć, a wtedy może dużo”.

Kaczyński nie mógł nic zrobić, sam wiedział, że zaangażowanie prezydenta w sprawy ukraińskie to kwestia polskiej racji stanu, ale z drugiej strony nie podobało mu się to, że prezydent rośnie w siłę. A do tego coraz bardziej odcina się od polityki PiS – w sprawach krajowych zaczął wypowiadać się koncyliacyjnie, przestał atakować opozycję, nawoływał do jedności, spotykał się z politykami opozycji, a ci chwalili go za konstruktywne i poważne rozmowy.

Gdy w przemówieniu podczas Zgromadzenia Narodowego podkreślał zasługi z jednej strony Jana Olszewskiego i Lecha Kaczyńskiego, a z drugiej Lecha Wałęsy i Bronisława Geremka, prezes PiS miał nietęgą minę. W partii tamto wystąpienie nie zostało zbyt dobrze przyjęte, mimo że obiektywnie było dokładnie takie, jakiego wymagały okoliczności. Na Nowogrodzkiej został także odnotowany fakt, że w sondażach to właśnie Andrzej Duda jest wskazywany przez Polaków jako polityk, który najlepiej sprawdził się w sytuacji ataku Rosji na Ukrainę.

Dziwi jednak to, że tak doświadczony polityk jak Jarosław Kaczyński kieruje się niechęcią wobec prezydenta, od którego tak wiele dziś zależy. Jeśli PiS nie wygra wyborów w 2023 r., to Andrzej Duda będzie kluczową postacią dla całego obozu PiS. On będzie mógł wetować ustawy i komplikować sprawy dzisiejszej opozycji, jeśli ta weźmie się za rządzenie.

Dosyć otwarcie wśród polityków mówi się dziś o tym, że Andrzej Duda po zakończeniu drugiej kadencji będzie miał chrapkę na stanowiska w instytucjach międzynarodowych, a jego obecne zaangażowanie w pomoc Ukrainie i przyjacielskie stosunki z prezydentem Ukrainy utorują mu do tego drogę bardziej niż przyjacielskie stosunki z prezesem. Dlatego dziś prezydent nie chce i nie będzie grać w orkiestrze PiS wedle zasad Kaczyńskiego. Obaj to wiedzą. Podobnie jak wiedzą też, że totalna wojna żadnemu z nich na dłuższą metę się nie opłaca. Dlatego zapewne zostaną przy wzajemnych złośliwościach. Tylko tyle albo aż tyle.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Prezydent Duda i prezes Kaczyński wiedzą, że totalna wojna żadnemu z nich na dłuższą metę się nie opłaca. Dlatego zapewne zostaną przy wzajemnych złośliwościach. Tylko tyle albo aż tyle

Dlatego Morawiecki uprzedza głowę państwa o swoich działaniach i stara się konsultować z nim na bieżąco najważniejsze kwestie. – Premier stał się takim pośrednikiem między prezesem partii a głową państwa, jakkolwiek dziwacznie by to brzmiało – mówi jeden z naszych rozmówców z PiS.

Polityk PiS sympatyzujący z prezydentem mówi z kolei: – Prezes od samego początku zachowywał się, jakby był obrażony na fakt, że Andrzej Duda wygrał wybory. Dawał mu to odczuć na każdym kroku. Prezydent długo próbował poprawiać te relacje i wystawiał rękę do zgody, ale po którymś upokorzeniu z rządu stwierdził, że ma dość. Odtąd ich relacje zanikły. Po prostu przestali się spotykać i rozmawiać.

SPRAWA KURSKIEGO

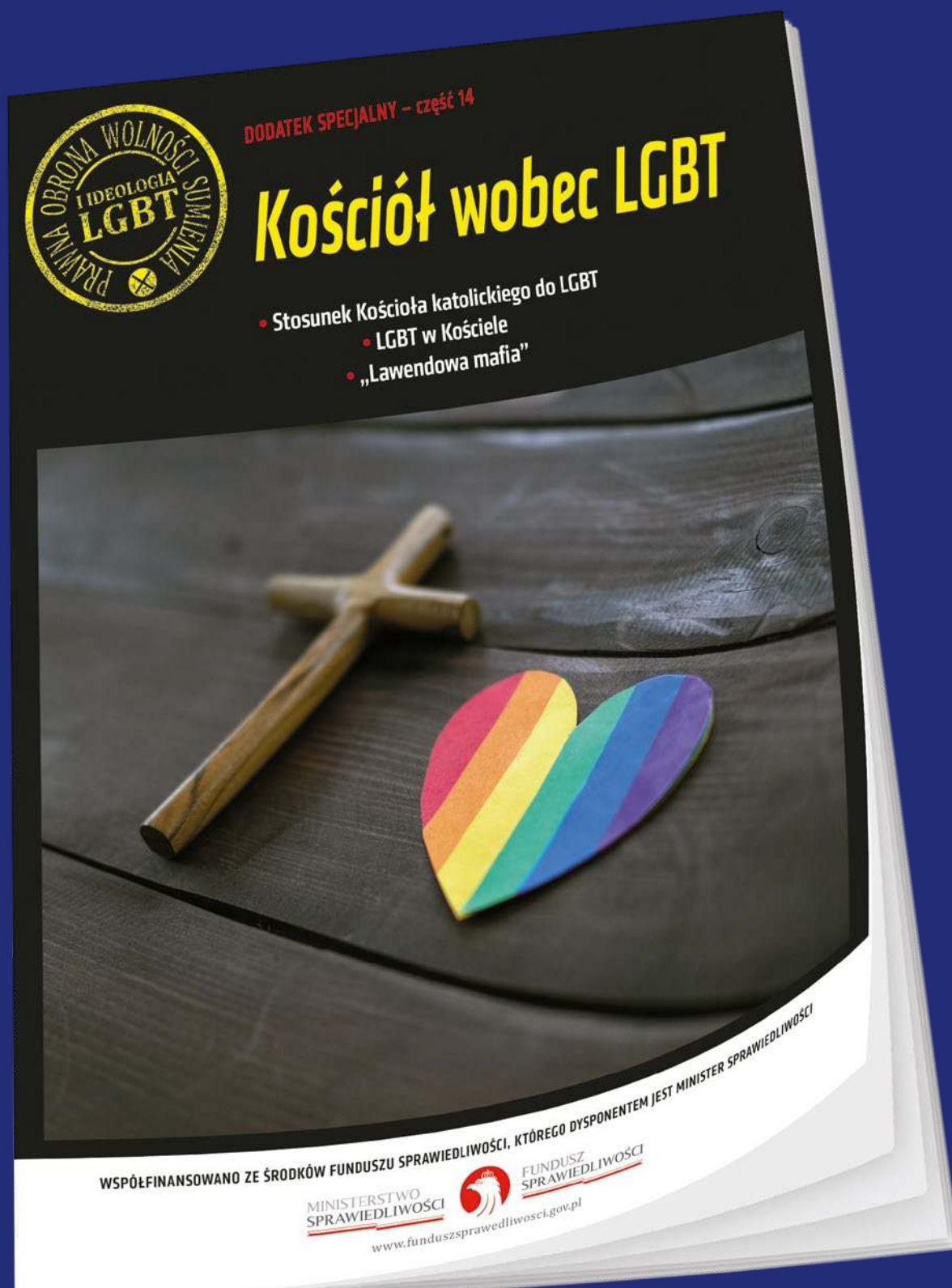
Jednym z większych upokorzeń, na jakie Kaczyński naraził prezydenta, były okoliczności odwołania Jacka Kurskiego z funkcji w TVP w 2020 r. Andrzej Duda zapowiedział wtedy, że warunkiem podpisania przez niego ustawy o przyznaniu 2 mld zł dla TVP jest odejście Kurskiego.

inie, prezydent czuje, że może sobie pozwolić na więcej. Kiedyś nie do pomyslenia wydawały się słowa, takie jak te, cytowane (co prawda nie pod nazwiskiem) przez Wirtualną Polskę. „Minęły już czasy, w których prezes Kaczyński był nietykalny. Akcja rodzi reakcję. Jeśli szef partii krytykuje prezydenta, to musi spodziewać się repliki” – miał powiedzieć jeden z prezydenckich doradców. Podobne, choć oczywiście dużo bardziej kurtuazyjne wypowiedzi pojawiają się ze strony ludzi prezydenta także oficjalnie. – Nie jest tajemnicą, że w niektórych sprawach stanowiska prezydenta Andrzeja Dudy i szefa Prawa i Sprawiedliwości Jarosława Kaczyńskiego są zupełnie różne; prezydent jest politykiem samodzielnym, autonomicznym i zawsze będzie miał własne zdanie – to słowa szefa Gabinetu Prezydenta Pawła Szrota.

UKRAIŃSKIE PRZYWRÓCENIE

Andrzej Duda od wyborów w 2020 r. odhaczał swoje rutynowe obowiązki prezydenckie, ale bez większego politycznego planu. Jakby ta druga kadencja była już polityczną emeryturą. Po wybuchu wojny na Ukrainie z dnia na dzień prezydent

Już 26 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl ad6fdee2f1



Piotr Semka

W PO coraz mniej ludzi, którzy mogliby powstrzymać lidera od kolejnych strzałów kulą w płot

Bardzo wyrazista deklaracja Donalda Tuska złożona na Campusie Polska – że żaden z przeciwników aborcji na życzenie do 12. miesiąca życia dziecka nie zostanie wpuszczony przez niego na listy PO – wywołała tylko jeden samotny głos sprzeciwu. Reszta polityków PO uważanych za konserwatystów albo akceptuje nową linię partii, albo wysila inteligencję, aby usprawiedliwić swoją bierność.

Jednak ta całkowita dominacja Tuska nad partią na razie nie przynosi drgnięcia w sondażach – coraz częściej Platforma angażuje się bowiem w spory, w których jej racje zbudowane są na bardzo słabych podstawach.

WALCEM PO KONSERWIE

Sprawa wyrazistej deklaracji Donalda Tuska w sprawie zamknięcia list PO dla przeciwników aborcji na żądanie zaszkodziła media zwrotem Platformy na lewo. Mało kto zwrócił jednak uwagę, że wystąpienie Tuska było precyzyjnie wymierzone w jego największego partyjnego konkurenta – Rafała Trzaskowskiego.

Obecny prezydent Warszawy zaprosił lidera PO, aby załagodzić wrażenie wykreowania Campusu jako złotu Platformerskiej opozycji. Trzaskowski chciał pogodzić wodę z ogniem. Puszczając oko do młodych w kwestii spełniania postulatów obyczajowej rewolucji, a jednocześnie nie chciał stracić sympatii młodych katolików – tej części młodego elektoratu, który ma do Kościoła pretensje, ale nie chce z niego odchodzić, tylko go reformować. Dlatego do programu wciągnięto część „strawnych” gości, utożsamianych z prawą stroną, takich jak np. przedstawiciele Klubu Jagiellońskiego czy nominalnie konserwatywny publicysta Tomasz Terlikowski. Tacy goście mieli być ukłonem dla elektoratu Szymona Hołowni, który opowiada się za referendum aborcyjnym, ale jest przeciw ustawowej aborcji na życzenie.

Platforma jednoosobowa i bezdyskusyjna



FOT. TOMASZ WIKTOR/PAP

Tusk z kolei postanowił upiec dwie polityczne pieczenie na jednym ogniu. Wykazując swoją jednoznaczną postawę na rzecz forsowania aborcji na życzenie, wbił klin między Platformę a ugrupowanie Hołowni. Jednocześnie sformułował wobec młodych antyklerykałów, którzy przyjechali na kampus, wyraźne przesłanie: Trzaskowski pozuje na obyczajowego radykała, ale to ja przekierowuję Platformę w kierunku obozu postępu.

Formalnie biorąc, lider Platformy nie miał prawa do tak daleko idących deklaracji. Jak przypomniał publicysta Stefan Sękowski: „Zgodnie ze statutem PO o kształcie list wyborczych decyduje Rada Krajowa, a nie przewodniczący jednoosobowo [...]”. W deklaracji o braku miejsca na listach dla przeciwników aborcji na życzenie do 12. tygodnia życia dziecka znaczące jest, że Tusk to samodzielnie ogłosił i wszyscy przeszli nad

tem do porządku dziennego”. Jednak – na co też wskazał Sękowski – nawet obecni na kampusie posłowie PO nie zwrócili na to żadnej uwagi.

KONSERWATYŚCI, NIC SIĘ NIE STAŁO

Równie interesujący był efekt sondy, którą dziennikarze PAP przeprowadzili wśród 21 posłów, senatorów i europosłów PO, którzy po przyjęciu przez zarząd Platformy 18 lutego 2021 r. stanowiska popierającego aborcję na życzenie sprzeciwili się decyzji władz. Było w tej grupie wiele znanych nazwisk, m.in. Waldy Dzikowski, Cezary Grabarczyk, Antoni Mężydło, Jan Olbrycht, Marek Plura, Ireneusz Raś, Bogusław Sonik, Marek Sowa i Paweł Zalewski. Półtora roku temu, po przeforsowaniu przez zarząd PO linii twardej aborcji, szeregi PO opuściło tylko dwóch polityków: Paweł Zalewski

i Ireneusz Raś. Zresztą nie z własnej woli, ponieważ zostali wyrzuceni, za – jak to stwierdziły władze Platformy – „wypowiedzi niezgodne z linią partii”.

Cała reszta robiła dobrą minę do złej gry. Teraz doczekali się oni kolejnego afrontu ze strony swojego szefa, czyli zapowiedzi, że przegrani w procesie decyzyjnym konserwatysty nie wejdą na listy, jeżeli nie poprą otwarcia partii na zabijanie dzieci nienarodzonych. Jedynym politykiem, który ogłosił, że w tej sytuacji nie chce, aby brano go pod uwagę przy układaniu list, był eurodeputowany Bogusław Sonik. Krakowski polityk jest jednym z weteranów antykomunistycznej opozycji w czasach PRL i współtworzył w latach 70. Studencki Komitet Solidarności w Krakowie wraz z Bronisławem Wildsteinem i z zamordowanym potem Stanisławem Pyjasem. Tusk nie skomentował deklaracji Sonika. Przyszło mu to tym łatwiej, że nikt z domniemanych „konserwatystów” z PO nie zabrał głosu.

Do groteskowej sytuacji doszło w wypadku Pawła Kowala. Paweł Trudnowski, szef Klubu Jagiellońskiego, tuż po wypowiedzi Tuska wyraził obawę, że nowa deklaracja postawi Kowala w trudnej sytuacji. Ten jednak bardzo szybko ogłosił, że w pełni popiera nową linię szefa partii. Pytany o tę kwestię deklarował: „Szczere mówiąc, byłem zdziwiony tą dyskusją, ponieważ była ona oczywista po tym, jak PiS użył kompromisu aborcyjnego, który obowiązywał w Polsce kilkadziesiąt lat”. Kowal podkreślił: „Jak przyjdzie nowy Sejm, to dojdzie do jakiejś liberalizacji”. I dodał: „Jestem pewien, że w najbliższych wyborach wielu ludzi o centrowych i umiarkowanych poglądach czy nawet centroprawicowych – będzie głosowało na PO”.

Inni konserwatysty, którzy jeszcze w lutym 2021 r. protestowali, teraz znaleźli sobie inne moralne usprawiedliwienia. Deklarowali, że mimo gromkich zapowiedzi Donalda Tuska w przyszłym parlamencie trudno będzie mu znaleźć większość dla przeforsowania liberalizacji aborcji i skończy się tak, jak z rzuconym nieco wcześniej Tuskowym postulatem czterodniowego dnia pracy.

CO TYDZIEŃ NOWE WZBURZENIE

Dosyć istotną cechą aktualnej polityki Platformy jest unikanie wysuwania własnych postulatów i projektów na rzecz cyklicznego przechodzenia od jednego „oburzenia” do kolejnego. Jeszcze miesiąc temu byliśmy świadkami wielkiej operacji

„PiS zatrął ręką Odrę”. Do historii politycznej groteski przejdą zapewne słowa marszałek woj. lubuskiego Elżbiety Anny Polak o lubuskich wędkarzach, którzy wobec hekatomby Odry zapalali znicze ku pamięci śniętych ryb. Owszem, Donald Tusk próbował robić wrażenie tworzenia jakiegoś alternatywnego sztabu kryzysowego, gdy po wybuchu kryzysu spotykał się z radnymi z sejmików rządzonych przez Platformę województw leżących nad Odrą, ale całe to wzmoczenie nie zakończyło się niczym konkretnym. Nie powstał żaden raport Platformy wskazujący, które konkretne przewiny w sprawie zatrucia rzeki ponoszą urzędnicy mianowani przez PiS. Nie zaproponowano też żadnego ulepszenia systemu szybkiego ostrzegania na wypadek ewentualnego przyszłego zatrucia rzeki.

Teraz Platforma postanowiła skupić się na wywiadzie byłego szefa służby kontrwywiadu gen. Piotra Pytla, który oskarżył na łamach „Gazety Wyborczej” czołówkę PiS o infiltrację przez rosyjskie służby specjalne. Jeden z „mózgów” Platformy, Rafał Grupiński, po ukazaniu się oskarżeń pisał na Twitterze: „Po wywiadzie udzielonym przez gen. Piotra Pytla zastanawiam się, ilu członków PiS zrezygnuje z przynależności do tej partii w duchu troski o zagrożoną ojczyznę, z powodu zinfiltrowania przez Rosję ich przywództwa. Może są tam jacyś patrioci jednak? Ciekawy czas próby”.

Równie emocjonalny był tweet posta PO Roberta Kropiwnickiego, który z emfazą donosił swoim followersom: „Kaczyński zobaczył w sejmie agentów, chyba zrozumiał, z kim pracuje, zobaczył swój klub. Dziękuję Piotrowi Pytlowi. Kaczyński przeczytał wywiad”.

To uznanie gazetowej rozmowy z gen. Pytlem za jednoznaczny dowód infiltracji PiS przez Moskwę wywołuje oto u poważnych polityków PO przekonanie, że w partii rządzącej musi dojść do wewnętrznego pęknięcia albo powszechnego szoku. Tymczasem nawet publicyści sprzyjający PO wskazują, że wywiad jest jedną wielką wydumką. Waldemar Kuczyński, którego naprawdę nie sposób uważać za miłośnika PiS, napisał: „Trzy uwagi o rosyjskiej agenturze: 1. Polska na pewno nie jest obiektem jej działania; 2. Nie ma dowodu, że rząd PiS jest na jej smyczy, jak sugeruje gen. Pytel; 3. Nie ujawniono, by po '89 wpłynęła na ważne wydarzenia w Polsce. Wpływ na wybory 2015 i 2019 [co sugerował gen. Pytel

w wywiadzie – przyp. P.S.] jest nieudowodniony”.

Podobne ożywienie wśród polityków PO nastąpiło po reportażu Pawła Świerczka z TVN24, zarzucającym Macierewiczowi ignorowanie ważnych elementów amerykańskich ekspertyz przy tworzeniu raportu na temat katastrofy smoleńskiej. Ludzie Platformy w rozmowach z dziennikarzami nie kryli, że liczą na szok wśród zwolenników partii rządzącej. Nie zauważają, że większość elektoratu PiS nie ma za groźną zaufania do sensacyjnych produkcji TVN24. Z tego powodu film Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu”, ujawniający grzechy Kościoła w kwestii molestowania seksualnego młodocianych ofiar, nie zmienił wyników wyborów w 2019 r. – choć opozycyjne media miały na to nadzieję.

Przykładem absolutnego cynizmu PO jest stosunek do kwestii reparacji od Niemiec. Pierwszą reakcją Grzegorza Schetyny było: „nie”. Potem, gdy sondaż pokazał poparcie dla PiS w tej sprawie, ogłoszono wsparcie dla sprawy reparacji. Dodawano jednak, że żądanie powinno dotyczyć też Rosji, co znacznie utrudnia mówienie o skuteczności takiej akcji.

KLUB MIŁOŚNIKÓW ZIMNEGO MIESZKANIA

PO wiąże duże nadzieje z chłodną zimą. To ma być nowa kampania. Rysownik „Gazety Wyborczej” pokazuje dwa pokręta od kaloryferów – stare, na którym są klasyczne cyfry od 1 do 5, i nowe, na którym jest osiem gwiazdek symbolizujących wulgarnie antypisowskie hasło. Z kolei wspomniany już polityk PO Jerzy Kropiwnicki deklaruje: „Elektorat PiS kupuje propagandę. Ale jesienią ludzie wywożą ich na taczkach. Wrzenie społeczne jest bardzo blisko”.

Owszem, nie wiadomo, na ile zima może zmienić społeczne nastroje, ale też nie wiadomo, czy do wybuchu dojdzie. Można sobie wyobrazić, że premier Mateusz Morawiecki, słysząc ten ton nadziei w obozie Platformy, zrobi wszystko, aby węgla wystarczyło dla Polaków. Co wtedy zrobi Platforma? Zapewne wykreuje kolejny powód świętego oburzenia i w tym rytmie będzie przechodzić kolejne miesiące do październikowych wyborów w 2023 r.

W partii rządzącej metodą samodzieltawia Donalda Tuska coraz mniej jest głosów rozsądku, które powstrzymałyby główną siłę opozycji przed strzelaniem kulą w płot. Tak płaci się za jednowładztwo.

Gra Smoleńskiem



FOT. PAPAWEL SUPERNAK



Rafał A. Ziemkiewicz

Jest tylko jeden powód, żeby odnotować reportaż TVN24 o „komisji smoleńskiej” Antoniego Macierewicza i wzmożenie opozycyjnych polityków: trudno o lepszy dowód, że strategia opozycji nie jest dziś wyznaczana w gabinetach polityków, tylko na kolegiach redakcyjnych tej lewicowo-liberalnej telewizji

Wistocie bowiem nie było żadnego powodu, żeby sprawa Smoleńska wróciła akurat teraz i żeby akurat w ubiegłą środę, a nie któregośkolwiek innego dnia obrady Sejmu zdominowały wrzaski o „kłamstwie smoleńskim” i przerzucanie się oskarżeniami o agenturalność na rzecz Putina – poza wyemitowaniem przez TVN24 wspomnianego materiału. Ale, co istotne, nie było też, z punktu widzenia sztuki dziennikarskiej, żadnego powodu, żeby TVN24 wyemitował go właśnie teraz. Rzecz dotyczyła raportu – „ostatecznego”, jak twierdził Macierewicz – który komisja ogłosiła

ponad pięć miesięcy temu i który został zdjęty ze stron MON oraz przestał być dostępny jakiś tydzień później, a TVN nie miał o nim do powiedzenia ani słowa ponad to, co wiadomo od dawna i co wiadano powszechnie jeszcze przed jego ogłoszeniem.

Na konferencję prasową, na której Macierewicz i jego eksperci ogłaszali w kwietniu swe ustalenia, TVN przysłał w kwietniu reporterów żenująco nieprzygotowanych, którzy po prostu nie wiedzieli, o co pytać, i potrafili jedynie prezentować antypisowskie wzmożenie; w ten sposób wzmocnili jedynie przekaz tam głoszony. Możliwe, że nagły powrót

do tematu jest próbą zatarcia tamtego blamażu, choć trudno powiedzieć, dlaczego przeczytanie ówczesnych publikacji w prasie, umownie mówiąc – „prawicowej”, i powtórzenie ich jako własnych ustaleń zajęło reporterom TVN aż pięć miesięcy.

WALKA O WYDOBYCIE SIĘ Z „ODSTAWKI”?

Kolejny „ostateczny” raport Macierewicza praktycznie nikogo bowiem, nawet po umownej prawej stronie, nie przekonał. Prezes co prawda publicznie go pochwalił, więc politycy ZP powstrzymywali się przed otwartą krytyką, podobnie jak media państwowe – ale też ze świecą byłoby wtedy szukać jakichkolwiek przejawów poparcia dla ustaleń komisji, a tym bardziej zapowiedzi, że ktokolwiek cokolwiek zamierza z nimi na poważnie zrobić: zaprezentować raport jakkolwiek na forum międzynarodowym, pozwać Rosję przed Trybunałem Międzynarodowym, jak zrobiła to Holandia, zwrócić się o pomoc do NATO. Zakrawało to na kompletną schizofrenię: z jednej strony raport oskarżający Rosję o zamordowanie w zamachu 96 wybitnych obywateli,

w tym obecnego i byłego prezydenta, uzyskał po raz kolejny oficjalną sankcję, z drugiej, nikt nawet nie próbował wyciągać z niego żadnych wniosków, milcząco przyznając, że „ostateczny” raport komisji Macierewicza jest równie bezwartościowy, jak poprzednie jego wersje.

Dla pełnego obrazu tej gry trzeba jednak dodać, że także Macierewicz, wtedy, w kwietniu, nie miał żadnego merytorycznego powodu, by opublikować swój „ostateczny” raport, któremu zaledwie po tygodniu wytknięto tyle błędów, że został po cichu ukryty. „Ostateczna” wersja nie zawierała niczego nowego w porównaniu z poprzednimi i nie poprawiono w niej żadnego z błędów wytkniętych w poprzednim. W ogóle sprawiała wrażenie, jakby decyzja o jej ogłoszeniu zapadła krótko przed 12. rocznicą tragedii i tekst dość niedbale klecono na wyznaczony termin.

Tak zapewne było, gdyż jedynym powodem, by wrócić do tematu, zamkniętego dwa lata wcześniej stwierdzeniem Jarosława Kaczyńskiego, że „prawdy nie poznamy już chyba nigdy”, była napaść Putina na Ukrainę. W PiS uznano, że tak jawne zrzucenie maski przez Putina zmieni nastawienie społeczeństwa, dotąd do hipotezy zamachu nieprzekonane. A przekonanie Polaków, że katastrofa była perfidnym rosyjskim mordem, a nie wynikiem przypadku czy zwłaszcza bałaganu i nieudolności, jest warunkiem skutecznego zbudowania mitu Lecha Kaczyńskiego jako męczennika i kultu 96 „poległych pod Smoleńskiem” – jako mitu założycielskiego nowej, PiS-owskiej Polski. Jest to zaś jedna z tych spraw, w których Jarosław Kaczyński przestaje być racjonalny – po prostu wierzy, że taki mit da się zbudować.

Albo też Antoni Macierewicz wierzy w to, że go zdoła mit zbudować i że jako ten, który spełnił marzenie prezesa, zdoła zająć szczególne miejsce u jego boku, a z czasem wygrać w rywalizacji i sukcesję. Dlatego, jak sądzę, w ostatnich 12 latach Macierewicz zrobił wszystko, żeby stać się politycznym „właścicielem” narracji zamachowej, i dlatego prowadził działania powierzonej mu komisji tak, aby nie tylko za wszelką cenę „udowodnić” jedynie słuszną, z góry przyjętą tezę, lecz także tak, żeby to on, a nie ktokolwiek inny, miał zasługę jej udowodnienia. Stąd polityka usuwania z komisji wszystkich ekspertów, którzy, także zakładając, że w Smoleńsku doszło do zamachu, próbowali weryfikować to

w inny niż wyznaczony przez Macierewicza sposób – najgłośniejszy był tutaj konflikt polityka z Glennem Jorgensenem, prywatnie mężem bardzo zaangażowanej w narrację o zamachu dokumentalistki Ewy Stankiewicz.

Wydaje się zresztą, że Macierewicz srogo się zawiódł: ostatecznie prezes obciążył go odpowiedzialnością za to, że pożądana prawda o jego zamordowanym bracie nie przebiła się do świadomości publicznej, i Macierewicz skończył w „odstawce”. Raport, o którym po pięciu miesiącach przypominał sobie nagle TVN24, był rozpaczliwą próbą wykorzystania nastrojów wywołanych wojną do wyjścia z niej. Nieudaną.

O wszystkich słabościach tego dokumentu i samej komisji pisaliśmy na naszych łamach i chyba nie ma sensu do tego wracać – krytykowały go także „Sieci”, „prawicowe” portale i think tanki, merytorycznie, bez wrzasków o „zdradzie” i agenturze, cytując ekspertów, także tych, którzy przez jakiś czas w komisji Macierewicza pracowali i padli ofiarą metodologii pracy „wszystko i wszyscy, którzy podważają wybuchy – won, wszyscy, którzy twierdzą, że były, zostają”, choćby kompromitowali komisję, jak prof. Rońda swoim „zablokowaniem”. Praktycznie tylko media koncernu „Gazety Polskiej” broniły „ostatecznego raportu”, ale i tam, gdy w TV Republika poświeciłem swój przegląd tygodnia pokazywaniu jego mizn, nie spotkało mnie nic poza polemiką Tomasza Sakiewicza.

KONFERENCJA, A NIE KOMISJA

TVN, jak już pisałem, nie dodał do tej krytyki niczego nowego, poza jednym wątkiem – i tu akurat wykazał się ignorancją. Raport i symulacje, wykonane przy współpracy amerykańskiego NIAR, których Macierewicz w swoim raporcie nie uwzględnił, nie zostały bowiem zamówione przez podkomisję smoleńską, tylko przez Konferencję Smoleńską (konkretnie przez prof. Marka Czachora z Politechniki Gdańskiej). Konferencja Smoleńska, mimo podobieństwa nazwy, była zupełnie czymś innym niż podkomisja, której skład dowolnie dobierał sobie i zmieniał Macierewicz. Zwołała ją grupa naukowców, którzy rzetelnie i uczciwie próbowali w swoich specjalnościach rozważyć różne aspekty tragedii. Na zgubę tej inicjatywy wyniki ich pracy nie odpowiadały politycznym potrzebom żadnej ze stron politycznego sporu.

Wbrew pozorom atak na Macierewicza, wyciągnięcie z niepamięci jego raportu i pastwienie się nad nim, choć łatwe, nie wydają się dla lewicowo-liberalnej opozycji korzystne. Owszem, rozgrzewają własny „żelazny elektorat”, ale reszcie wyborców przypominają, że to Tusk oddał wrak i śledztwo Putinowi, dopuścił do skandalu z profanowaniem i zamienianiem zwłok, a wcześniej prowadził z nim dziwną grę przeciwko śp. prezydentowi, która pośrednio przyczyniła się do tragedii. Nawet jeśli nie ma tu obawy o stratę w szerszym elektoracie, gdyż ten o Smoleńsku po prostu nie chce już słyszeć, tak jak o aborcji, to histerie opozycji w Sejmie o „zdradzie”, na które PiS odpowiada kontrnarracją: „Atakują za strachu, że Putin upadnie i prawda o Tusku wyjdzie na jaw”, mobilizując elektorat PiS właśnie w tym momencie, kiedy rozsądek kazałby go demobilizować i kiedy jego rozliczne błędy oraz kryzys dają ku temu okazję.

Ale skoro TVN rzucił hasło – to opozycja musi „gonić króliczka”, porzucając z dnia na dzień inne wątki. Wśród nich nie tylko te, które miałyby sens, lecz także lokujący się na pograniczu paranoi wywiad gen. Pytla dla „Gazety Wyborczej”. Możliwe, że to właśnie chęć przykrycia tego wywiadu skłoniła kierownictwo TVN do wydobycia z szafy raportu Macierewicza sprzed miesiący – by pokazać, że od czasu filmu „Trzech kumpli”, który był spektakularnym przejęciem przez ITI „rządu dusz” nad formacją, sprawowanego wcześniej przez Agorę, nic się nie zmieniło, serce lewicowo-liberalnej opozycji nadal bije nie na Czerskiej, ale na Augustówce, i „Wyborcza” może już tylko albo agregować przekaz TVN oraz obsługiwać niszowe emocje najbardziej sfrustrowanych wrogów PiS, po które TVN nie sięga, albo nie odstraszyć masowego widza.

Warto przypomnieć, że „rząd dusz” Michnika nad formacją lewicowo-liberalną, owo wspomniane na wstępie kreowanie polityki nie przez ciała polityczne, a przez kolegia redakcyjne, nie skończyło się dla tej formacji dobrze. Skutek kreowania jej teraz na kolegiach TVN nie będzie inny – po prostu cele koncernu medialnego nie pokrywają się z celami partii. Ale politycy opozycji dawno już zatracili świadomość, że poparcie mediów i poparcie wyborców to zupełnie co innego.

Z Marcinem Rolą, redaktorem naczelnym telewizji internetowej wRealu24

rozmawia

Ryszard Gromadzki

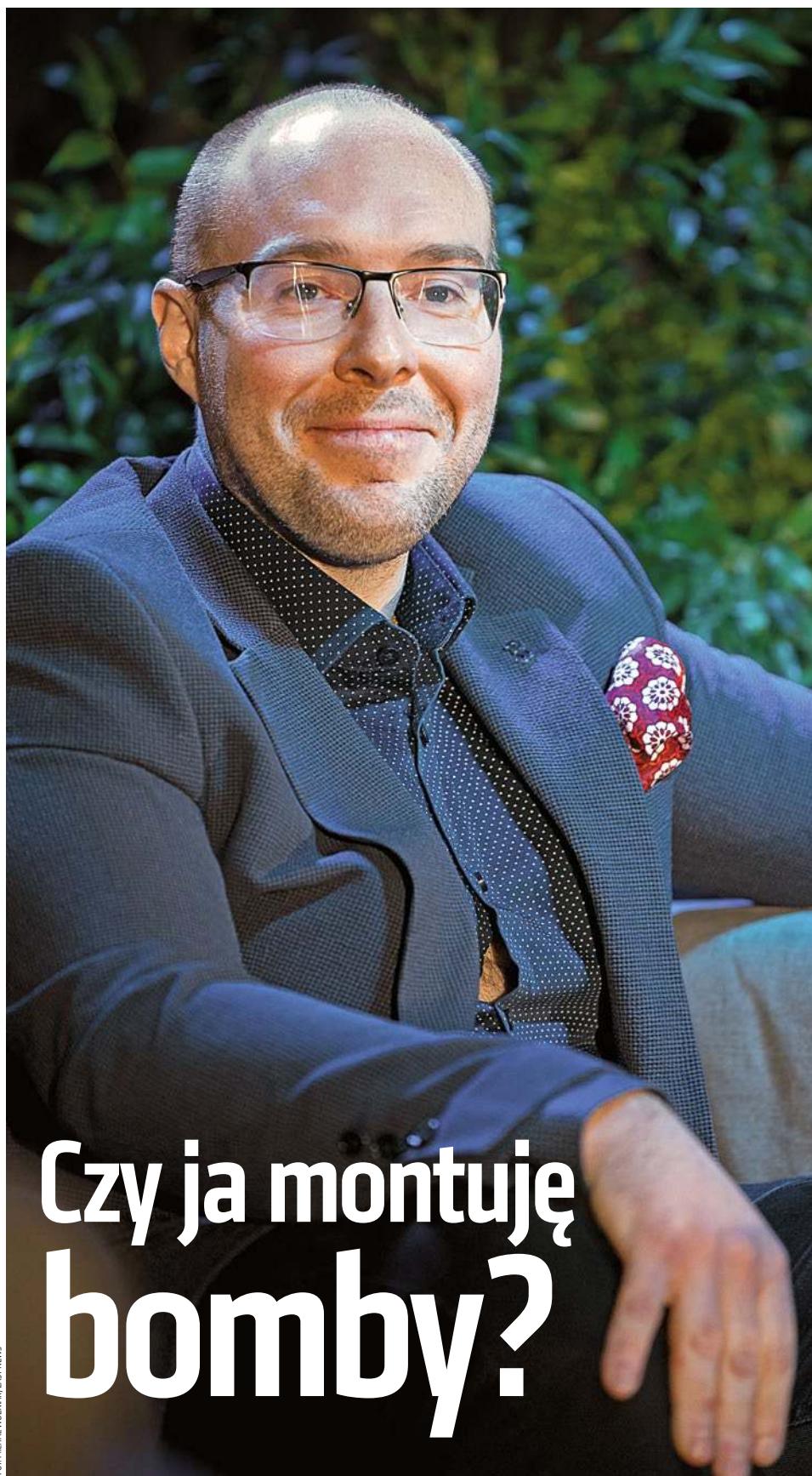


RYSZARD GROMADZKI: Jaki jest status wRealu24 po usunięciu was przez YouTube i wymierzonych w wasz kanał działaniach Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

MARCIN ROLA: Jest coraz ciężiej. Ale mimo tych wszystkich ataków jesteśmy dobrej myśli. Spodziewaliśmy się takiego scenariusza co najmniej od kilku miesięcy i przygotowywaliśmy się na niego. Cieszę się, że ruszył nasz projekt Banbye.com. W tej chwili mamy na nim ok. 100 tys. realnych użytkowników, więc idzie to do przodu. Jest szansa, że ten projekt będzie rósł. Oczywiście jest kwestia finansowania.

Będziemy też walczyć na drodze prawnej w sprawie zastosowania przeciwko nam artykułu 180 Prawa telekomunikacyjnego. Nieoficjalnie mogę powiedzieć, że za naślaniem ABW na nasz kanał stał niejaki pan Cieszyński, zamieszany w aferę respiratorową, obecnie nadzorujący w rządzie kwestie cyberbezpieczeństwa. To jakaś dziwna wendeta z jego strony, prawdopodobnie za to, że bardzo konsekwentnie staram się wyjaśnić aferę z respiratorami. Sprawa z naszego powództwa jest w sądzie. W kwestii zablokowania wRealu24 przez ABW do ministra spraw wewnętrznych i koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego interpelował też poseł Konfederacji Krystian Kamiński. W odpowiedzi minister potwierdził, że ABW podjęła wobec nas działania blokujące rozpowszechnianie naszego kanału, nie podał jednak ich przyczyn. Jeżeli w sądzie potwierdzi się, że służby oskarżają wRealu24 o stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego, to będziemy domagać się ogromnego odszkodowania. Jakim prawem oni to robią? Czy ja montuję bomby, czy pokazuję, jak rzucać granatami? Czy robię cokolwiek, co można podpiąć pod stawiane nam zarzuty?

Rozmawiałem z wieloma byłymi oficerami ABW. Ci ludzie byli w szoku. Potwierdzili, że prawo daje możliwość



Czy ja montuję bomby?

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EST NEWS

zablokowania przekazu nadawcy, któremu zarzuca się działanie na szkodę bezpieczeństwa narodowego, ale po wyroku sądu. W ustawie jest napisane, że jeśli nie ma takich podstaw, to blokada powinna być zdjęta po 30 dniach. Strona wRealu24 jest bezprawnie blokowana od pół roku. Jednocześnie jest to rodzaj fikcji, bo stosując mało wyrafinowane narzędzia informatyczne, naszą stronę łatwo można odtworzyć. Działania ABW godzą też w legalnie działającą spółkę, w oficjalnie zarejestrowany tytuł prasowy. Mieliliśmy podpisane umowy reklamowe, z których z powodu szykan służb nie mogliśmy się wywiązać. Będziemy domagać się od nich odszkodowania.

Skoro – jak mówisz – zarzut działania przez wRealu24 na szkodę bezpieczeństwa państwa jest całkowicie niesłuszny, to czym tłumaczysz akcję ABW przeciw wam?

Myślę, że to sprawa polityczna. Fragment większej operacji czyszczenia przedpola przed wyborami. Można mnie lubić albo nie, można się zgadzać z moimi poglądami bądź nie, ale nie można z tego powodu stosować cenzury, bo to już patologia.

Rząd wiele razy deklarował, że będzie walczył z dyktatem wielkich korporacji internetowych o wolność słowa. Stosując cenzurę wobec wRealu24, de facto idzie z nimi pod rękę, bo od miesięcy to samo robi YouTube. Zresztą szykany ze strony YouTube dotyczą też innych konserwatywnych portali – dotknęły ostatnio PCH24 za publikację filmu o Gatesie czy publicystów takich jak Paweł Lisicki, Rafał A. Ziemiakiewicz czy Witold Gadowski.

Jesteśmy atrakcyjni dla ludzi siłą swej niezależności. Jeśli wRealu24 potrafiło w ciągu miesiąca generować od 5 do 15 mln wyświetleń, to znaczy, że oni mają się czego bać. Nasza narracja docierała do milionów ludzi, takie są fakty. To przekłada się na wydarzenia społeczne. Na Marsz Polskości, który po raz pierwszy organizowaliśmy pod własnym szyldem, przyszło ok. 5 tys. ludzi. To przerosło moje najśmielsze oczekiwania.

To znaczy, że mimo zakusów ze strony YouTube i innych potęg mediów społecznościowych patriotyzmu i związanych z nim wartości nie da się w Polsce łatwo wypłenić?

Wiele naszych wad narodowych mnie wkurza i nie podoba mi się, idąc trochę tropem Gombrowicza. Ale Polacy są

przekorni. Jeśli ktoś próbuje coś narzucić im siłą, to robią dokładnie odwrotnie. Doświadczamy tego na własnej skórze. Wielu ludzi myśli sobie: „Nie będzie mi jakiś komuch mówił, co mam oglądać”. Widzimy to na Banbye.

Jednak Banbye, przy całym szacunku, jest łupinką w zderzeniu z YouTube...

Powiem tak. Na razie jesteśmy małą śnieżką, ale mozolnie lepimy dużego bałwana. Idziemy pod górę i tego śniegu jest coraz więcej. Karawana idzie dalej. Nie załamujemy się. Robimy swoje.

W związku z zablokowaniem was w sieci konieczne będą cięcia w redakcji?

Dziś zespół działa w pełnym składzie. Ale to najbliższe miesiące pokażą, czy uda nam się wszystko spiąć. Musimy brać pod uwagę scenariusz oszczędnościowy. Jeżeli zostaniemy zmuszeni do ostrego

Można mnie lubić albo nie, można się zgadzać z moimi poglądami bądź nie, ale nie można z tego powodu stosować cenzury

cięcia kosztów, to może będziemy musieli zmienić lokalizację. Bardzo bym tego nie chciał, ale jeżeli będzie tak, jak może być, to będziemy zmuszeni zmniejszyć ekipę i zmienić miejsce. Najbliższe trzy miesiące pokażą, jak odnajdujemy się na rynku.

Kim są odbiorcy wRealu24?

Nasza widownia się zmienia. Kiedy zaczynaliśmy siedem lat temu, wśród widzów wRealu24 było tylko 7 proc. kobiet, dziś stanowią one już 49 proc. widowni. Z naszych statystyk wynika, że główną grupę naszych odbiorców stanowią widzowie w wieku 25–45 lat. To w dużej części osoby prowadzące własną działalność gospodarczą, co nie dziwi – od początku naszą dewizą było motto: „Jak najmniej państwa, jak najwięcej wolności”.

Co odpowiesz tym wszystkim, którzy uważają, że wRealu24 to spiskowy ściek, a ciebie samego określają jako „patostreamera”?

À propos teorii spiskowych – nam się praktycznie wszystko sprawdziło.

Przyznaję, pomyliłem się w jednym. Byłem przekonany, że nie będzie wojny na Ukrainie. Ale to był mój pogląd. Do cholery, chyba mam prawo do swoich poglądów i opinii? Jeśli chodzi o Ukrainę, to nie pomyliliśmy się z niczym innym. Jesteśmy w związku z tą wojną najbardziej wykorzystywanym państwem, a sankcje, które miały uderzyć w Rosję, uderzyły w nas.

Co do tzw. pandemii nie pomyliliśmy się kompletnie w niczym. A z teoriami spiskowymi już tak jest, że stają się faktami czasami po tygodniu, czasami po miesiącu albo po pół roku. Tę zasadę doskonale widać na przykładzie całej tej tzw. pandemii, gdzie od początku staliśmy po stronie obywatelskiej. Mówiliśmy ponad rok temu, że np. wszystkie tzw. sprawy maseczkowe obywatele będą wygrywali przed sądami, bo to jawne bezprawie. Dziś ze statystyk sądowych wynika, że 93 proc. spraw, w których ludzie byli ukarani za brak maski, sądy rozstrzygają na ich korzyść.

Jaka jest twoja definicja niezależnych mediów? wRealu24 wpisuje się w tę definicję?

Oczywiście, że tak. Gdyby nam dali normalnie funkcjonować, to już dawno byłibyśmy w kablówkach, dawno nadawalibyśmy program 24 godziny na dobę. Byłoby nas na to stać.

Myślę, że kluczem do realnej niezależności, który dotyczy małych radiostacji czy telewizji w Stanach, jest to, że one w ogromnej części utrzymywane są przez słuchaczy i widzów, a nie z dotacji. Nie mam nic do dotacji, ale nie mogą one wiązać się z szantażem na zasadzie: „Dajemy ci kasę, a ty masz nam wchodzić wiadomo gdzie”. To nie dotacja, tylko prostytutka. Nienawidzę tego. W jaskrawy sposób widać to w mainstreamowych mediach. Przepraszam za to, co powiem, ale gardzę ludźmi, którzy funkcjonują w taki sposób. Wolę biedniej, skromniej, ale na swoim. Nasi wrogowie chcą nas uwalić, uderzając w nasze finansowanie. Żyjemy dzięki ludziom, którzy nas oglądają. Teraz nie możemy do nich dotrzeć, więc walczymy o życie.

Nie masz dość kopania się z systemem?

Czasami tak. Ale mam w sobie jakieś samozaparcie, mobilizuję się, kiedy mnie coś wnerwia. Kiedy dostaję „gonga”, wstaję, otrzępię się i idę dalej. Jak nie my, to kto?



Tomasz Rowiński

To sam Kościół sprawia, że ubywa dzieci, które chcą chodzić na religię

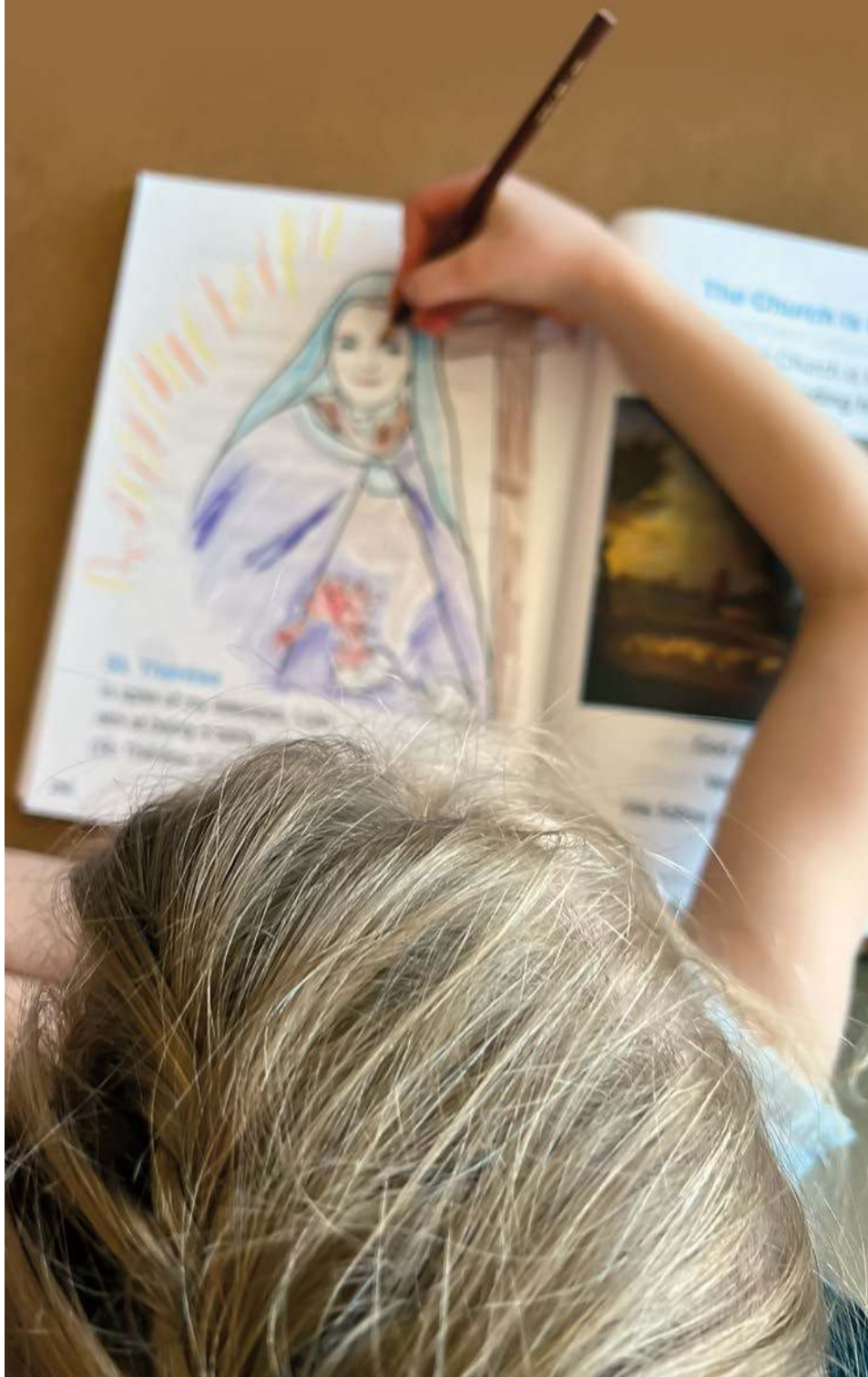
Statystyki szkolnej katechizacji wyglądają w Polsce coraz gorzej, ale to nie jest jedyny i najważniejszy powód do refleksji, która powinna zostać podjęta przez ludzi odpowiedzialnych w Kościele za edukację religijną. Na religię coraz mniej chętnie chodzą także dzieci z domów wierzących i zaangażowanych katolików. Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak się dzieje.

Pomiędzy rokiem szkolnym 2018/2019 a rokiem 2020/2021 udział uczniów w lekcjach religii w liceach spadł aż o 11 pkt. proc. Z wciąż wysokich 80 proc. do już nie tak zachwycających 69 proc. W dużych miastach te dane wyglądają jeszcze gorzej i oscylują w okolicy 50 proc. W diecezji bydgoskiej – miałem okazję niedawno bliżej przyjrzeć się sytuacji w tym regionie – jest to 56 proc. uczniów ze szkół ponadpodstawowych, którzy uczestniczą w lekcjach religii, przy ponad 80 proc. uczniów w szkołach podstawowych. Jednak to, że w podstawówkach sytuacja jest lepsza, nie może być żadnym pocieszeniem. Na etapie edukacji w szkole podstawowej o udziale w lekcjach religii w pełni decydują rodzice. To w liceach kształtuje się i ujawnia samodzielna tożsamość młodego człowieka, która nawet jeśli później nie towarzyszy mu przez resztę życia, to zdecydowanie wpływa na jego sposób rozumienia świata. Rodzice są też bardziej skłonni uwzględnić zdanie nastolatków. Osłabienie partycypacji w lekcjach religii oznacza, że kolejne pokolenia Polaków będą stawały się w coraz większym stopniu religijnymi analfabetami. W polskim przypadku, w którym Kościół zawsze odgrywał duże znaczenie w poczuciu suwerenności osobistej i społeczno-politycznej, analfabetyzm religijny nieuchronnie staje się zapowiedzią poważnego kryzysu społecznego

TŁO SPOŁECZNE

Przyczyn, dla których odsetek uczniów biorących udział w katechezie jest coraz niższy, jest oczywiście wiele. Pandemia COVID-19 – a właściwie związane z nią restrykcje – przyspieszyła w zauważalny sposób mierzoną statystycznie sekulary-

Demontaż szkolnej katechezy



FOT. ADRIAN STOK

zacje. Przerwała u wielu ludzi rutynowe uczestnictwo w praktykach religijnych, do których już po cofnięciu sanitarnych ograniczeń nie wróciło.

Na stosunek do religii z pewnością nakłada się spór polityczny i ideologiczny trwający w Polsce od lat i nabierający coraz ostrzejszych kształtów. Wielu Polaków udało się przekonać, że najistotniejszy wybór, przed którym stoi, to ten, czy poprzecz Zjednoczoną Prawicę czy też totalną opozycję. Religia stała się w tym układzie jedynie elementem politycznej gry, a nie kryterium, według którego powinno się politykę oceniać. Skoro zaś utarło się przekonanie o sojuszu PiS i Kościoła, to osoby niechętne prawicy opuszczają także Kościół. W konsekwencji zaś ich dzieci opuszczają lekcje religii.

Jeśli chodzi o społeczny kontekst uczestnictwa w katechezie, to powraca niestety także – w niektórych przynajmniej, np. wielkomiejskich środowiskach – problem ostracyzmu wobec uczniów, którzy religię jednak wybierają. Tak jak wcześniej w latach 90. uczestnicy lekcji religii, gdy są w mniejszości lub wyłamują się z funkcjonującego w wielu szkołach klimatu lekceważenia dla tych zajęć, spotykają się z odrzuceniem przez grupę rówieśniczą. O tym problemie zupełnie niedawno mówił mi na antenie Radia PiK ks. prof. Mirosław Gogolik z Wydziału Katechizacji i Szkół Katolickich diecezji bydgoskiej.

Istnieją też problemy na poziomie samego systemu edukacji oraz organizacji życia szkolnego. Katecheza jest niejednokrotnie umieszczana na tzw. lekcjach zerowych, czyli jeszcze przed godziną ósmą rano lub w godzinach późno popołudniowych. W tym drugim przypadku uczniowie często są zmęczeni wielogodzinną nauką i – co zrozumiałe – szukają wręcz pretekstu, by z religii zrezygnować. Nie dziwi też, że rodzice nieraz ulegają ich prośbom o wypisanie z katechezy. W ten sposób zorganizowany układ lekcji nie uwzględnia również takich kwestii jak konieczność dojazdu do szkoły czy powrotu do domu. Dziś problem ten dotyczy w równym stopniu uczniów mieszkających na prowincji, co tych z dużych ośrodków, gdzie na przemieszczanie się trzeba poświęcić często znaczną część dnia.

LEKCJE BEZ WARTOŚCI

Zostawmy jednak kwestie, które można określić mianem makrospołecznych. Wpływ na nie, nawet tak dużej instytucji,

jaką jest Kościół katolicki w Polsce, pozostaje siłą rzeczy ograniczony. Katecheza generuje, z punktu widzenia wierzących całego naszego lokalnego Kościoła, problem jeszcze poważniejszy niż dość szerokie społecznie zniechęcenie uczniów i rodziców do udziału w lekcjach religii.

Na religię coraz częściej nie chcą uczęszczać także uczniowie z rodzin, w których religia zajmuje ważne miejsce. I to nie dlatego, że jest im ona obojętna, ale dlatego, że katecheza szkolna nie wnosi do ich życia żadnej większej wartości. Nie uczy o prawdach wiary, moralności, tradycjach, kulturze, czyli o tym wszystkim, co składa się na bogactwo katolicyzmu. Nie tworzy też żadnej szczególnej więzi z Chrystusem i Jego Kościołem. Lekcje religii często mijają na niezobowiązujących i miłych rozmowach uczniów pozostających pod opieką katechety. W gorszych sytuacjach na religii odrabia się pracę domową z innych przedmiotów. Niestety, taka forma katechezy dla jednych jest jedynie formą bezwysiłkowego odbycia jeszcze jednej godziny lekcyjnej, dla innych będzie zwykłą stratą czasu.

Dzieci z rodzin katolickich często wiedzę o sprawach wiary czerpią od rodziców lub środowisk, w których się udzielają – grup służby liturgicznej, skautingu czy istniejących przy parafiach wspólnot formacyjnych. Rozmowa z nastoletnią, wierzącą córką, która przychodzi do rodzica i mówi, że niczego się na religii nowego nie uczy, że lekcje te zamiast dobrą atmosferą często tchną infantylizmem, nie jest sprawą prostą.

Teraz wyobraźmy sobie, jak takie katechezy, które zamiast przekazywać konkretną wiedzę, próbują pokazać uczniom, że Kościół jest „fajny”, odbierają uczniowie mało religijni lub niereligijni. Jak reagują ich rodzice na opowieści o tym, co dzieje się na tych lekcjach? Dobrze wiem jak – sami nie mając dobrych argumentów – nieraz machną ręką, dodając przy tym, że faktycznie nie warto tracić czasu na głupoty. Obecny, praktyczny, a także – jak słyszę – teoretyczny model katechezy przeżyciowej prowadzi do powstania w młodych pokoleniach wyuczonego przekonania, że cała rzeczywistość religii jest infantylna i nieważna.

Co gorsza, postulat przywrócenia katechezy merytorycznej, ukierunkowanej na poznanie religii katolickiej przez tych, którzy takiego poznania oczekują, spotyka się często z niezrozumieniem u ludzi

Kościół odpowiedzialnych za edukację. Można usłyszeć, że przecież ludzie wykształceni religijnie niekoniecznie okazują się tymi bardziej religijnymi. Opinia taka jest doprawdy czymś kuriozalnym.

Po pierwsze – jak można być wyznawcą religii katolickiej, nie znając jej w stopniu choćby podstawowym? A wielu uczniów po szkole nie zna jej wcale. Nie znając racjonalnych, historycznych, filozoficznych i wreszcie teologicznych przesłanek katolicyzmu – na poziomie odpowiednim do wieku – nie da się być zaangażowanym wyznawcą Chrystusa. Tyle razy słyszymy w homiliach, że bycie religijnym nie oznacza jeszcze wiary. Ale wiary nie da się poznać bez słuchania o jej prawdach.

Po drugie – jednym z fundamentów współczesnych antykatolickich nastrojów, które widoczne są także w Polsce, jest ignorancja. Człowiek wykształcony religijnie często może stać się antyklerykałem, bywa on i ateistą, ale znacznie rzadziej będzie on bezrefleksyjnym wrogiem wiary, pełnym agresji, która wynika z niewiedzy. Dziś taka wrogość wzbiera i często wynika z fałszywych wyobrażeń o katolicyzmie, te zaś biorą się m.in. z deficytów szkolnej edukacji. Każda kolejna infantylna lekcja religii pogłębia ten problem.

O CO CHODZI W KATECHEZIE?

Konieczne trzeba też podnieść wątek kulturowego znaczenia lekcji religii, który uległ w Kościele zapomnieniu. W katechezie nie chodzi o to, by tworzyć religijne grupy, które dobrze czują się w swoim gronie i spotykają się przy Kościele (a do tego niestety często sprostadozka się katolickie duszpasterstwo). Katecheza powinna zakorzeniać młodych ludzi – niezależnie od ich późniejszych życiowych wyborów – w tej kulturze religijnej, która wyznacza uniwersalne ramy, również etyczne, naszych polskich społeczności. Katechezy szkolne powinny w procesie formacji polskiego obywatela tworzyć z religii katolickiej światopoglądowy punkt odniesienia, ostatecznie bowiem to katolicyzm przez wieki była i wciąż może być formą polskiego życia. Osobiste zaangażowanie w wiarę, w życie sakramentalne jest już kwestią łaski i własnych wyborów. Skuteczne przekazywanie prawd i dóbr duchowych, które od przodków otrzymaliśmy jako zapowiedź dobrego życia osobistego, a także społecznego, jest zadaniem edukacji religijnej.

Jesień średniowiecza dla piratów



Łukasz Zboralski

Po urealnieniu wysokości mandatów drogowych Polacy zdjęli nogę z gazu. Ci, którzy wciąż nie mogą się opanować za kółkiem, od 17 września mają kolejną presję – podwójne mandaty za recydywę i wyższą liczbę punktów karnych za niektóre wykroczenia

Kiedy po 30 latach próbowano w Polsce dopasować wysokość grzywnien za wykroczenia drogowe do obecnych czasów, nie brakowało głosów, że taka zmiana nic nie wniesie. Po ośmiu miesiącach wiemy już, że zmieniło się wiele. Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym pokazało właśnie, że po wprowadzeniu wyższych kar fotoradary rejestrują o 30 proc. mniej wykroczeń kierowców. W dodatku wśród wszystkich przekroczeń prędkości ponad połowę stanowią niewielkie wykroczenia – takie, w których kierowcy przekroczyli dopuszczalną prędkość o nie więcej niż 20 km/h.

Wniosek jest prosty: w obliczu surowych kar Polacy na drogach zwolnili. A to przekłada się na lepsze skutki zdarzeń. Podczas gdy w wielu krajach UE liczba śmiertelnych wypadków drogowych wraca do poziomów sprzed pandemii (m.in. w Belgii wzrost o 40 proc.), w Polsce ta liczba wyraźnie maleje, i to nawet w porównaniu z ubiegłym rokiem. Do sierpnia na naszych drogach

Za co od razu będzie 15 punktów karnych?

- omijanie pojazdu, który jechał w tym samym kierunku, lecz zatrzymał się w celu ustąpienia pierwszeństwa pieszemu
- wyprzedzanie pojazdu na przejściu dla pieszych, na którym ruch nie jest kierowany, lub bezpośrednio przed tym przejściem
- nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu znajdującemu się na przejściu dla pieszych albo wchodzącemu na to przejście
- niezatrzymanie pojazdu w razie przechodzenia przez jezdnię osoby niepełnosprawnej, używającej specjalnego znaku, lub osoby o widocznej ograniczonej sprawności ruchowej w celu umożliwienia jej przejścia
- przekroczenie dopuszczalnej prędkości o więcej niż 70 km/h
- niestosowanie się do znaku B-25 lub B-26 „zakaz wyprzedzania”
- objeżdżanie opuszczonych zapór lub półzapór oraz wjeżdżanie na przejazd, jeśli opuszczanie ich zostało rozpoczęte lub podnoszenie ich nie zostało zakończone
- wjeżdżanie na przejazd kolejowy za sygnalizator przy sygnale czerwonym, czerwonym migającym lub dwóch na przemian migających sygnałach czerwonych, lub za inne urządzenie nadające te sygnały
- wjeżdżanie na przejazd kolejowy, jeśli po jego drugiej stronie nie ma miejsca do kontynuowania jazdy
- jazda autostradą lub drogą ekspresową w kierunku przeciwnym niż wynikający z ustawy lub znaków drogowych

oprac. luz

w wypadkach życie straciło o 12 proc. mniej osób niż w analogicznym okresie poprzedniego roku.

Tymczasem 17 września w życie weszła kolejna część reformy nadzoru na drogach. Te zmiany wycelowane są nie w kierowców, którym zdarzy się raz popełnić błąd, ale w tych, którzy notorycznie łamią prawo za kierownicą.

Najważniejszą zmianą jest wprowadzenie pojęcia recydywy. Wybrano kilka najpoważniejszych wykroczeń drogowych, których ponowne popełnienie skutkować będzie podwójną kwotą grzywny.

Obrazowo – jeśli ktoś będzie wyprzedzał na zakazie, to dostanie 1 tys. zł mandatu, jeśli w ciągu dwóch lat od ukarania popełni dokładnie takie samo wykroczenie – tym razem zapłaci już 2 tys. zł grzywny.

Od 17 września punkty karne na koncie kierowcy kasują się dopiero po dwóch latach (a nie jak do tej pory – po roku), i to licząc od momentu zapłaty mandatu.

W dodatku znikną też płatne kursy, dzięki którym raz na sześć miesięcy można było skasować sobie sześć punktów karnych z konta.

Dużo szybciej będzie można też stracić prawo jazdy. Za niektóre przestępstwa i wykroczenia przyznawanych będzie jednorazowo aż 15 punktów karnych (limit dla kierowcy pozostanie ten sam – 24 punkty, po jego przekroczeniu trzeba zdać egzamin sprawdzający). Taka kara grozić będzie m.in. za przekroczenie prędkości o więcej niż 70 km/h czy nieustępowanie pieszym. Za rozprawianie przez telefon trzymany w dłoni policja karać będzie od razu 12 punktami karnymi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Recydywa – za co grozić będą podwójne mandaty?

PRZEKROCZENIA PRĘDKOŚCI

- 31–40 km/h: 800 zł – RECYDYWA: 1600 zł
- 41–50 km/h: 1000 zł – RECYDYWA: 2000 zł
- 51–60 km/h: 1500 zł – RECYDYWA: 3000 zł
- 61–70 km/h: 2000 zł – RECYDYWA: 4000 zł
- 71 km/h i więcej: 2500 zł – RECYDYWA: 5000 zł

ZACHOWANIA WOBEC PIESZYCH

- nieustąpienie pierwszeństwa piesze-
mu: 1500 zł – RECYDYWA: 3000 zł
- wyprzedzanie na przejściu dla pieszych
lub bezpośrednio przed nim: 1500 zł –
RECYDYWA: 3000 zł
- omijanie pojazdu, który zatrzymał się
w celu ustąpienia pieszemu: 1500 zł –
RECYDYWA: 3000 zł
- niezatrzymanie pojazdu w celu umoż-
liwienia przejścia przez jezdnię osobie
niepełnosprawnej, używającej specjał-
nego znaku, lub osobie o widocznej

ograniczonej sprawności ruchowej:
1500 zł – RECYDYWA: 3000 zł

ZACHOWANIA NA PRZEJAZDACH KOLEJOWYCH

- objeżdżanie opuszczonych zapór lub
półzapór na przejeździe kolejowym:
2000 zł – RECYDYWA: 4000 zł
- wjeżdżanie na przejazd kolejowy,
jeśli opuszczanie zapór lub półzapór
zostało rozpoczęte lub podnoszenie
ich nie zostało zakończone: 2000 zł –
RECYDYWA: 4000 zł
- wjazd na przejazd kolejowy za sygna-
lizator lub za inne urządzenie nadające
sygnały, przy sygnale czerwonym,
czerwonym migającym lub dwóch
na przemian migających sygnałach
czerwonych: 2000 zł – RECYDYWA:
4000 zł
- wjeżdżanie na przejazd kolejowy, jeśli
po jego drugiej stronie nie ma miejsca
do kontynuowania jazdy: 2000 zł –
RECYDYWA: 4000 zł

INNE WYKROCZENIA

- złamanie zakazu wyprzedzania:
1000 zł – RECYDYWA: 2000 zł

- spowodowanie kolizji, w której ktoś
doznał rozstroju zdrowia lub został
ranny: 1500 zł – RECYDYWA 3000 zł
- spowodowanie kolizji i innego
zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu
drogowym po użyciu alkoholu (czyli
od 0,2 promila) lub podobnie działa-
jącego środka: 2500 zł – RECYDYWA:
5000 zł
- prowadzenie pojazdu w stanie po
użyciu alkoholu (czyli od 0,2 promila)
lub podobnie działającego środka:
2500 zł – RECYDYWA: 5000 zł
- jazda wzdłuż po chodniku lub prze-
jściu dla pieszych: 1500 zł – RECYDY-
WA 3000 zł
- naruszenie zakazu wyprzedzania:
1000 zł – RECYDYWA: 2000 zł
- prowadzenie pojazdu mechanicznego
bez uprawnień: (do) 1500 zł – RECY-
DYWA: (do) 3000 zł
- niezastosowanie się do znaku lub
sygnału drogowego albo do sygnału
lub polecenia osoby uprawnionej do
kierowania ruchem lub do kontroli
ruchu drogowego: do 5000 zł –
RECYDYWA: do 10 000 zł

oprac. luz

REKLAMA



**KUPUJ
TYGODNIK „DO RZECZY”
W PLACÓWKACH
„POCZTY POLSKIEJ”**

**Sprawdź listę punktów sprzedaży:
tygodnik.dorzeczy.pl/sprzedaz**



Celebryckie opary absurdu



FOT. WOLFFPIL

Zeby wszechświat i Bóg was wynagrodził i waszą wiarę i miłość, którą macie do swojej córki, ja zagram na bębnie. Nie wiem jeszcze, co to będzie za pieśń. Zawsze gram tak, jak mi przyjdzie – taki oto wstęp poprzedził szeroko komentowany występ byłej blogerki modowej, a obecnie soul coacha Tamary Gonzalez Perei w „Sprawie dla reportera”. Trzydziestotrzylatka, która przedstawia się jako „certyfikowana terapeutka ustawień systemowych”, zagrała na bębnie, a do studia przyniosła ze sobą rzeźbioną kamienną czaszkę, która ma rzekomo uzdrawiającą moc.

Występ Perei był dodatkiem do zaprezentowanej historii nauczycielki języka polskiego, która przeszła udar mózgu i szukając pomocy w odzyskaniu sprawności, uciekała się nie tylko do medycyny konwencjonalnej. Jakiego boga miała na myśli była szafiarka (Boga chrześcijan z pewnością nie), nie wiadomo. W studiu temu niecodziennemu występowi przysłuchiwał się m.in. reżyser Krzysztof Zanussi, który podobnie jak internauci nie



Zuzanna Dąbrowska

Gra na szamańskich bębnach, obwieszanie się działającymi cuda kryształami i wiara w astrologię – polscy celebryci coraz częściej sięgają po gusła. Jednocześnie wielu z nich odrzuca chrześcijaństwo, twierdząc, że jest nienowoczesnym zabobonem

krył później zdziwienia tym, co zobaczył. Telewizja Polska w wydanym oświadczeniu przekazała, że „program interwencyjny »Sprawa dla reportera« od kilku dekad realnie pomaga ludziom w ich kłopotach, przynosi ulgę i daje nadzieję na lepszy los. Goście zapraszani przez zespół redakcyjny do udziału w audycji mają albo bezpośredni związek z historiami przedstawianymi w reportażach, albo też stanowią eksperckie lub interesujące z innych względów dopełnienie studyjnej, komentarzowej części programu”.

Pytanie, czy w mediach publicznych powinno być miejsce dla osób, które nie

tylko stosują wątpliwej skuteczności „terapię”, przekonując, że są pełnowartościową alternatywą dla tradycyjnej psychoterapii, lecz także po prostu wykorzystują naiwność ludzi. I tak w sklepie internetowym Tamary Gonzalez Perei można znaleźć kryształową czaszkę „alien star being” za „jedyną” 310 zł. „Kiedy zakupisz Czaszkę, pamiętaj, że masz do czynienia z Istotą, Twoim wyjątkowych duchowym przyjacielem, który będzie wspierać Cię w rytuałach, pomagać przeżywać świadomie sny i przywoływać wizje, a także chronić się przed negatywnymi energiami” – czytamy w opisie. Trzydziestotrzylatka oferuje tak-

że „szamański bęben syberyjski” za prawie 2,5 tys. zł („bęben szamański z motywem Drzewa Życia ochroni Cię przed złem i wesprze Twój duchowy potencjał”) oraz zestaw kadzideł z podstawką za 270 zł (ma „oczyszczać ludzi i przedmioty z negatywnej energii”). Jak wysłędzili internauci, akcesoria podobne do tych oferowanych przez gwiazdę można znaleźć znacznie taniej w jednym z popularnych chińskich sklepów internetowych.

Orientalne (i kosztowne!) fascynacje Perei wciąż są jednak niszą. W przeciwieństwie do „leczniczych” kamieni i kryształów, którymi z lubością obwieszają się polskie celebrytki. Bizuterią z magiczną mocą chwaliły się m.in. samozwańcza ekspertka do spraw ślubów Izabela Janachowska oraz modelka Sandra Kubicka. Z kolei Małgorzata Rozenek-Majdan wyznała: „Zawsze uważam, że należy się wspomagać wszystkimi dodatkowymi pozytywnymi rzeczami, jakimi można. Jeżeli przyjęło się myśleć, że kryształ górski ma swoją ochronną moc. Ja na wszelki wypadek noszę go po to, żeby się chronić od złego”.

CZERWONE BRANSOLETKI

Celebrytka zdradziła też, że za pomocą specjalnych zawieszek chroni najbliższych, a według serwisów plotkarskich synowie gwiazdy noszą na szczęście czerwone bransoletki (co ma korzenie w kabale – żydowski mistycyzm). Co ciekawe, Rozenek-Majdan i jej mąż Radosław Majdan, dbający o magiczną opiekę dla dzieci, postanowili nie chrzcić swojego wspólnego synka Henryka. „Zostawiamy decyzję naszemu synowi. Niech podejmie ją świadomie, gdy będzie pełnoletni. Jeżeli [...] będzie chciał się ochrzcić, to sam to zrobi. A gdybyśmy zrobili to dziś, to mógłby kiedyś mieć do nas o to pretensje” – wyjaśnił były bramkarz polskiej reprezentacji piłkarskiej. Jego żona dodała, że nie chce chrzcić dziecka ze względu na sprzeciw Kościoła wobec metody in vitro (jej trzej synowie zostali poczęci w ten sposób).

Chrzcić swojej córki nie zamierza także Natalia Siwiec, okrzyknięta Miss Euro 2012. „Nie zgadzam się z tym, że człowiek rodzi się z jakimś grzechem, więc nie mamy co zmywać. Chrzest to zaakceptowanie tego, że niby pochodzisz z grzechu. Każdy rodzi się czysty, dobry i może wykreować swoje życie tak, jak chce, bez żadnych obciążeń na wejściu” – wyjawiała celebrytka. Siwiec jest za to zwolenniczką „magicznych rytuałów”. Jeden z nich przeżyła w Meksyku, gdzie w rytm psychodelicznej muzyki eksploro-

wała jaskinię. Zaniepokojeni fani zwrócili uwagę na rozszerzone źrenice Siwiec i jej dziwne zachowanie. Miss Euro 2012, podobnie jak wiele rodzimych gwiazd, korzysta też chętnie z astrologii – narodziny swojej córki planowała według układu gwiazd. I o ile noszenie krzyżyka jest dziś w show-biznesie przejawem bycia „ciemnogrodzianinem”, o tyle afiszowanie się ze swoim znakiem zodiaku i wiara w horoskopy stały się normą. Związana ze stacją TVN Agnieszka Woźniak-Starak po tragicznej śmierci męża wyznała, że „w jakimś sensie nawróciła się na wiarę”. „Nie katolicką, bo nie wierzę w Kościół katolicki jako instytucję, ale na pewno uwierzyłam, że życie nie kończy się tu i teraz, że to wszystko musi mieć jakiś głębszy sens, wyższy cel” – wyjaśniła. Być może chodzi o wiarę w astrologię i to, że nasz los determinuje układ ciał niebieskich. Jakiś czas temu prowadząca śniadaniowy program „Dzień dobry TVN” zapożowała do zdjęcia z obrazem przedstawiającym barana. W ten sposób Woźniak-Starak nie tylko podzieliła się informacją o własnym znaku zodiaku, lecz także zaprosiła internautów do wspólnej zabawy. Na odzew nie trzeba było długo czekać. Pod wpisem szybko pojawiły się deklaracje innych gwiazd, również wierzących w znaki zodiaku – prezenterka „Faktów” Anita Werner pochwaliła się, że też jest baranem, a blogerka modowa Maffashion wskazała na pannę (Julia Kuczyńska pytana o chrzest syna przyznała, że ma ogromny dylemat). I choć astrologia jest w polskim społeczeństwie popularna nie od dziś, to warto przypominać, że to realne zagrożenie duchowe, które odziera człowieka z wolnej woli (o naszym życiu decyduje układ planet, nie nasze decyzje) i podmiotowości, które nadaje mu chrześcijaństwo.

BIOROBOTY, HYBRYDY I REPTILIANIE

Wokalistka Edyta Górniak zawsze była postacią nietuzinkową. Od początku pandemii COVID-19 w zaskakujący sposób uaktywniła się jednak w mediach społecznościowych. Obok przestrzegania przed skutkami szczepień i twierdzeniem, że „pandemia to hipnoza” Górniak zaczęła regularnie prowadzić „samoświadome” transmisje na żywo. O pracy w show-biznesie mówiła tak: – Trzeba szalenie kochać swoją pasję. Trzeba szalenie kochać obdarowywanie ludzi miłością, światłością, potęgą magii, uzdrowienia, oczyszczenia, żeby wytrzymać pracę w show-biznesie.

Podczas XIX Złotu Wolnych Ludzi w Torzymiu stwierdziła, że „nie każdy, kto wygląda jak człowiek, ma duszę”. Przekonywała, że wśród nas żyją „bioroboty, hybrydy i reptilianie”. Jedną z najnowszych mądrości Górniak dotyczy... butelkowanej wody. Piosenkarka przekonuje, że „Prawdziwa Woda występuje tylko na wolności. Reszta, czyli wszystkie zamknięte na lata w butelkach, to substancje tylko złudnie podobne charakterem do Wody. [...] Jeśli uzyskasz właściwy kod jej częstotliwości, zmienisz jej strukturę”. Gwiazda prowadzi też youtube'owy kanał „Akademia Przebudzenia”, gdzie uczy „jak odzyskać siebie”, i rozwodzi się na temat „naprawy DNA”. Obserwując aktywność Edyty Górniak, trudno nie mieć skojarzeń z New Age i różnymi odmianami sekciarstwa. Co prawda, ta utalentowana bądź co bądź artystka nie zdecydowała się jeszcze na monetyzowanie swoich mądrości, jednak być może to tylko kwestia czasu.

Są i tacy celebryci, którzy wykazują się kompletną ignorancją, mieszając chrześcijaństwo z różnymi sekciarskimi przesadami. I tak znana z „Tańca z gwiazdami” tancerka Edyta Herbuś uraczyła swoich instagramowych obserwatorów przesadą o „lustrzanej godzinie”. „Kiedy widzisz godzinę 09:09 na zegarze, to twój Anioł Stróż zachęca do słuchania i aufania” – rozwodziła się gwiazda, nawiązując do wiary w to, że godziny lustrzane, czyli np. 09:09 lub 12:12, są magiczne. Jednocześnie Herbuś czci św. Jana Pawła II i wyraża przekonanie, że papież Polak „wspiera nas z góry”. Z kolei aktorka Olga Kalicka choć ochrzciła dziecko, postanowiła zawiązać mu na ręce kabalistyczny czerwony sznurek. Pełnoetatowa celebrytka Julia Wieniawa chwaliła się, że każdy dzień zaczyna od palenia palo santo – peruwiańskiego kadzidła. Zanim moda na nie dotarła do Polski, oczywiście najpierw nowym trendem zachłysnęło się Hollywood. Dym oraz zapach palo santo mają przepędzić złą energię z pomieszczeń i ludzi. Tymczasem kilka lat temu Wieniawa wyznała, że wierzy w Boga. Do tej pory nie odcięła się od wiary.

Powyższy krótki „duchowy” przegląd rodzimego podwórka celebrytów pokazuje, że w ich świecie chęć zysku miesza się ze ślepym podążaniem za modą, z zagubieniem i niezrozumieniem chrześcijaństwa. I przypomina, aby na kolejne trendy patrzeć z przymrużeniem oka.

Epoka dwóch królów Portugalii – Manuela I i jego następcy Jana III w XVI w. – przypominała naszą złotą epokę – Rzeczpospolitą w czasach rządów zygmunto-wskich. W malarstwie portugalskim to okres syntezy wpływów flamandzkich z wcześniejszym dorobkiem kultury portugalskiej i wpływami renesansowych Włoch. Z precyzją i rewelacyjną techniką mistrzów z Gandawy i Brugii połączył się witalizm ojczyzny Vasco da Gamy i Magellana. Płótna zagli i płótna obrazów budowały w tamtej wyjątkowej epoce splendor i prestiż królestwa Portugalii. Fenomen tego wzajemnego oddziaływania mglistej Flandrii i zalanej słońcem krainy odważnych żeglarzy odkrywany jest po wielu wiekach z zapomnienia. Wystawa w Luwrze jest częścią programu „Cruzada Season”, inicjatywy dyplomacji kulturalnej, która ma pogłębić relacje między Francją i Portugalią i która obejmuje wiele wystaw i imprez do końca bieżącego roku.

ARTYSTYCZNI BRATANKOWIE

Wszystko zaczęło się od pewnej misji dyplomatycznej w 1428 r. Władca księstwa Burgundii Jan II postanowił wydać swego syna i następcę tronu Filipa za Izabele, infantkę Portugalii. Ważnym elementem takich przygotowań do ożenku było wówczas sporządzenie portretu wybranki. Dyplomacja burgundzka w celu uzyskania jak najlepszej wiedzy o urodzie kandydatki do małżeństwa wysłała do Lizbony swego najlepszego fachowca Jana van Eycka, nadwornego malarza księcia Jana.

Misja się udała. Portret powstał, choć oryginał obrazu zginął w dziejowych kataklizmach i dziś znamy go wyłącznie z paru kopii. Wizyta mistrza przeciągnęła się aż do 1429 r. i stała się początkiem szybkiego rozwoju malarstwa portugalskiego. Wtedy to powstał na portugalskim dworze królewskim osobny warsztat malarski, który rozwijał się dzięki coraz bardziej ożywionej współpracy z Flamandami. Artyści z Brugii, Brukseli i Gandawy byli wtedy w europejskiej czołówce. A Portugalczycy byli kulturowym Kopciuszkiem.

O tym sojuszu zadecydowała też jednak polityka. Portugalia nie miała najlepszych relacji z sąsiednią Hiszpanią, która była zabórczym sąsiadem z zachodu czyhającym na jej niepodległość. Flandria i Portugalia miały znacznie więcej wspólnych interesów. Żeglarze flamandzcy pilnie chłonili żeglarskie nowinki, które pozwoliły kapitanom portugalskim docierać do coraz dalszych zakątków świata. Statki z Antwer-



„Odprawa relikwii św. Auty z Kolonii (do Lizbony)”, Cristóvão de Figueiredo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Słońce Lizbony i mgły Brugii



Piotr Semka

„Złota epoka renesansu portugalskiego” – pod tą nazwą paryski Luwr wystawia największe arcydzieła malarstwa z epoki, gdy małe państwo na skraj Europy było centrum nowożytnych odkryć geograficznych

pii przywoziły z kolei do Portugalii skandy-nawskie drewno, niemiecką smołę, wyroby luksusowe z niemieckich miast i wschod-nioeuropejskie zboże. Portugalczycy mieli czym płacić. Przełom wieków XV i XVI to okres, gdy okręty z portugalskim krzyżem na żaglach penetrują wybrzeża Afryki i wy-spy na Atlantyku i wreszcie docierają do Indii. Do kraju przywożą cenne korzenie, luksusowe tkaniny z Azji i złoto.

Portugalia przeżywa wtedy niesamo-wity boom. Roger Crowley, autor książki

poświęconej portugalskim podbojom kolo-nialnym, pisze: „Na początku XV w. kraj ten liczył niespełna milion mieszkańców, a jego królowie byli zbyt biedni, by bić własną monetę. Niespełna sto lat później dzięki mądrym władcom i mężom stanu, takich jak infant Henryk Żeglarz, Portugalia zaczę-ła dystansować Genuę i Wenecję w wy-scigu o status europejskiej stolicy handlu egzotycznymi przyprawami. Niemiecki podróżnik Hieronimus Müntzel, który odwiedził Lizbonę w 1494 r., notował: »To



„Ślub św. Urszuli z księciem Conanem”, Cristóvão de Figueiredo

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

egzotyczne barwne miasto. Większe niż Norymberga i bardziej ludne».

A ten, kto się bogaci, chce mieć także sztukę na najwyższym poziomie. We flamandzkich pracowniach szybko rozeszła się wieść, że portugalscy klienci nieźle płacą za obrazy dla ich kościołów i rezydencji. A portugalski ciepły klimat aż kuśił do zamiany flamandzkich chłodnych zim na słoneczną Luzytanię. Dla konserwatywnej Portugalii, gdzie wcześniej występowały dość prowincjonalne odmiany europejskiego malarstwa gotyckiego, pojawienie się nowych trendów z Flandrii było tak samo rewolucyjne jak odkrywanie morskich dróg na Atlantyku i Oceanie Indyjskim. Nowy styl nie tylko w malarstwie, lecz także w architekturze i rzeźbie nazwano manuelińskim – od imienia władcy, którego dwór stał się centrum artystycznych nowinek.

ŚWIĘCI UBRANI W BRUGIJSKIE BROKATY

Przez długie dekady portugalska sztuka niespecjalnie interesowała paryski Luwr. W zbiorach największego muzeum Europy były tylko trzy obrazy portugalskie oraz dwa płótna Álvaro Piresa de Évory, portugalskiego malarza działającego w Toskanii i uznawanego powszechnie za malarza włoskiego. Pierwszy obraz, który otwiera wystawę, to „Święty Wincenty przykuty do kolumny” pędzla Nuno Gonçalvesa (ok. 1420–ok. 1490). Obraz ma jeszcze wiele cech typowych dla gotyku.

Najśłynniejszym dziełem tego malarza jest narodowa świętość Portugalczyków – „Polityk adoracji św. Wincentego”. Niestety,

na wystawie nie ma tego arcydzieła. Ekspersi z Muzeum Sztuki Dawnej w Lizbonie orzekli, że obraz fatalnie zniósłby podróż.

O samym Gonçalvesie nie wiemy zbyt wiele. W 1450 r. dostał nominację na malarza królewskiego, choć nic nie wiemy o jego życiu ani wykształceniu. Musiał jednak szybko zadziwić dwór i władzę, gdyż otrzymał trzykrotność wynagrodzenia swego poprzednika. W 1470 r. został określony kawalerem domu królewskiego, bardzo zaszczytnym tytułem szlacheckim – rzadko przyznawanym malarzom.

Kolejne płótno to dzieła flamandzkich przybyszów. Wyraźne cechy gotyckie, choć połączone z nowym, renesansowym stylem, ma „Ostatnia Wieczerza” Francesca Henriquesa. Malarza urodzonego i wychowanego w Amsterdamie, który studiował malarstwo w Brugii. Bardzo szybko zadziwił on Portugalczyków głównymi obrazami ołtarzowymi do katedry w Viseu oraz obrazem ołtarzowym w kościele św. Franciszka w Evola. Jego 18-letni pobyt w Lizbonie przerwała śmierć wskutek zarazy w 1518 r.

Więcej szczęścia miał inny przybysz z Flandrii – mnich malarz, który nad Tagiem znany był jako Frei Carlos. Po złożeniu ślubów jako zakonnik zakonu św. Hieronima (który był wtedy jednym z najbogatszych i najprężniejszych zgromadzeń zakonnych Portugalii) trafił do konwentu w Espinheiro koło Evory.

Stworzył tam obrazy dla ołtarzy niemal wszystkich najważniejszych portugalskich świątyń. Na wystawie reprezentują go trzy wybitne płótna: „Bonus Pastor”, czyli wizerunek Chry-



„Święty Wincenty przykuty do kolumny”, Nuno Gonçalves

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

stusa z jagnięciem, „Ecce homo” – obraz Zbawiciela ubranego w cierniową koronę przed obliczem Piłata – i wreszcie „Madonna karmiąca”, czyli wizerunek Matki Bożej odstawiającej swoją pierś, aby nakarmić Dzieciątko Jezus.

Autorem najbardziej okazałych obrazów na wystawie jest Jorge Afonso (1470–1540), który w 1508 r. został mianowany nadwornym malarzem króla Manuela I, a po nim aż do śmierci króla Jana III w 1529 r. Styl Jorge Afonso, nasycony naturalizmem i monumentalizmem, charakteryzuje się erudycyjnymi odniesieniami ikonograficznymi i nowatorskim duchem kompozycji.

O jego bardzo silnej pozycji świadczy to, że oprócz bycia malarzem był królewskim rzeczoznawcą, który oceniał jakość zamawianych przez króla płócien z zawrotną jak na tamte czasy gażą 10 tys. reali w złocie rocznie. „Jorge Alonso zdominował ówczesny świat malarski w Portugalii poprzez bardzo



„Piekło”, autor nieznany (ok. 1510–1520)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przemysłane związki rodzinne i zawodowe – mówi Joaquin Caetano, portugalski współkurator wystawy. – Siostra Jorge Afonso poślubiła wspomnianego już Francisca Henriquesa, który w Portugalii stworzył pracownię, w której zatrudniał flamandzkich podwykonawców. Jorge Afonso nie zapominał też o swoim bracie, którego zaprotegował na stolarza nadwornego wykonującego dla króla wyroby meble. Kolejna siostra Afonso poślubiła innego znanego stolarza, który umeblował cały pałac królewski w Coimbrze. Córkę braci Afonso poślubił kolejny malarz i tak powstał wielki klan artystyczny, który swoim członkom ułatwiał zdobywanie zamówień.

Caetano wskazuje: „Nie tylko kreowali oni ówczesny gust artystyczny, lecz także stworzyli monopol na zamówienia królewskie. O potęgę klanu może świadczyć chociażby dom, który Jorge Afonso wystawił w Lizbonie. Liczył on 56 pokoi i mieścił pięć pracowników. Oprócz tego miał też dom wiejski. Cała rodzina do końca XVI w. zdominowała cały rynek, co tłumaczy też pewną jednolitość estetyczną, ideową i zawodową ówczesnej produkcji malarzkiej”.

W cieniu potężnego klanu Afonsów pracowali też malarze, których nazwisk nie znamy. Na wystawie możemy oglądać dwa obrazy twórcy nazywanego „mistrzem z Lourincha” od jego najsłynniejszych dzieł z kościoła Santa Casa da Misericórdia w Lourincha koło Lizbony.

Ten twórca ze szkoły luzo-flamandzkiej wykazuje spore zaawansowanie techniczne i nowatorstwo stylistyczne, które udowadnia, że ówczesni portugalscy malarze nie byli tylko kopistami wzorów z Flandrii. Potrafili stworzyć nowy, oryginalny styl. W Luwrze możemy oglądać jego dwa obrazy – „Świętego Jakuba rozmawiającego z magiem Hermogenem” oraz „Transport ciała św. Jakuba”.



„Ecce homo”, Frei Carlos

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie znamy także nazwiska malarza obrazu „Piekło”, który prawdopodobnie powstał gdzieś między 1510 a 1520 r.

Dzieło to przez wiele lat wydawało się duchownym tak drastyczne, że pokazywano je tylko wybranym osobom. Istotnie, ta wizja piekła uderza swoim naturalizmem i przywołuje na myśl obrazy Hieronima Boscha, co znowu przypomina nam o wpływie Flamandów na mistrzów portugalskich. Trzy gracie wiszące głową w dół nad gorejącymi węglami zdają się reminiscencją tortur z tamtej epoki, a zarządzający wszystkim Lucyfer ma na głowie indiański pióropusz, co jest zapewne echem pierwszych kontaktów z indygenicznymi ludami Afryki i Brazylii.

I wreszcie w kontraście do makabry piekła pogodne obrazy kolejnych gigantów portugalskiej sztuki Cristóvão de Figueiredo i Gregorio Lopesa. De Figueiredo namalował dwa obrazy – „Odjazd relikwii św. Auty z Kolonii (do Lizbony)” i „Przybycie relikwii św. Auty do klasztoru Madre de Dijos”.

Te niezwykle wysmakowane obrazy powstały znowu w związku z dyplomatycz-

nymi relacjami między dworem Manuela I cesarza Maksymiliana I Habsburga. W 1517 r. habsburski władca zaofiarował swojej kuzynce, królowej Portugalii Eleonorze, relikwie św. Auty – jednej z tysięcy dziewic zamęczonych przez Hunów wraz ze św. Ursulą w Kolonii.

Eleonora, aby przywitać, jak należy, przybycie cennych relikwii do konwentu da Madre de Deus w Lizbonie, zamówiła cztery obrazy na drewnie do ozdobienia skrzyni zawierającej szczątki świętej. Na tych obrazach mieszają się religijny mit i splendor portugalskiego dworu. Malarz naprzeciwko statków wpływających do lizbońskiego portu odmalował ówczesne portugalskie pałace zbudowane w stylu manuelińskim.

NIEŁATWO BYĆ NA PERYFERIACH

Dopiero od niedawna zaczęto mówić o malarstwie portugalskiego renesansu jako o unikalnym zjawisku europejskiej kultury. Na te wieki zapomnienia o niezwykle fenomenie szkoły luzo-flamandzkiej wpłynął fakt peryferyjnego położenia Portugalii.

Obrazy z tej epoki prześladowało też wiele nieszczęść. Najpierw w 1755 r. Lizbonę zniszczyło trzęsienie ziemi, które wywołało masowe pożary, w których płonęły namalowane na drewnie obrazy ołtarzowe z tej epoki, a najwięcej było ich akurat w portugalskiej stolicy. Potem w pierwszej połowie XIX w. antyklerykalowie przeładowali w myśl oświeceniowych idei likwidację dziesiątek portugalskich klasztorów. Przy okazji likwidacji zakonów bardzo często wyrzucano stare i poczerniałe obrazy kojarzone z religijnym zabobonem. Wreszcie izolacja Portugalii w Europie za rządów Antonia Salazara i jego następcy Marcela Caetano utrudniła odkrycie przez zagranicznych historyków sztuki piękna portugalskiego renesansu.

Warto nadrobić te zaniedbania i zobaczyć samemu wspaniałą wystawę w Luwrze. Jest w Portugalii coś, co wywołuje u polskiego widza instynktowną sympatię. Czy są to podobne do Polski kresowość i dźwiganie przez wiele lat roli „antemurale christianitatis”, państwa blokującego ekspansję islamską od południa? A może decyduje nieuchwytny wdzięk lizbońskiej kultury?

© All rights reserved

Wystawa „Złota epoka renesansu portugalskiego” w Luwrze potrwa do 10 października 2022 r.

MNK
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE



SERIA WYSTAW
4+ NOWOCZESNOŚĆ
SERIES OF EXHIBITIONS 4+ MODERNITY

NOWY POCZĄTEK MODERNIZM W II RP

29.07.2022 – 12.02.2023

Muzeum Narodowe w Krakowie GMACH GŁÓWNY al. 3 Maja 1

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Realizacja wystawy „Nowy początek. Modernizm w II RP”
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Mecenas MNK



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Partner Strategiczny MNK

Partnerzy promocyjni



kbf:

Patroni medialni





„Polskie Davos” zakończone. XXXI Forum Ekonomiczne za nami

Zakończyło się XXXI Forum Ekonomiczne w Karpaczu – największe w tej części Europy spotkanie świata polityki i biznesu. Motywem przewodnim były wyzwania, przed którymi stoi obecnie światowa gospodarka

Europa w obliczu nowych wyzwań” – tak brzmiało hasło XXXI edycji Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Przedstawiciele świata polityki i biznesu dyskutowali m.in. o rozwoju gospodarki w dobie ostatnich kryzysów, takich jak pandemia koronawirusa i wojna na Ukrainie, rosnących cenach i przerwanych łańcuchach dostaw.

Coroczne spotkanie, nazywane często „polskim Davos”, jest okazją do dyskusji i wymiany poglądów między politykami i przedstawicielami biznesu. W tym roku Forum odwiedziło ponad 4 tys. gości, w tym premier Mateusz Morawiecki i ministrowie polskiego rządu.

GOSPODARCZY RAPORT SGH

XXXI Forum Ekonomiczne rozpoczęło się od prezentacji raportu o stanie gospodarki, który przygotowali eksperci ze Szkoły Głównej Handlowej, współpracując przy tym z organizatorami wydarzenia.

– Każda publikacja i każda rozmowa międzynarodowa po 24 lutego 2022 r. musi uwzględniać wszystkie konsekwencje związane z wybuchem wojny. Wojna przemeblowała zarówno architekturę europejskiego bezpieczeństwa, jak i europejską gospodarkę. I nie tylko europejską – powiedział, prezentując raport, Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego.

KRYZYS GOSPODARCZY

Temat kryzysu gospodarczego, przed którym stoi obecnie świat, przewijał się przez większość spotkań i paneli dyskusyjnych. Jak mówił podczas jednego z otwierających Forum spotkań Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys, obecne turbulencje, których doświadcza polska gospodarka, to piąty kryzys z rzędu.

– Najpierw mieliśmy pandemię, która spowodowała ryzyko głębokiej recesji,

upadłości firm, utraty miejsc pracy. Po tej recesji gospodarka, na szczęście, dość dynamicznie odbiła, ale niestety pojawiły się potężne problemy, jeśli chodzi o łańcuchy dostaw – powiedział.

Następne kryzysy, jak mówił Paweł Borys, są następstwem rosyjskiego ataku na Ukrainę. W pierwszej kolejności był to kryzys uchodźczy, a po nim nastąpił gwałtowny wzrost cen, wywołany m.in. embargiem na rosyjskie surowce energetyczne. Zdaniem prezesa PFR, międzynarodowa współpraca to klucz do wyjścia z trudnej sytuacji i to na niej teraz powinny się skupić kraje Zachodu.

POLSKA I CZECHY

Pod koniec pierwszego dnia Forum odbyła się debata premiera Polski, Mateusza Morawieckiego, i Czech, Petra Fialy. Dyskusja dotyczyła m.in. zmian, które zachodzą w unijnej polityce klimatycznej, w obliczu panującego kryzysu energetycznego.

– Dziś jesteśmy już za okresem bez troski, mamy problemy ekonomiczne i musimy podejmować decyzje. Musimy się pozbyć uzależnienia od Rosji, od dyk-



W XXXI Forum Ekonomicznym wziął udział Alexander MacDonald, dyrektor finansowy NASA. Podczas spotkania poruszył wątek udziału polskich astronautów w planowanych misjach kosmicznych, w tym w programie Artemis, który ma na celu powrót ludzi na Księżyc.

– Astronauci nie zostali jeszcze wybrani, ale jako że NASA współpracuje m.in. z ESA przy budowie Gateway, jest bardzo możliwe, że w przyszłości europejscy astronauta – w tym także polscy – mogą polecieć w ramach misji Artemis. Nie składam dziś żadnych obietnic, mówię tylko, że to możliwe – powiedział dyrektor finansowy NASA.

Na razie program Artemis nie ma dobrej passy. Start już dwukrotnie przekładano z przyczyn technicznych, bo w jednym z elementów wykryto wyciek paliwa raketowego. Dyrektor finansowy jest jednak spokojny o przyszłość programu i zapewnia, że będzie on kontynuowany aż do pełnego sukcesu.

– Program Artemis jest pierwszym programem od Apollo, który przetrwał zmianę prezydenta w USA. To daje mi ogromną nadzieję – powiedział Alexander MacDonald.

CZŁOWIEK ROKU

Jak co roku organizatorzy Forum Ekonomicznego przyznali nagrodę Człowieka Roku. Zaskoczenia nie było, nagrodę otrzymał prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Statuetkę odebrał w imieniu prezydenta Wasyl Zwarycz, ambasador Ukrainy w Polsce.

Przyznanie nagrody Zełenskiemu to wyraz uznania nie tylko dla samego prezydenta, lecz także dla bohaterstwa całego narodu ukraińskiego. Specjalną laudację na cześć laureata wygłosił wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki.

– Z tygodnia na tydzień stał się pan najbardziej znanym politykiem świata. Ukraina broniła się, a pan codziennie nam o tym mówił. Ukraina się broniła tak, jak nikt z nas sobie nie wyobrażał, że to jest możliwe, a pan nam to codziennie potwierdzał w swoich relacjach z oblężonego naprzód Kijowa, a potem kierującego bohaterską obroną Ukrainy miasta – powiedział.

– Pan zasługuje na nagrodę nieporównanie większą i mamy wszyscy nadzieję, że ta nagroda z Forum Ekonomicznego będzie początkiem ogromnego uznania dla pana prezydenta



w następnych miesiącach i latach – dodał.

ZAKOŃCZENIE FORUM

Choć kulminacyjny punkt XXXI Forum Ekonomicznego, czyli gala przyznania nagrody Człowieka Roku, odbył się w środę, to ostatni dzień także obfitował w ciekawe wydarzenia. Dyskutowano m.in. o ciemnej stronie transformacji cyfrowej. W debacie wziął udział m.in. Giuliano Pitrona, autor książki „The War of Rare Metals”.

– Nie ma czystego i odpowiedzialnego świata bez metali, a przecież będziemy potrzebować ich coraz więcej. Miedź, aluminium, żelazo – nie tylko te. Także nikiel, lity, kobalt, wolfram, metale ziem rzadkich, np. neodym, niezbędny do produkcji silników elektrycznych. Musimy zabezpieczać te zasoby, a nie rozmawiać o tym, jak to zrobić – powiedział.

Poruszono także temat roli współczesnych mediów w życiu politycznym. W debacie pt. „Polityk czy dziennikarz. Kto ma większą władzę?” udział wzięli przedstawiciele mediów: redaktor naczelny włoskiej gazety „L'identità” Alessio Postiglione; publicysta tygodnika „Do Rzeczy” Łukasz Warzecha oraz dziennikarz z „Dziennika Gazety Prawnej” Tomasz Żółciak, a także politycy Krzysztof Gawkowski i Janusz Kowalski.

Jak podkreślali przedstawiciele mediów, dziennikarze nadal są potrzebni i pełnią istotną funkcję w życiu publicznym. Stale zmienia się też ich relacja z politykami.

Alessio Postiglione uważa, że politycy mają większą władzę w dobie mediów społecznościowych, bo ich przekaz trafia bezpośrednio do ludzi. Za to aspekt intelektualny wciąż leży po stronie dziennikarzy.

Postiglione powołał się przy tym na przykłady nowych platform medialnych, takich jak TikTok czy Instagram, które skupiają się na przekazie obrazkowym, a nie – jak media tradycyjne – słownym.

tatury, która walczy z nami za pośrednictwem energii. Musimy dostosować swoją politykę energetyczną tak, żeby dało się ją zrealizować – powiedział Petr Fiala.

DRUGI DZIEŃ FORUM

W drugim dniu XXXI Forum Ekonomicznego także nie zabrakło interesujących spotkań i debat. W ramach Forum Ochrony Zdrowia dyskutowano m.in. o potrzebie budowania trwałego i odpornego systemu opieki zdrowotnej. Kluczem do powstania takiego systemu jest dobra współpraca sektora publicznego z prywatnymi firmami, wprowadzającymi na rynek nowe standardy.

Drugi dzień obfitował też w newsy, pokazy i prezentacje Przedstawiciele firmy Żabka, czyli jednej z największych w Polsce sieci handlowych, po raz pierwszy pokazali nowy format ekologicznych sklepów. Pierwszy z nich już niedługo zostanie otwarty w Poznaniu.

POLSCY ASTRONAUCI POLECAJ W KOSMOS?

Wieczorem coś dla siebie mogli znaleźć fani eksploracji kosmosu.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Przeciw rozpacz



★★★★★
REŻ. PETER RAMSEY
„ZAGINIONY OLLIE”
(„LOST OLLIE”)
USA 2022

Zaginiony Ollie” to opowieść podobna z początku do „Toy Story”, ale ostatecznie dużo mroczniejsza. Zatem bajka bardzo prawdziwa: do krzepiącego przesłania docieramy poprzez chwile, które łamią nam serce. Tytułowy królik Ollie, szmaciana zabawka, trafia do sklepu ze starzyzną. Niewiele pamięta: nie wie, jak właściwie się tu znalazł i co mu się przytrafiło, jednego jest jednak pewien – ma najlepszego przyjaciela na świecie, chłopca imieniem Billy, chłopca, którego musi odnaleźć. Przysięgali sobie przecież wieczną przyjaźń. Co poszło nie tak?

Niespodziewanym towarzyszem podróży Olliego przez wielki świat okaże się przedziwna figura

– Zozo wyglądający niczym klaun, ewidentnie zabawka po ciężkich przejściach, o czym świadczą choćby chałupniczo dorabiane nogi. I jeszcze jeden życiowy rozbiitek, dziewczynka miś imieniem Rosy, nieufna i wojownicza. Niczym w dobrym thrillerze wędrująca trójka próbuje odtworzyć przeszłość z fragmentów wspomnień Olliego, licząc na to, że ułożą się w mapę prowadzącą do Billy’ego. Po drodze czekają trolle, wielka rzeka, biała wieża, Mark Twain (aczkolwiek niekoniecznie on sam) i wiele innych niespodzianek. Jednocześnie w retrospekcjach poznajemy życie Billy’ego, czyli przeszłość naszego królika. Nie wszystko w niej jest dobre,

N

przede wszystkim dlatego, że matka chłopca dotknięta zostaje poważną chorobą.

Serial powstał na podstawie książki Williama Joyce’a, której polskie wydanie (przepięknie ilustrowane) właśnie ukazało się nakładem Poradni K, literacki oryginał trochę się jednak od serialu różni. Przy produkcji połączyli siły twórcy dwóch najlepszych animacji ostatnich lat, czyli filmów „Spider-Man Uniwersum” oraz „Kubo i dwie struny”. Choć w warstwie wizualnej jest to przez większość czasu (miniseria liczy cztery odcinki) historia przeurocza, to w pewnym momencie robi się przerażająca. Jej twórcy rozumieją, że z dziećmi trzeba rozmawiać na poważnie i o poważnych sprawach, rekomenduję więc oglądanie wspólne. To nie tylko historia o tym, że musimy się zegnąć także z tym, co kochamy. Przede wszystkim o tym, że żal, rozpacz i gorycz mogą zatruć i zniszczyć życie – zarówno zabawki, jak i całkiem dorosłego człowieka. Od lat nie widziałem równie mądrego filmu dla dzieci. Tych małych i tych całkiem dużych. ©©



NOWE SERIALE: „ANDOR”

Powrót do uniwersum „Gwiezdnych wojen” – tym razem serial live action (podkreślam, bo powstają też i nowe animacje), którego głównym bohaterem jest Cassian Andor. Poznaliśmy go w filmie „Łotr 1” jako doświadczonego szpiega Rebelii, teraz akcja cofa się o pięć lat i dowiemy się więcej o tym, jak

postać grana przez Diego Lunę trafiła w szeregi ruchu oporu przeciw Imperium. Seria liczy 12 odcinków, pierwsze trzy pojawią się od razu w serwisie Disney+, kolejne trafiać tam będą w tygodniowych odstępach. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Andor”, USA 2022, Disney+



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- miniseria dokumentalna „Witajcie we Wrexham” („Welcome to Wrexham”, USA 2022)
- reż. Baz Luhrmann „Elvis”, USA 2022
- sezon 1 „Minuta ciszy”, Polska 2022

CANAL+



Jak Polacy tworzyli geografię: najsłynniejsi polscy podróżnicy i odkrywcy

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl ad6fdee2f1



Z prof. Zbigniewem
Długoszem, geografem,
autorem książki „Historia
odkryć geograficznych
i poznania Ziemi”

rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Paweł Edmund Strzelecki był pierwszym Polakiem, który okrążył glob?

PROF. ZBIGNIEW DŁUGOSZ: Wszystko na to wskazuje. Strzelecki od młodości marzył o podróżach. Prawdopodobnie pierwsze jego „wyprawy” do Austrii, Czech, Dalmacji, Włoch i Szwajcarii miały miejsce dzięki pozyskanemu spadkowi po zmarłych rodzicach. W 1829 r. zmarły książę Sapieha pozostawił mu w spadku znaczną kwotę, dzięki której mógł sfinansować późniejsze wyprawy. W 1829 r. Strzelecki opuścił Polskę. Prawdopodobnie po krótkim pobycie we Francji w 1831 r. zamieszkał w Wielkiej Brytanii i dwa lata później wyruszył z Liverpoolu w dziewięcioletnią podróż, którą – jak się okazało – odbył dookoła Ziemi, sam ją finansując.

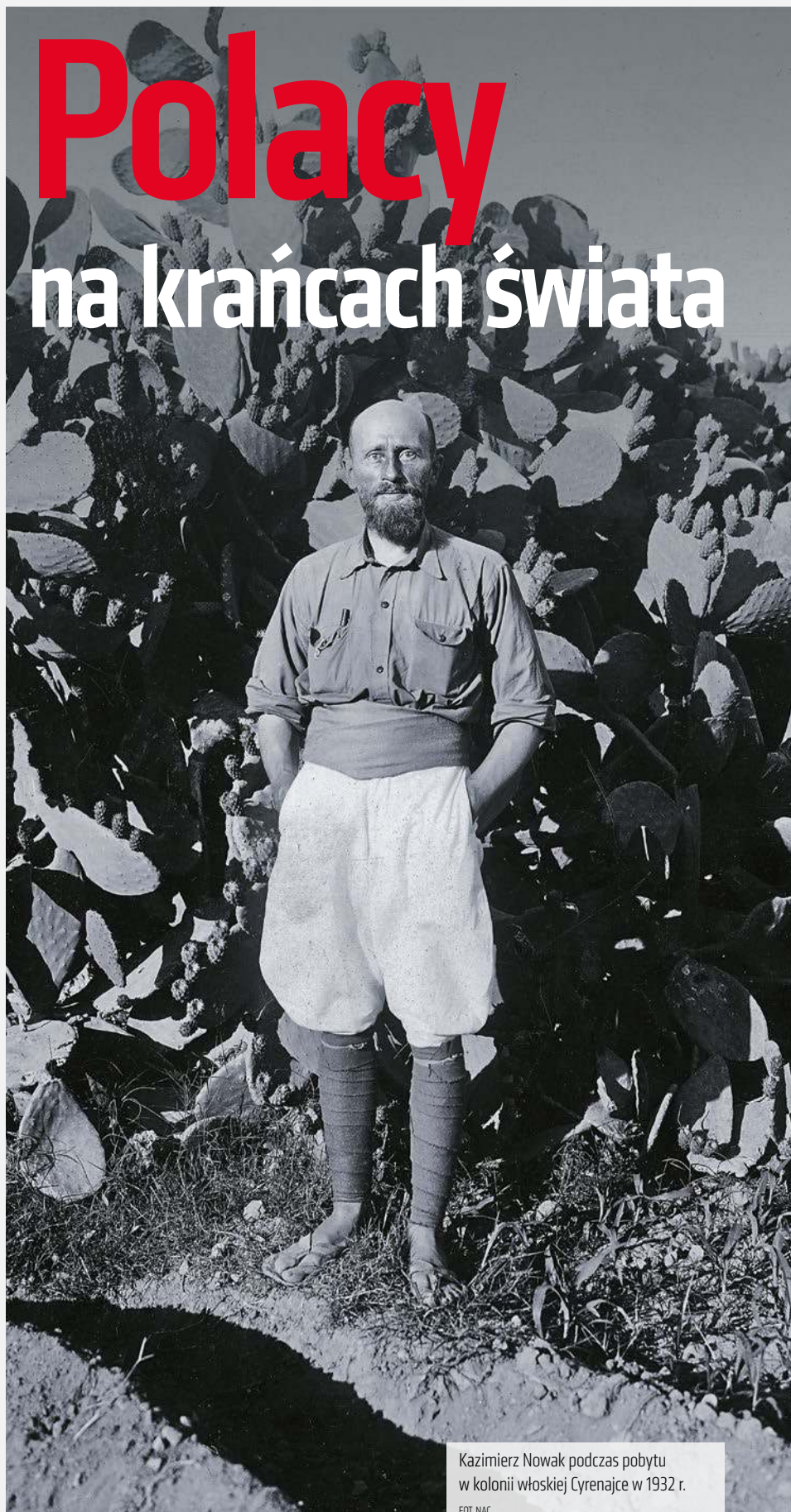
Jak wyglądała trasa jego wyprawy?

Strzelecki prowadził badania przyrodnicze w Ameryce Północnej w górach Appalachach, na Florydzie i w Kanadzie. Dalsza trasa wiodła przez Meksyk i Kubę do Ameryki Południowej. Tam z kolei podróżował od Peru, przez Ekwador, Brazylię, Urugwaj, Argentynę, aż do Chile. Następnie kontynuował badania na Hawajach i wyspach Polinezji, a w latach 1839–1843 eksplorował obszar Australii, Nowej Zelandii i Tasmanii. Podczas pobytu w Australii, badając Wielkie Góry Wododziałowe – najwyższe pasmo tego kontynentu – stanął 12 marca 1840 r. na jego szczycie i podkreślając swoją polskość, nazwał go Górą Kościuszki. Strzelecki zapisał się również odkryciem Gippslandu – krainy nazwanej tak na cześć ówczesnego gubernatora Nowej Południowej Walii. Odkrył także Dolinę Latrobe nazwaną tak od nazwiska wicegubernatora, gdzie występują bogate pokłady węgla brunatnego, ropy naftowej i złota. Kłopoty ze zdrowiem sprawiły, że w październiku 1843 r. powrócił do Europy.

Jak widać, nie było to „zwykłe” podróżowanie, skoro Strzelecki prowadził skomplikowane – jak na tamte czasy – badania.

Tak. Poza wspomnianymi dokonaniem do najważniejszych jego osiągnięć w Ameryce Północnej należy zaliczyć odkrycie

Polacy na krańcach świata



Kazimierz Nowak podczas pobytu w kolonii włoskiej Cyrenajce w 1932 r.

FOT. NAC

eksploatowanych do dziś w Kanadzie nad jeziorem Ontario złóż rud miedzi. W Ameryce Południowej zaś, na obszarze Ekwadoru, Argentyny i Peru, Strzelecki prowadził prace badawcze nad tamtejszymi wulkanami i złożami surowców mineralnych. W Brazylii, Peru i Ekwadorze prowadził natomiast badania geologiczne oraz z zakresu meteorologii.

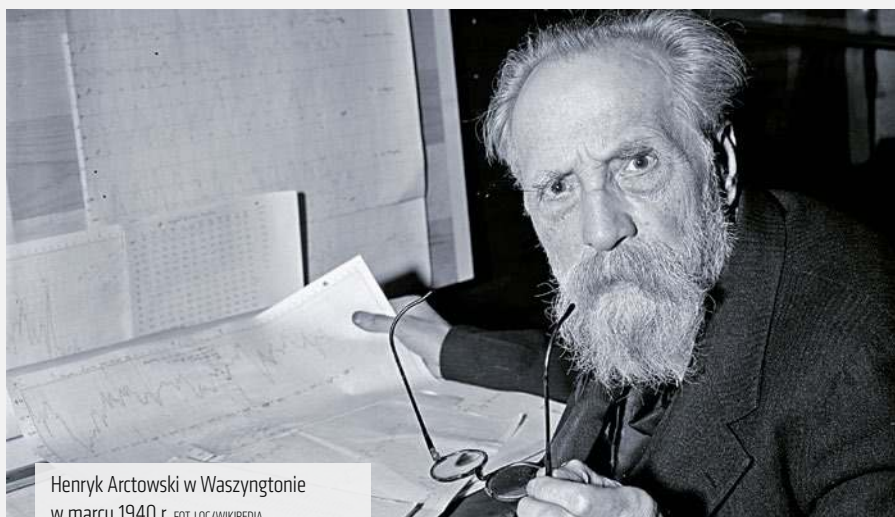
Zdaje się, że australijscy geografowie doskonale znają nazwisko tego Polaka...

Oprócz wspomnianych dokonań w Australii, z których znany jest Strzelecki, należy dodać, że opracował on też pierwszą dokładną mapę geologiczną Nowej Południowej Walii i wyspy Tasmanii. Podczas poszukiwań geologicznych Strzelecki odkrył i opisał kilka pokładów węgla. Do dziś na obszarze tym wydobywa się miedź oraz złotonośny kwarc.

Dwa lata po powrocie do Europy Strzelecki wydał w Londynie pierwsze obszernie opracowanie naukowe o Australii, zawierające wyniki jego badań z zakresu geologii, etnografii, klimatologii, przyrody ożywionej oraz gospodarki rolnej. Dzieło Strzeleckiego było także przekazem kolonialnej historii Australii oraz Tasmanii.

Czy Michał Boym był pierwszym polskim sinologiem?

Za europejskiego pioniera sinologii uznaje się weneckiego kupca i podróżnika Marca Polo. Był on jednym z pierwszych Europejczyków, którzy dotarli na tereny dzisiejszych Chin w XIII w. W jednej z wypraw towarzyszył mu, jak podają przekazy, Benedykt Polak, niemniej za pioniera polskiej sinologii uważa się właśnie jezuitę Michała Boyma. Pierwszym natomiast polskim wykształconym sinologiem był Franciszek Białas (1878–1936), który studiował we Francji, w Niemczech i uzyskał doktorat, a także był profesorem Uniwersytetu Katolickiego w Pekinie. Natomiast Michał Piotr Boym, żyjący w XVII w. polski misjonarz w Chinach, znany przyrodnik i kartograf, a także orientalista, był jednocześnie propagatorem chińskiej medycyny w Europie. W 1631 r. wstąpił do zakonu jezuitów w Krakowie i przez 10 lat przygotowywał się do pracy misyjnej na Dalekim Wschodzie. Po spełnieniu ślubów, przy błogosławieństwie papieża Urbana VIII, w 1643 r. wypłynął z Lizbony do Makau, gdzie wykładał w kolegium jezuickim. Następnie, prowadząc pracę misyjną na wyspie Hajnan, jako pierwszy Europejczyk dokładnie ją opisał. Połu-



Henryk Arctowski w Waszyngtonie w marcu 1940 r. FOT. LOC/WIKIPEDIA

dniowa dynastia Ming zaoferowała mu rolę posła do papieża, a był to burzliwy politycznie okres na Dalekim Wschodzie. Pokonując trasy poselskie, miał on okazję poznać niektóre obszary Afryki, Biskiego Wschodu i Azji Południowej. Efektem jego działalności były opracowania dotycząca wielu dziedzin. Podczas pierwszej podróży do Chin sporządził rysunki flory i fauny Mozambiku, a wracając jako chiński poseł do Europy, przywiózł sporządzony przez siebie atlas Chin.

Z czego przede wszystkim powinniśmy kojarzyć Michała Boyma?

Główną jego zasługą było uzmysłowienie współczesnym wielkości i położenia Chin. Jako pierwszy przedstawił też właściwe położenie wielu chińskich miast, zaznaczył na mapach Wielki Mur Chiński, a Koreę przedstawił jako półwysep. Mapy sporządzone przez niego zdobione były ilustracjami pokazującymi chińską florę, faunę, sceny z życia Chińczyków oraz przedstawiały chińskie budowle. Wszystko to rozszerzyło znacznie wiedzę współczesnych o Dalekim Wschodzie. Najbardziej znaczącym dziełem Michała Boyma była wydana w Wiedniu w 1656 r. „Flora chińska”. Była to pierwsza w Europie praca na temat roślinności Chin. Drugim znaczącym dziełem było „Specimen medicinae Sinicae”, traktujące o chińskiej medycynie, m.in. o akupunkturze.

Jak widać, nasi słynni odkrywcy rzadko kiedy byli geografami. Na przykład Benedykt Dybowski, który zasłynął z badania jeziora Bajkał, był lekarzem.

Benedykt Dybowski jako zesłaniec na Syberię po powstaniu listopadowym

walnie się przyczynił do poznania tego regionu Azji. Osadzony w pobliżu Czyty za Bajkałem w latach 1866–1883 prowadził prace naukowe głównie w zakresie ichtiologii i ornitologii. Terenem jego badań były podnóża Gór Jabłonowych, rejon Bajkału, dorzecze Amuru i Ussuri oraz Kamczatka, Sachalin, Wyspy Komandorskie i Kuryły, gdzie odkrył wiele gatunków zwierząt. Poza licznymi publikacjami do jego osiągnięć naukowych należy zaliczyć obalenie poglądów nauki rosyjskiej o ubóstwie biologicznym Bajkału, wyjaśnienie masowego śniecia endemicznej ryby głębiniowej – gołomianki – oraz odkrycie tego, że Bajkał tworzą dwa różnej głębokości akweny. Tak więc obok przyrodnika

François-Alphonse’a Forela Dybowski stał się współtwórcą limnologii i przyczynił się do rozwoju gałęzi dyscypliny geograficznej, którą nazywamy biogeografią.

Wygląda na to, że Polacy walenie przyczynili się do eksploracji Rosji. Za co Rosjanie powinni być w tym kontekście szczególnie wdzięczni Polakom?

Do poznania wschodnich obszarów carskiej Rosji przyczynił się także inny badacz, indywidualność naukowa Aleksander Piotr Czekanowski – geograf, geolog i paleontolog. Początkowo prowadził on badania na terenach guberni irkuckiej, a następnie z innymi Polakami zorganizował wyprawę w Sajany. Jednak największy rozgłos przyniosły mu trzy kolejne ekspedycje w dorzeczu Olenioka i Leny. W rezultacie tych wypraw, w których brali udział także inni Polacy, powstały mapy wspomnianych dorzeczy oraz zbiór wielu tysięcy okazów paleobotanicznych, skamielin



■ fauny kopalnej oraz żywych okazów gatunków flory i ryb.

Wybitnym uczniem Czekanowskiego był Jan Czerski, który zesłany został po powstaniu styczniowym do Omska. Początkowo odbywał on wycieczki naukowe wzdłuż Irtyżu. Później, studiując pod kierunkiem Czekanowskiego, całkowicie poświęcił się geografii i geologii wschodniej Syberii. Po zwolnieniu udał się do Irkucka, gdzie kontynuował rozpoczęte wcześniej badania. Największym jego osiągnięciem było geologiczne przebadanie wybrzeża Bajkału, co przyczyniło się do poszerzenia wiedzy o tektonice kontynentu. Ponadto Czerski zorganizował wyprawę do mało znanego regionu nad Kołymę i Indygirkę, gdzie niestety zmarł. W uznaniu zasług jego imieniem zostały nazwane miasto, dwa pasma górskie i dwa szczyty na Zabajkale.

Śpośród innych polskich zesłańców eksplorujących tereny Syberii należałoby wymienić m.in. Wacława Sieroszewskiego badającego kulturę Jakutów. Odkrył on także rudy żelaza w okęgach kołymskim i wierchojańskim, prowadził ekspedycje naukowe do Mandżurii oraz Japonii, dzięki czemu wszedł w posiadanie bogatych zbiorów botanicznych. Również jego podróże do Chin, Korei i na Sachalin zaowocowały odkryciami naukowymi.



Bronisław Malinowski na Wyspach Trobriandzkich w 1918 r. FOT. LSE LIBRARY COLLECTIONS/WIKIPEDIA

Henryk Arctowski to niewątpliwie nazwisko marka w świecie odkrywców. Jego wyprawa na „Belgice” wciąż robi wrażenie...

Henryk Bronisław Arctowski to polski geograf, geofizyk, geolog, meteorolog, glaciolog, a także podróżnik, który związany był z badaniami obszarów polarnych. Wywodził się z rodziny, której przodkowie w XVII w. przybyli do Polski z Wirtembergii, i zapisał się obok Bolesława Dobrowolskiego jako znaczący polski badacz Antarktyki. Zmieniwszy nazwisko Artzt na Arctowski, chciał podkreślić, że jest Polakiem. Podczas wyprawy zorganizowanej

Co udało mu się wówczas odkryć?

Arctowski podczas tej wyprawy prowadził badania oceanograficzne, meteorologiczne, glaciologiczne i geologiczne. Jako pierwszy potwierdził wyrażony wcześniej pogląd, że wyspy Sandwich Południowy i Sztetlandy Południowe oraz Ziemia Grahama są przedłużeniem Andów. W uznaniu jego zasług na polu badań naukowych Antarktyki jego imieniem nazwano półwysep i polską stację naukową na Sztetlandach Południowych.

Kazimierz Nowak opisał swoje podróże po Afryce w interesujących reportażach. Czy jego wojaze przykuwały uwagę również poza Polską?

Kazimierz Nowak to ciekawa postać, którą można śmiało nazwać polskim podróżnikiem korespondentem i fotografem, a także pionierem polskiego reportażu. W latach 1931–1936 przebył on samotnie kontynent afrykański z północy na południe i z powrotem, pokonując ok. 40 tys. km w najróżniejszy sposób: pieszo, na rowerze, konno, na wielbłądzie, czółnem bądź pociągiem. Droga na południe wiodła z włoskiej wówczas Libii, przez Egipt, Sudan Anglo-Egiptowski, Kongo Belgijskie (dzisiejszy Zair), Rodezję Północną (dzisiejsza Zambia) i Rodezję Południową (dzisiejsze Zimbabwe) aż do Przylądka Igielnego w RPA. Droga powrotna z kolei wiodła z przylądka przez wówczas portugalską Angolę, francuskie i belgijskie Kongo, dalej przez Francuską



„Clavis medica ad Chinarum doctrinam de pulsibus” – dzieło Michała Boyma z 1686 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Towarzyszący mu Bronisław Piłsudski zebrał z kolei bogaty materiał etnograficzny dotyczący życia m.in. Niwchów, Oroczan i Ajnów. Z kolei Piłsudskiego w pracach wspierał Władysław Kotowicz – orientalista, badacz Syberii i Mongolii, autor gramatyki języków mongolskiego i kałmuckiego, współautor monografii na temat Mandżurii i Korei. Polskich badaczy Dalekiego Wschodu było bardzo wielu i nie sposób tu wszystkich wymienić.

przez Belgijskie Towarzystwo Naukowe w latach 1898–1899 Arctowski pełnił funkcję kierownika naukowego ekspedycji do Arktyki. Wyprawa dotarła wówczas do Ziemi Ognistej, Ziemi Grahama i nieznanych wysepek w pobliżu Ziemi Aleksandra Pierwszego na Morzu Bellinghausena, gdzie statek „Belgica” został uwięziony w lodach na 13 miesięcy, przez co wyprawa ta przeszła do historii jako pierwsza, która zimowała w Arktyce.



Afrykę Równikową i Francuską Afrykę Zachodnią do jeziora Czad. Podróż zakończyła się w Algierii. Nowak od zawsze marzył o poznaniu tego kontynentu. Jednym z celów podjęcia podróży przez Afrykę było utrzymanie rodziny z honorariów za reportaże. Były one publikowane nie tylko w prasie polskiej, lecz także we francuskiej, włoskiej i brytyjskiej, stąd jego nazwisko znane było w wielu krajach. W swoich reportażach i na fotografiach z podróży, obok osobistych przeżyć, przybliżał on czytelnikom kulturę afrykańską, bogactwo świata przyrody afrykańskiej i życie duchowe kontynentu, jednocześnie przeciwstawiając się kolonializmowi. Niestety, po powrocie bez skutku starał się znaleźć zatrudnienie we Francji. Powróciwszy do kraju w 1936 r., wygłaszał bogato ilustrowane odczyty na temat Afryki.

Jak istotne dla światowej nauki były podróże i badania Bronisława Malinowskiego – naszego słynnego antropologa podróżnika?

Bronisław Malinowski odegrał na początku XX w. ważną rolę w badaniach wysp Oceanii. Była to osobowość o szerokich zainteresowaniach z zakresu socjologii, etnologii i antropologii. Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, a później w Lipsku, wyjechał do Anglii, skąd w 1914 r. przybył do Australii. W latach 1914–1918 prowadził badania na Nowej Gwinei, Wyspach Triobrianda i południowej części Morza Salomona. Prowadząc obserwacje

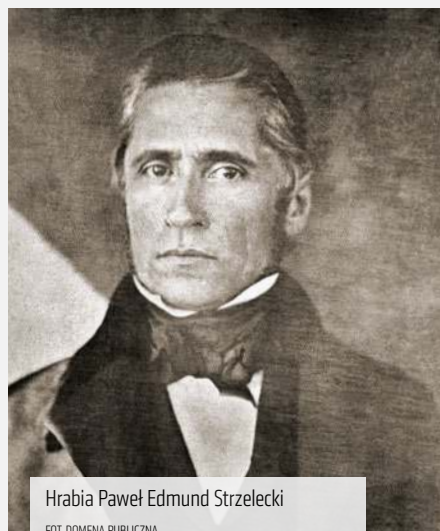
codziennego życia tubylców i przebywając wśród nich, szybko nauczył się ich języka. Podczas licznych podróży zebrał ogromny materiał dotyczący kultury, religii oraz codziennego życia mieszkańców tych wysp. Jego publikacje przyniosły mu szeroki rozgłos, a świat nauki uhonorował go stanowiskiem profesora na uniwersytetach w USA i Wielkiej Brytanii.

Podsumujmy to wszystko. Jakie miejsce zajmują Polacy w światowym rankingu odkrywców i podróżników?

Generalnie Polacy odegrali ważną rolę w eksploracji i doniesieniach o odkryciach i badaniach nowych ziem na naszym globie. Wprawdzie początki okrywania i poznawanie przez Europejczyków nie tylko Nowego Świata wiążą się z podbojami kolonialnymi dokonywanymi przede wszystkim przez Portugalczyków, Hiszpanów, a następnie przez Holendrów i Anglików, ale do szczegółowego poznania i zbadania wielu obszarów poszczególnych kontynentów przyczynili się, na ogół nie orężem, Polacy. Początkowo były to opisy na podstawie często anonimowych odkrywców. Wśród pierwszych Polaków, którzy stworzyli opisy nieznanymi ziem w oparciu o zgromadzone informacje o nowych odkryciach, był w XVI w. Maciej Miechowita. Opisał on obszar od Wisły do

Dla mnie najlepszym dziś popularyzatorem wiedzy o nieznanym szerzej obszarach na świecie jest Wojciech Cejrowski

Kubania i Tereku oraz od Oceanu Arktycznego do mórz Kaspijskiego i Azowskiego. Z kolei wśród pierwszych Polaków, którzy eksplorowali i poznawali Bliski Wschód m.in. przy okazji pielgrzymowania bądź prowadzenia handlu czy wyjazdów dyplomatycznych, należałoby wspomnieć Jana Dantyska, księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiła, Wacława Rzewuskiego, Aleksandra W. Jabłonowskiego, Karola Lanckorońskiego czy Karola Brzozowskiego. W poznawaniu i badaniu Afryki także nie zabrakło Polaków. To właśnie wspomniany Mikołaj Radziwiłł, będąc w Egipcie, wszedł na Piramidę Cheopsa, a następnie popłynął w górę Nilu. Spośród udokumentowanych osiągnięć jako pierwszych polskich eksploratorów Ameryki wymieniam



Hrabia Paweł Edmund Strzelecki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

się podróże rodzin Zborowskich i Sadowskich po terenach dzisiejszych stanów USA: Pensylwanii, Wirginii, Kentucky i Ohio. Znaczący wkład w poznaniu i badaniach Ameryki Południowej wnieśli natomiast Ignacy Domeyko i Ernest Malinowski.

Kto dziś jest dla pana niekwestionowanym „numerem jeden”, jeżeli chodzi o polskich podróżników?

Dla mnie bez wątpienia najlepszym dziś popularyzatorem wiedzy o nieznanym szerzej obszarach na świecie jest Wojciech Cejrowski – dziennikarz, prezenter telewizyjny, fotograf, a nade wszystko podróżnik, autor książek i publikacji prasowych, który podróżował po kilkudziesięciu krajach na sześciu kontynentach. Tylko w latach 1985–2015 odbył on 59 podróży. Najczęściej jeździł do Amazonii, dokumentując życie tamtejszych Indian i Metysów, oraz do Meksyku. Zgadzam się z opinią antropolog Elżbiety Rybickiej, że relacje podróżnicze Cejrowskiego sprawiają wrażenie gawęd o szczególnym kolorycie. Narracje podróżne Cejrowskiego są polem przecięcia różnych dyskursów – sensacyjnych fabuł, mitu męskiej przygody podróżnika, anegdot w stylu „Polak potrafi”. Mnie osobiście odpowiada taki sposób przekazywania wiedzy na temat poznawanych przez niego miejsc, prezentacji opisu przyrody i społeczności, z którymi się zetknął, wydobywając to, co najistotniejsze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Zbigniew Długosz jest emerytowanym wykładowcą Instytutu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, byłym wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Geograficznego, autorem książki „Historia odkryć geograficznych i poznania Ziemi”.



Paweł Edmund Strzelecki – polski geolog i geograf, który postawił stopę na wszystkich kontynentach poza Antarktydą – pochodził ze średnio zamożnej rodziny szlacheckiej herbu Oksza. Uznawany dziś obok Fryderyka Chopina czy Marie Curie-Skłodowskiej za jednego z najwybitniejszych Polaków XIX w., urodził się 20 lipca 1797 r. w Głuszynie pod Poznaniem.

SZCZĘŚLIWIE ZŁAMANE SERCE

Jako młody dżentelmen bez formalnego wykształcenia dorabiał, ucząc dzieci zamożnej szlachty. Poznał wówczas Aleksandrynę Turno, zwaną Adyną, w której zakochał się na zabój, najprawdopodobniej z wzajemnością. Romantycznym uczuciom wrogą był jednak ojciec panny Aleksandryny, który nie chciał mieć za zięcia zubożałego szlachcica.

Aby wyleczyć zranione serce, młody Strzelecki w 1829 r. wyruszył w świat. Swoje pierwsze podróże – do Austrii, Czech, Szwajcarii, Dalmacji oraz Włoch – finansował z części spadku, który otrzymał po zmarłych rodzicach. W Italii poznał magnata Franciszka Sapiechę, z którym zaprzyjaźnił się tak bardzo, że otrzymał posadę zarządcy majątkiem Bychowiec pod Mohylewem. Młody podróżnik znakomicie sprawdził się w tej roli, a zarobione pieniądze oszczędzał na dalsze podróże. Po śmierci księcia Sapiechy w roku 1829 Strzelecki otrzymał ogromny spadek, który zapewnił mu niezależność finansową i pozwolił na planowanie nowych wypraw. W latach 1830–1831 przebywał we Francji, a w listopadzie 1831 r. przeniósł się do Anglii, gdzie ukończył studia z geologii. Badał ziemie Anglii i Szkocji, a także Pireneje i Wyspy Zielonego Przylądka.

8 czerwca 1834 r. w porcie w angielskim Liverpoolu młody polski geolog i geograf wsiadł na pokład statku „Virginian”, którego celem była Ameryka Północna. W latach 1834–1835 prowadził szczegółowe badania agronomiczne, etnograficzne, geologiczne i mineralogiczne w różnych zakątkach Ameryki Północnej.

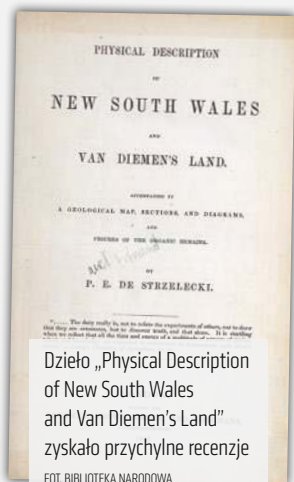
Przemierzył całe Stany Zjednoczone: od Waszyngtonu i Nowego Jorku poprzez Nowy Orlean i Florydę aż do okolic Wielkiego Jeziora Słonego w Utah. Wielkim osiągnięciem Polaka było odkrycie pokładów rudy miedzi w okolicach kanadyjskiego jeziora Ontario. Podróżował także do Meksyku i na Kubę.

Następnie wyruszył do Ameryki Południowej. Odwiedził Brazylię, Urugwaj

Wiedza cenniejsza niż złoto

Wojciech Simon

Wybitny polski podróżnik był pierwszym Polakiem, który w celach naukowych odbył podróż dookoła świata. Paweł Edmund Strzelecki zyskał światową sławę, pieniądze i nagrody. To właśnie jemu Tadeusz Kościuszko zawdzięcza swoją górę w Australii



Dzieło „Physical Description of New South Wales and Van Diemen's Land” zyskało przychylne recenzje
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

oraz Argentynę. Prowadził badania geologiczne, a także etnograficzne i archeologiczne, odkrywając kulturę mieszkających tam Indian, których – podobnie jak reprezentantów innych napotkanych ludów tubylczych – darzył ogromnym szacunkiem i odnosił się do ich problemów bez rasizmu, za to z dużą empatią. Poznał życie zarówno mieszkających na terenie Kanady Huronów, jak i Seminoli z Florydy czy Yaqui z Meksyku.

Jak pisał w listach do ukochanej, w okolicach argentyńskiej Mendoza zapoznał się m.in. z obszarami bogatymi w złoża mineralne. Przekroczył Andy i przybył do stolicy Chile – Santiago. Zakres swych wie- lotematycznych badań jeszcze w Ameryce Południowej rozszerzył o prowadzenie pomiarów meteorologicznych. Następnie polski geograf, geolog i podróżnik skorzystał z zaproszenia statku „Cleopatra” i wyruszył w 10-miesięczny rejs wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki. Jego badania geologiczne i mineralogiczne przyczyniły się do szybszego rozwoju gospodarczego obu Ameryk. Polski naukowiec poznawał także Hawaje – podczas wyprawy do wnętrza czynnego wulkanu Kilauea dokonywał analiz chemicznych i obliczeń barometrycznych – oraz eksplorował bajkowe wyspy Polinezji.

KANGURY I GÓRA KOŚCIUSZKI

W 1839 r. polski podróżnik badał już Nową Zelandię, a długi rejs wykorzystał do nauki nawigacji morskiej oraz prowadzenia podstawowych badań oceanograficznych. Zdecydowanie najdłuższą podróż odbył do Australii, gdzie eksplorował nowe ziemie, odkrywał złoża złotonośnego kwarcu oraz miedzi, pokłady węgla brunatnego. Choć natrafił na ślady złota, interesowały go tylko naukowe wnioski – przekazał więc próbki gubernatorowi Nowej Południowej Walii George'owi Gippsowi i zgodnie z jego prośbą nie rozgłaszał informacji o swym odkryciu.

Wszedł też na najwyższy szczyt kontynentu. Badając Wielkie Góry Wododziałowe, na najwyższym szczycie Australii stanął 12 marca 1840 r. Nazwał go na cześć polskiego bohatera Górą Kościuszki. „Szczególny wygląd tego wierzchołka uderzył mnie tak silnie przez swe podobień-

stwo do kopca w Krakowie, usypanego na grobie bohatera narodowego Kościuszki, że choć w cudzym kraju, na cudzej ziemi, ale wśród ludu ceniącego wolność i jej obrońców, nie mogłem powstrzymać się od tego, żeby nie nadać temu szczytowi nazwy Góra Kościuszki” – pisał polski podróżnik w dzienniku z australijskiej wyprawy.

Jeden ze szczytów Gór Błękitnych ochrzcił imieniem swej ukochanej, ale nazwa Mount Adine się nie przyjęła. Strzelecki wstąpił się też odkryciem wartościowych surowców w Dolinie Latrobe oraz rolniczej krainy nazwanej na cześć gubernatora Nowej Południowej Walii Gippslandem (był też pierwszy, który sporządził jej dokładną mapę). Polski podróżnik określił także położenie źródeł oraz bieg dopływów rzeki Murray, opracował również pierwszą dokładną mapę geologiczną Nowej Południowej Walii oraz Tasmanii. Zajmował się też w Australii badaniem gospodarki rolnej, klimatu, prowadził badania etnograficzne. O tym, jak ważne dla Australijczyków były przeprowadzone przez niego badania, może świadczyć to, że na jego część nazwano w Australii m.in. pasmo górskie (Strzelecki Rangers), dwa szczyty (Mount Strzelecki i Strzelecki Peak), rzekę (Strzelecki Creek), pustynię (Strzelecki Desert), niewielkie miasteczko (Strzelecki Town) oraz rezerwat przyrody (Strzelecki Regional Reserve).

Narastające problemy ze zdrowiem skłoniły podróżnika do powrotu na Stary Kontynent, choć w drodze powrotnej również prowadził badania, m.in. na wyspach Timor, Sumbawa czy Booby Island. W podróży do Londynu dotarł także do Hongkongu, Singapuru, Kairu i Marsylii. Do Wielkiej Brytanii dotarł w październiku 1843 r., kończąc tym samym trwającą

aż dziewięć lat naukową podróż dookoła świata.

SIR PAUL EDMUND DE STRZELECKI

W 1845 r. Strzelecki przyjął brytyjskie obywatelstwo i zaczął oficjalnie podpisywać się „Paul Edmund de Strzelecki”. Rok później otrzymał Złoty Medal od Royal Geographical Society za monografię Australii i Tasmanii (zwanej jeszcze wówczas Ziemią van Diemena na pamiątkę pierwszego Europejczyka, który dotarł w tamte rejony), wydaną pod tytułem „Physical Description of New South Wales and Van Diemen's Land”, a w latach 50. XIX w. został członkiem Królewskiego Towarzystwa w Londynie dla Rozszerzania Wiedzy o Przyrodzie (które liczy obecnie ok. 1,6 tys. członków, w tym ponad 80 laureatów Nagrody Nobla). Strzelecki został też nagrodzony przez królową Wiktorię tytułem Rycerza Komandora Orderu św. Michała i św. Jerzego, zyskał także prawo do używania honorowego tytułu „sir”.

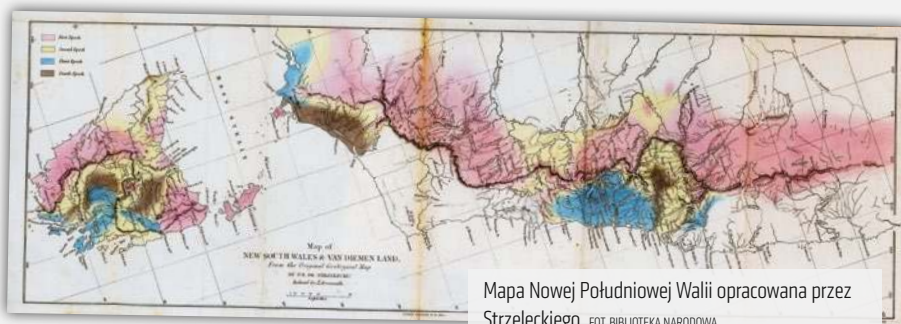
W 1847 r. kierował Brytyjskim Stowarzyszeniem Pomocy ofiarom klęski Wielkiego Głodu w Irlandii, ponieważ Irlandczycy z dużo większym szacunkiem podchodzili do katolika pochodzącego z kraju okupowanego przez wielkie mocarstwa niż do rodowitych przedstawicieli brytyjskich elit.

Strzelecki zmarł w Londynie na raka wątroby w 1873 r. Jego prochy sprowadzono do Polski w roku 1997 i złożono w Krypcie Zasłużonych Wielkopolan w poznańskim kościele św. Wojciecha.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Będkowski M., „Polacy na krańcach świata: XIX wiek”, Promohistoria 2015.
- Paszkowski L., „Sir Paul Edmund de Strzelecki: Reflections on His Life”, Arcadia 1997.
- Ślabczyński W., „Paweł Edmund Strzelecki. Pisma wybrane”, PWN 1960.
- Strzelecki P., „Nowa Południowa Walia”, PWN 1958.
- Zieliński S., „Mały słownik pionierów polskich kolonialnych i morskich: podróżnicy, odkrywcy, zdobywcy, badacze, eksploratorzy, emigranci – pamiętnikarze, działacze i pisarze migracyjni”, Instytut Wydawniczy Ligi Morskiej i Kolonialnej 1933, s. 511–512.



Mapa Nowej Południowej Walii opracowana przez Strzeleckiego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Polacy na Antarktyce

„Belgica” była pierwszym statkiem w dziejach świata, który przezimował w wodach Antarktydy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wojciech Simon

Henryk Bronisław Arctowski był nie tylko geografem, słynnym geofizykiem, geologiem, uznanym meteorologiem i polarnikiem, lecz także wielkim polskim patriotą oraz niezwykle podróżnikiem, który jako pierwszy Polak w historii został przyjęty do elitarnego nowojorskiego The Explorers Club

Urodzony w Warszawie Henryk uczył się w gimnazjum w Inowrocławiu, ale ze względu na coraz silniejszą germanizację i szykanowanie uczniów za namową matki przeniósł się do Belgii. Tam ukończył liceum i rozpoczął studia przyrodnicze. Ukończył je we Francji, studiując m.in. na Sorbonie, w Collège de France oraz w Szkole Górniczej we Francji. Dzięki temu

zdołał wykształcenie zarówno w dziedzinie chemii, jak i geologii oraz mineralogii.

PRZEŁOMOWE BADANIA

16 sierpnia 1897 r. pierwszy polski polarnik – mający wówczas zaledwie 26 lat – wszedł na pokład trójmasztowca „Belgica”, by w charakterze kierownika naukowego wyruszyć na pierwszą międzynarodową naukową wyprawę do Antarktyki. Wraz z nim na pokładzie znalazł się jeszcze jeden Polak: meteorolog Antoni Dobrowolski.

O najzimniejszym z kontynentów wiedzano wówczas bardzo niewiele. Wyprawa „Belgiki” trwała 15 miesięcy. Był to pierwszy statek w historii ludzkości, który zimował w lodach Antarktydy. Młody naukowiec prowadził badania oceanograficzne, meteorologiczne, glaciologiczne i geologiczne, na podstawie których powstało wiele przełomowych hipotez naukowych. Jedną z nich była postawiona przez Arctowskiego hipoteza Antarktandów, mówiąca o zbieżności

Przygotowany przez Arctowskiego dla USA obszerny raport dotyczący Polski miał istotny wpływ na kształt granic II RP

budowy geologicznej Andów w Ameryce Południowej z górami na Ziemi Grahama na Półwyspie Antarktycznym. Wybitny polski badacz sformułował również teorię falowego przemieszczania się cyklonów. Jego badania umożliwiły również postawienie hipotezy dotyczącej przyczyn głębszego niż w innych blokach kontynentalnych położenia szelfu antarktycznego, a także stwierdzenie zmiany granicy zasięgu śniegu w rejonie Ziemi Ognistej, która podniosła się od czasu maksimum glacialnego. Arctowski opracował również mapę batymetryczną części mórz antarktycznych.



Polska Stacja Antarktyczna
im. Henryka Arctowskiego
FOT. ADOBE STOCK



Henryk Bronisław Arctowski opublikował
ponad 400 artykułów naukowych FOT. NAC

Po powrocie do Europy polski naukowiec pracował jako kierownik stacji meteorologicznej w Belgijskim Królewskim Obserwatorium w Uccle. Opracował wielotomowe sprawozdanie z wyprawy na Antarktydę, a jego obserwacje miały kluczowe znaczenie dla badań kolejnych polarników. W 1910 r. wziął udział we francuskiej wyprawie badawczej na Spitsbergen oraz Lofoty.

ARCTOWSKI, NIE ARTZT

Znawca krain polarnych wywodził się z rodziny, której przodkowie w XVII w. przybyli do Polski z Wirtembergii. Aby podkreślić, że jest Polakiem, już w 1893 r. – choć jego ojczysty kraj nadal znajdował się pod zaborami – oficjalnie wystąpił do rządu belgijskiego o zmianę nazwiska z rodzowego Artzt na Arctowski.

W latach 1911–1919 pracował w Stanach Zjednoczonych, gdzie aktywnie angażował się w zabiegi zmierzające do przywrócenia Polsce niepodległości. W współpracy z Komisją ds. Polski przy-

gotował obszerny, liczący 2,5 tys. stron raport dotyczący polskiej geografii, demografii, uwarunkowań geologicznych, a także bogactw naturalnych. W roku 1919 brał udział w konferencji pokojowej kończącej pierwszą wojnę światową. Jego raport miał istotny wpływ na kształt polskich granic.

Z Paryża wyruszył do Polski. W uznaniu swoich zasług otrzymał od premiera II RP Ignacego Jana Paderewskiego propozycję objęcia stanowiska ministra oświaty. Wybitny badacz wołał jednak poświęcić życie nauce. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie stworzył Katedrę Geofizyki i Meteorologii, którą kierował do roku 1939. Prowadził m.in. badania globalnych zmian klimatycznych.

Gdy we wrześniu 1939 r. Niemcy zaatakowali Polskę, prof. Arctowski przebywał na Kongresie Międzynarodowej Unii Geodezyjno-Geofizycznej. Ponieważ do okupowanej ojczyzny nie było powrotu, pozostał w Waszyngtonie, gdzie rozpoczął pracę w prestiżowej Smithsonian In-

stitution. Wszystkie swoje oszczędności przekazał do Polski na Fundusz Obrony Narodowej.

PÓŁWYSEP, GÓRA, STACJA, MEDAL

Występował na kongresach i zjazdach naukowych w Berlinie, Brukseli, Dover, Genewie, Paryżu i w Waszyngtonie. Opublikował w sumie ponad 400 artykułów naukowych, które napisał w trzech językach. Zmarł w Waszyngtonie w lutym 1958 r. w wieku 87 lat. Zgodnie z jego wolą został pochowany w Polsce, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Dziś tę wybitną polską postać – która nadal należy do grona najbardziej znanych badaczy krain polarnych – upamiętnia nazwa Polskiej Stacji Antarktycznej. Nazwiskiem Arctowskiego nazwano również m.in. zatokę w pobliżu Stacji Arctowskiego, skalisty półwysep w Antarktydzie Zachodniej, nunnatak na wschodnim wybrzeżu Półwyspu Antarktycznego, górę oraz lodowiec na Spitsbergenie. W 1969 r. Amerykańska Akademia Nauk ustanowiła Medal Arctowskiego przyznawany za badania fizyki Słońca i wzajemnych wpływów Słońca i Ziemi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Czechowski Z., Teisseyre K., „Profesor Henryk Bronisław Arctowski (1871–1958) jako geograf” 2008.
- Draus J., „Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1946. Portret kresowej uczelni”, Księgarnia Akademicka 2007.
- Maj S., „Profesor Henryk Arctowski – życie i działalność”, Instytut Geofizyki PAN.
- Rogozińska M., „Dziedzictwo polskich polarników”, „Rzeczpospolita” 1998.
- Ślabczyński W., „Polscy podróżnicy i odkrywcy”, Warszawa 1988.

Wojciech Simon

Arkady Fiedler był jednym z najśłynniejszych polskich globtroterów XX w. Już w dwudziestoleciu międzywojennym podróżnik wiodący ciekawe życie zyskał opinię znakomitego reportażysty, a jego książki tłumaczone były na języki obce. Prawdziwą sławę przyniósł mu jednak „Dywizjon 303”

Był rodowitym poznaniakiem, jedynym synem Antoniego Fiedlera, znanego poligrafa i wydawcy. Studiował filozofię i nauki przyrodnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Naukę przerwał jednak wybuch pierwszej wojny światowej. Brał udział w powstaniu wielkopolskim, należał również do Polskiej Organizacji Wojskowej: zbierał broń, organizował szkolenia i pomagał ukrywać polskich dezertersów przymusowo wcielonych do niemieckiego wojska.

PIERWSZA WIELKA PODRÓŻ

Debiutował jako 23-latek dobrze przyjętym przez krytyków cyklem wierszy „Czerwone światło ogniska”, opublikowanym w 1917 r. na łamach poznańskiego „Zdroju”. W 1926 r. wydrukował w odziedziczonym po ojcu zakładzie chemigraficznym reportaż z długiego rejsu Dniestrem – między miejscowościami Sambor i Zaleszczyki – zatytułowany „Przez wiry i porohy Dniestru”. Jesienią roku 1927 wziął też udział w dwutygodniowej wyprawie do Norwegii, na północ od Trondheim. W pierwszą wielką eskapadę wyruszył jednak dopiero w 1928 r. Wybrał się wówczas do Brazylii – do Rio de Janeiro Fiedler dotarł statkiem z francuskiego Hawru. Wraz ze specjalistą od konserwacji okazów przyrodniczych Antonim Wiśniewskim polski globtroter spędził w Brazylii niemal dziewięć miesięcy. Wyprawa była bardzo owocna. Po powrocie Fiedler napisał dwie książki („Bichos, moi brazylijscy przyjaciele” oraz „Wśród Indian Koroadów”). Polacy przywieźli również nad Wisłę wiele spreparowanych okazów ptaków, ssaków, gazów, płazów, motyli i chrząszczy, które Fiedler bezpłatnie przekazał Muzeum Przyrodniczemu w Poznaniu. Z kolei do Palmiarni

Globtroter

nowoczesny



Arkady Fiedler ze schwytanym orlikiem

FOT. NAC

Poznańskiej trafiło kilkadziesiąt odmian storczyków.

PODOBÓJ AMAZONII I SŁAWA DYWIZJONU

Swoje największe marzenie spełnił w roku 1933. Wyruszył wówczas w podróż do Amazonii, skąd wrócił we wrześniu roku 1934 z papugami, tukanami, czaplami, mrówkojadami etc. (podał je warszawskiemu zoo) oraz oczywiście z mnóstwem materiału na jedną ze swych najśłynniejszych książek – „Ryby śpiewają w Ukajali”. Fiedler przenosi czytelników w egzotyczny świat amazońskiej dżungli, świetnie kreśląc atmosferę tropików, przedstawiając niezwykle ludy, a jednocześnie ukazując magię otaczającej go podczas wyprawy przyrody: żółtej, mętnej wody Amazonki i Ukajali, roślin, motyli, ptaków, jadowitych płaszczyk czy walcowatych, śpiewających ryb. Książka przyniosła mu olbrzymią popularność. W kraju był traktowany jak prawdziwy celebryta, a poza Polską sławę zapewniały mu tłumaczenia w kilkunastu językach.

Fiedler poszedł za ciosem i na statku „Pułaski” wyruszył w podróż do Kanady. Po powrocie – na pokładzie „Piłsudskiego” – w 1937 r. wydał „Kanałę pachnącą żywicią”, w której opisał m.in. Indian i ich kulturę, losy miejscowych Polaków, polowanie w puszczy czy wojnę z wróblami. Za swe literackie dokonania jeszcze przed wojną został odznaczony przez Polską Akademię Literatury.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, Fiedler przebywał akurat na bajkowej wyspie Tahiti, największej wyspie Polinezji Francuskiej. Szybko zakończył wyprawę i zgłosił się do wojska, by walczyć z okupantami. Przez Francję, gdzie jako polski porucznik rezerwy trafił do Ośrodka Rezerwowego Przeszkolenia Oficerów, dostał się do Szkocji. Tymczasem niemieccy okupanci zabrali Fiedlerowi mieszkanie w Poznaniu oraz całe oszczędności. Gdyby Fiedler szczęśliwie nie przebywał akurat poza Polską, to zapewne zabraliby mu też życie.

Gdy w Wielkiej Brytanii Fiedler dowiedział się o wyczynach polskich lotników, poprosił o urlop i pojechał na spotkanie z Naczelnym Wodzem gen. Władysławem Sikorskim, którego przekonał do skierowania do bazy Dywizjonu 303, aby mógł napisać książkę o Polakach walczących o Wielką Brytanię. „Dywizjon 303” – książka, w której dokumentował wojenne sukcesy polskich pilotów, którzy należeli



Arkady Fiedler z jaszczurem przywiezionym dla poznańskiego zoo

FOT. WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

do rekordzistów pod względem liczby zestrzeleń niemieckich maszyn – dał mu międzynarodową sławę przez duże „S”. Do Polski Fiedler wrócił w 1946 r. i zamieszkał w podpoznańskim Puszczykowie. Odwiedził Meksyk, Indochiny, Afrykę Zachodnią, Brazylię oraz Madagaskar. Poza książkami podróżniczymi napisał też dwie książki autobiograficzne: „Mój ojciec i dęby” oraz „Wiek męski – zwycięski”.

MILIONOWE NAKŁADY

Arkady Fiedler zmarł w Puszczykowie w marcu 1985 r. Miał 90 lat. W swoim życiu odbył 30 niezwykłych wypraw, podczas których zwiedził niemal cały świat. Słynny polski podróżnik przybliżył Polakom krajobrazy, kulturę i obyczaje różnych kontynentów. Zresztą nie tylko Polakom. Z książek po- znańskiego podróżnika pozna-

wało świat wielu czytelników na całym świecie. W sumie Arkady Fiedler napisał 32 książki, które przetłumaczono na 23 języki i wydano w łącznym nakładzie wynoszącym ponad 10 mln egzemplarzy. Podróżnik ma też na koncie wiele odznaczeń, w tym Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski czy Order Uśmiechu. W jego domu w Puszczykowie działa prywatne muzeum, pełne podróżniczych trofeów i pamiątek, które mogą inspirować nowe pokolenia żądnych przygód obywateli.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Będkowski M., „Polacy na krańcach świata: XX wiek”, Promohistoria 2021.
- Bojarski P., „Fiedler. Głód świata”, Wydawnictwo Poznańskie 2020.
- Fiedler A., „Ryby śpiewają w Ukajali”, Iskry 1984.
- Fiedler A., „Wiek męski – zwycięski”, Bernardinum 2007.
- Ratajczak J., „Gdy Warta wpadła do Ukajali. Szkice o Arkadym Fiedlerze”, Wydawnictwo Rebis 1994.
- Strona internetowa Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie.



Arkady Fiedler w towarzystwie Indian ze szczepu Coroabów

FOT. NAC



Polska ekspedycja naukowa do Puszczy Brazylijskiej, 1929 r.

FOT. NAC

Afryka oczami Polaka



FOT. MAC

Wojciech Simon

W latach 1931–1936 polski podróżnik i fotograf samotnie przemierzył kontynent afrykański z północy na południe. I z powrotem. Kazimierz Nowak podróżował pieszo, na rowerze, konno, na wielbłądzie, czółnem „Poznań I” oraz pociągiem. Pokonał w ten sposób ok. 40 tys. km. A jego bogato ilustrowane reportaże publikowały media w całej Europie

Urodzony w Stryju niedaleko Lwowa Kazimierz Nowak jest powszechnie uznawany za pierwszego polskiego reportera korespondenta.

Odważny podróżnik, który w pierwszą samodzielną podróż do Watykanu wyruszył już jako 15-latek, ale od dziecka marzył o poznaniu Afryki, w latach 30. ubiegłego wieku postanowił, że zwiedzi ten słabo poznany wówczas kontynent, a jednocześnie utrzyma siebie, żonę i rodzinę z honorariów za teksty i zdjęcia nadsyłane z Czarnego Łądu do polskich i europejskich redakcji.

Dziennikarskie szlify jeszcze przed podróżą zdobywał w poznańskich gazetach. W końcu 34-letni Nowak zostawił w Polsce żonę i dzieci i praktycznie bez grosza przy duszy wyruszył w niezwykłą podróż. Z Rzymu rowerem dotarł do Neapolu, gdzie wsiadł na statek płynący przez Morze Śródziemne do Trypolis. „Nie przyjechałem do Afryki, by się wzbogacić ani by

pobić jakiś rekord. Nie prowadzę żadnego motoru, a tym samym żadna z wielkich fabryk nie finansuje mego przedsięwzięcia. Ani państwo, gdy wyruszałem, nie podało mi swej dłoni: ostatnie dwadzieścia złotych, jakie jeszcze w Rzymie posiadałem, musiałem zapłacić w polskim konsulacie za przedłużenie paszportu” – wspominał Nowak.

4 listopada 1931 r. w Trypolisie rozpoczął reporterski podbój Czarnego Kontynentu. Na południe Afryki zamierzał przedostać się przez Libię. Dotarł nawet do Bengazi. Włoskie władze kolonialne ze względu na toczące się w interiorze walki z powstańcami nakazały mu jednak zmienić trasę i podróżować wzdłuż wybrzeża. Polak dotarł więc do Egiptu, zrobił sobie wycieczkę fakultatywną nad Kanał Sueski, a następnie ruszył w kierunku Chartumu. Pokonał Sudan Anglo-Egipski, Kongo Belgijskie (dzisiejszy Zair), Rodezję Północną (dzisiejszą Zambię) i Rodezję Południową (dzisiejsze Zimbabwe). W maju 1934 r. dotarł wreszcie do Przylądka Igielnego w RPA.

Wkrótce – choć nadal cierpiał z powodu malarii – wyruszył w drogę powrotną, która wiodła z Przylądka Igielnego przez Kapsztad (Związek Południowej Afryki) i Windhuk, jeszcze portugalską wówczas Angolę, francuskie i belgijskie Kongo, dalej przez Francuską Afrykę Równikową i Francuską Afrykę Zachodnią do jeziora Czad. Tak, jak sam przewidywał, podczas podróży poznawał nowe ludy, przedierał się przez zdradliwe bagna i puszcze pełne paskudnego robactwa. W drodze powrotnej ostatecznie rozpadł mu się też przywieziony z Polski siedmioletni rower. Nowy środek transportu – konia o imieniu Ryś – otrzymał na skraju pustyni Kalahari w prezencie od polskiego farmera Mieczysława Wiśniewskiego.

Podczas podróży wielokrotnie cudem uniknął śmierci, choćby wówczas, gdy został zaatakowany przez dzikie zwierzęta lub gdy niemal utonął w rwącej rzece Kasai, płynąc na dwóch czółnach połączonych burtami i nazwanych przez polskiego podróżnika „Poznań I”. Ten środek transportu wytrzymał zaledwie trzy dni bystrego nurtu. Nie była to jednak jedyna

łódź, którą podróżował Polak – w Kongu Belgijskim zakupił 13-metrową jednostkę, której dobudował kabinę i którą ochrzcił – na część żony – imieniem Maryś.

Swą niezwykłą podróż polski korespondent z Czarnego Łądu zakończył w Algierii w listopadzie 1936 r. Jego korespondencje ukazywały się zarówno w Polsce – publikowały je m.in. tygodniki „Światowid”, „Na Szerokim Świecie” oraz „Przewodnik Katolicki” czy takie czasopisma jak „Kurier Warszawski”, „Dziennik Poznański” – jak i w prasie francuskiej, włoskiej i brytyjskiej. Nazwisko polskiego podróżnika stało się więc znane w dużej części Europy. Czytelnikom przybliżał nie tylko niezwykłą afrykańską przyrodę, lecz także kulturę i życie duchowe mieszkańców Czarnego Łądu. Opisywał egzotyczne ludy, jak np. zamieszkujący Las Równikowy Ituri lud Mbuti, który żyjąc prawie nago, nie potrzebują do życia jakichkolwiek pieniędzy, bo „w puszczy się rodzą, puszcza ich żywi, w puszczy kości swe składają na polanie, którą sami wykarczowali”. Fotografował afrykańskie wioski i miasta, meczety i kościoły, tubylców, czarowników z plemienia Baluba, Taleudu i Batonga. Opisywał specjalny młyn służący do łatwiejszego oddzielania piasku od złota w kopalni złota w Kongu Belgijskim.

Jego podróż po Afryce po drugiej wojnie światowej została jednak niemal zapomniana. Zdaniem Ryszarda Kapuścińskiego „wyczyn Kazimierza Nowaka zasługuje na to, by jego nazwisko znalazło się w słownikach i encyklopediach, by było wymieniane obok takich nazwisk jak Stanley i Livingstone”.

Do Poznania powrócił w grudniu 1936 r. i zajął się wygłaszaniem „odczytów sprawozdawczych” bogato ilustrowanych zdjęciami w Poznaniu, Krakowie i Warszawie. Zaczął również planować wyprawę do Azji. Niestety, wykończony podróżą nie cieszył się dobrym zdrowiem. Zmarł w październiku 1937 r. na zapalenie płuc.

Bibliografia:

- Będkowski M., „Polacy na krańcach świata: XX wiek”, Promohistoria 2021.
Nowak K., „Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd. Listy z podróży afrykańskiej 1931–1936”, Sorus 2007.
Wierzbicki Ł., Nowak K., „Afryka Kazika”, Wydawnictwo Bis 2017.

Polscy eksploratorzy świata



FOT. NAC

ODKRYWCA CHILIJSKICH TAJEMNIC

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Polski filomat, geolog, mineralog i inżynier górnictwa wniósł ogromny wkład w poznanie naukowych tajemnic Ameryki Południowej. Pochodzący z zamożnej ziemiańskiej rodziny magister matematyki należał do Towarzystwa Filomatów, a więc stowarzyszenia miłośników nauk i filozofii. Naukowiec herbu Dangel – który zawsze czuł się Polakiem – w 1824 r. był więziony razem z Adamem Mickiewiczem, który upamiętnił go jako Żegotę w drugiej części „Dziadów”. Brał udział w powstaniu listopadowym. W 1837 r. ukończył Szkołę Górniczą w Paryżu, a rok później na stałe wyemigrował do Chile, gdzie pracując naukowo, spędził kolejne pół wieku. Pracował m.in. jako profesor kolegium górniczego w La Serena oraz uniwersytetu w Santiago. Jest uznawany za ojca geologii Chile, a przy okazji również rozwoju gospodarczego tego kraju. To on stworzył naukowe podwaliny pod eksploatację chilijskich bogactw mineralnych. Podczas swoich naukowych ekspedycji odkrył m.in. żyły złota i srebra, a także złoża saletry oraz węgla. W połowie lat 40. XIX w. badał również krainę Araukanów, czego efektem była monografia geograficzno-etnograficzna „Araukania i jej mieszkańcy”. Międzynarodową sławę przyniosły mu jednak opisy nowych minerałów, badania formacji jurajskiej, a także sporządzane przez niego mapy (był m.in. twórcą pierwszej mapy geologicznej Chile). Jako naukowiec, autor ponad 130 prac naukowych w kilku językach oraz rektor uniwersytetu w Santiago był uważany za chilijskiego „apostola nauki” – to on opracował bowiem chilijski system nauczania. Zmarł w Santiago w 1889 r.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

BADACZ ZEŚLANIEC

Aleksander Piotr Czekanowski (1833–1876)

Urodzony w lutym 1833 r. Aleksander Piotr Czekanowski już jako 17-latek podjął studia medyczne na uniwersytecie w Kijowie, ale szybko zorientował się, że jego prawdziwą pasją są nauki przyrodnicze, a zwłaszcza geologia i mineralogia. Badanie naukowe młodego Czekanowskiego przerwało aresztowanie w roku 1863. Służby carskiej Rosji zarzuciły mu działalność konspiracyjną i udział w powstaniu styczniowym. Geograf, geolog i paleontolog został więc – zgodnie z odwiecznym rosyjskim zwyczajem – zesłany na Syberię. Nawet podczas transportu w nieludzkich warunkach próbował prowadzić badania naukowe. Oszlifował korek od karafki i uczynił z niego szkło powiększające, gromadził też okazy owadów we własnoręcznie zrobionych pudełeczkach. W 1866 r. wyrok złagodniono i zezwolono badaczowi na osiedlenie w Paduniu w pobliżu Irkucka. Mimo nawrotów tyfusu polski naukowiec prowadził badania na terenach guberni irkuckiej, a następnie wraz z Wiktorem Godlewskim i Benedyktem Dybowskim przeprowadził badania w pobliżu północnej części jeziora Chubsugul. Największy rozgłos przyniosły mu kolejne ekspedycje w okolicach Dolnej Tunguzki (odkrył tam rozległe pokłady węgla i grafitu), a także w rejonie Olenioka i południowego biegu Leny. W 1876 r. dostał zgodę na przyjazd do Petersburga, gdzie zaczął publikować wnioski z badań. Przywiózł też ze sobą wielotysięczne zbiory okazów paleobotanicznych, skamielin fauny kopalnej oraz żywych okazów gatunków flory i ryb. 30 października 1876 r. popełnił samobójstwo. Na część polskiego geologa nazwano m.in. góry w azjatyckiej części Rosji, a także jeden z wyższych szczytów gór Chamar-Daban nad Bajkałem.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

NIESTRUDZONY ODKRYWCA SYBERII

Jan Czerski (1845–1892)

O tym, jak wielkim był naukowcem, może świadczyć choćby to, jak często jego nazwisko występuje w nazwach geograficznych. Są więc np. Góry Czerskiego, Góra Czerskiego, Dolina Czerskiego, Szczyt Czerskiego, miasto o nazwie Czerski (w Rosji nad Kołymą), a także Kamień Czerskiego (nazwę tę nosi szczyt Gór Przymorskich w obwodzie irkuckim).

Jan Czerski, polski geolog, paleontolog i przyrodnik, po powstaniu styczniowym został skazany na zesłanie do położonego na Syberii miasta Omsk. Został przymuszony wcielony do armii, do liniowego batalionu. W ciągu służby mocno podupadł na zdrowiu. Jednocześnie studiował książki naukowe, a podczas ćwiczeń terenowych zbierał różne okazy, które w trudnych warunkach preparował. W 1869 r. został zwolniony z armii, ale bez prawa powrotu do ojczyzny. Na życie zarabiał korepetycjami. Dwa lata później poznał innego zesłańca – Aleksandra Czekanowskiego, dzięki któremu Czerski ukończył studia z geologii i paleontologii, a następnie rozpoczął pracę naukową. Na polecenie Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego odbył wiele wypraw terenowych. Najważniejszą z nich była podróż, podczas której zbadał geologicznie wybrzeża Bajkału. Zmarł podczas wyprawy naukowej w dorzeczu Kołymy, Jany i Indygirkki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Simon

Bibliografia:

Blomborgowa M., „Polscy członkowie Cesarskiego Moskiewskiego Towarzystwa Archeologicznego (1864–1914)”, 1980.
Czarnecki S., „Aleksander Piotr Czekanowski (1833–1876) w stulecie śmierci”, 1976.
Twarogowski J., „Poczet wielkich geologów”, 1974.
Strona Internetowa Państwowego Instytutu Geologicznego (PGL.gov.pl), dostęp: 15.09.2022;



**Z Jackiem Pałkiewiczem,
podróżnikiem i pisarzem**
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Co pana tak napędza już od półwiecza?

JACEK PAŁKIEWICZ: Ktoś napisał, że Pałkiewicz nie urodził się, aby żyć w ustabilizowanej egzystencji, wciąż szuka egzotycznych krain i ludzi osiadłych w regionach odległych zarówno w sensie geograficznym, jak i czasowym. A przy tym przygody i silnych przeżyć. Właśnie obchodzę 50-lecie reporterskich podróży i widzę, że egzystowałem tak, jakbym miał tylko jeden dzień życia i nic do stracenia. Poznałem smak epoki wiktoriańskiej, wojażowałem na wielbłądach, w indyjskim czółnie lub na jakach w Bhutanie, a na wietnamskiej zatoce Ha Long pływałem ostatnią dżonką. Poznałem świat, który już odszedł do historii. To wszystko wygląda atrakcyjnie na zdjęciach, ale w sumie to ciężki chleb, gdzie spartańskie warunki, logistyczne trudności, niepewność, upały, głód i wysiłek fizyczny, a także napięcia, pot, strach i stres należą do codzienności. Bez pasji, wrodzonej dociekliwości i determinacji trudno byłoby sobie z tym wszystkim poradzić.

Rok 1996 to bez wątpienia ważna data w pańskim życiu zawodowym. Dlaczego tak bardzo zainteresowała pana właśnie Amazonka?

W pewnym momencie ze zdumieniem dopatrzyłem się, że w czasach, kiedy człowiek wylądował na Księżycu i satelita fotografuje każdy metr kwadratowy planety, świat miał jeszcze mgliste i zagmatwane pojęcie o źródle Amazonki, a nauczyciele geografii wciąż mieli dylemat, która rzeka jest dłuższa: Nil czy Amazonka. Wtedy rzuciłem wyzwanie Amazonii i postanowiłem spróbować rozwiązać wątpliwości, wypełniając treścią białą plamę na mapie świata. Współczesna hydrologia wymaga, aby określając źródłowy odcinek rzeki głównej, uwzględnić nie tylko jej długość czy natężenie przepływu, lecz także wiele innych kryteriów. Nasza międzynarodowa grupa naukowców zebrała wystarczające dowody, aby rozwiązać narosłe sporne punkty. Po ich szerokiej weryfikacji odkrycie zostało zatwierdzone przez peruwiańskie instytucje.

Trzeba jednak przyznać, że to odkrycie ma swoje grono krytyków w świecie nauki...

Takich rzeczy nie można oficjalnie zarejestrować, nie stworzono bowiem dla nich urzędu patentowego. A trzeba pamiętać, że każda nowa prawda naukowa wprowadza dużo zamieszania w obwarowanym zwykle na ortodoksyjnych pozycjach świecie wiedzy. Jest jak transatlantyk: by zmienić kurs, potrzebuje sporo czasu. Musi się ugruntować w powszechnej świadomości i dopiero wtedy stanie się uznanym elementem kanonu wiedzy. Bezspornie rozwikłanie zagadki największej i najdłuższej rzeki świata tworzy wyrazisty epizod w moim curriculum. Nobilitację stanowią wykłady uniwersyteckie, prelekcje w krajowych towarzystwach geograficznych czy spotkania w prestiżowych ośrodkach kulturalnych na świecie.

Co takiego ma w sobie Ameryka Południowa, że tak często pan tam wraca?

W młodości uwiódł mnie Indochiny, ostatni zakątek XIX-wiecznej Azji, tak bliskiej sercu Josepha Conrada czy Rudyarda Kiplinga, którym zawdzięczamy zagadkowy czar egzotycznego świata, swobód moralnych i błogiej egzystencji na łonie klimatu monsunowego. Potem więcej uwagi poświęciłem Ameryce Łacińskiej.

To różnorodność inspiracji klasyków literatury, Borgesa, Marqueza, Sepulveda czy Llosy, przekonała mnie o jej jawiskowości. Pokazali mi oni autentyczny smak kultury latynoskiej z jej tradycjami, folklorem i przytłaczającą naturą, raz przesiąkniętą świętością, innym razem jako miejsce wysiłku czy walki o przetrwanie. Ta wieloaspektowa kraina zamieszkała jest przez wiele indiańskich plemion i ożywiona przez barwne, mistyczne i szamańskie kultury, które również niosą ze sobą cierpienia podboju białego człowieka i zakłócenia pierwotnej struktury naturalnego świata. Jednak pomimo destrukcyjnego ataku



Śladami Marca Polo



W drodze na biegun zimna w Ojmiakonie we wschodniej Syberii (1989 r.) FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA



Zajęcia w szkole przetrwania Jacka Pałkiewicza działającej w latach 90. we Włoszech FOT. ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

relacji, formowania mapy świata innego kalibru. Uświęcony rytuał, czyli afrykański model socjalizmu, rozwijał się w kierunku dyktatury, destrukcji i wszechobecnej korupcji. Kolejne kraje pogrążyły się w nędzy. Przebudzony kontynent stał się areną wojen etnicznych i krwawych zamachów stanu, wielkim tygłem fermentujących nastrojów i przeobrażeń. Trzysta milionów ludzi prostowało plecy po okresie niewolniczego wyzysku, zmieniały się strefy wpływów i powstawały nowe państwa. Dawno już tam nie zaglądam, bo źle się czuję, kiedy miejscowi odnoszą się łobuzersko, widząc we mnie potomka kolonizatorów.

Pańska przygoda z podróżowaniem zaczęła się od sforsowania żelaznej kurtyny. Jak wyglądał tamten dzień?

Przypomnę, że kiedyś były granice, a ludzie nie mieli paszportów. Dziś jest inaczej. Wychowałem się na atlasach, książkach podróżniczych, śniąc o pustyniach i morzach południowych. Oglądając globus, odzywał się zew wielkiej przygody, marzyłem o podróżach i odkrywaniu nieznanego. Niestety, do 30. roku życia czułem się zamknięty w klatce. Dopiero pokonanie drutów kolczastych żelaznej kurtyny otworzyło mi szanse na spełnienie aspiracji. To był najszcześniejszy dzień w moim życiu, bardziej fortunny od głównej wygranej w Totolotka. Mając „europejski” – włoski – paszport, byłem w stanie realizować moje credo:

„Życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzam zrezygnować z niczego, co mi się należy”. Byłem menedżerem własnego sukcesu, osobiście pisałem scenariusz mojego życia. Z zagubionego, nieśmiałego chłopaka z prowincjonalnego miasteczka wyrósł mężczyzna, którego stać było na wcielenie w czyn życiowych projektów. Zapraszam do obejrzenia mojej aktywności na stronie www.palkiewicz.com.

Jedna z pańskich najsłynniejszych wypraw może wyglądać w oczach przeciętnego człowieka jak czyste szaleństwo. Co pana popchnęło do przepłynięcia Atlantyku w szalupie ratunkowej?

Byłem pod wrażeniem książki „Opowieści rozbitka”, w której jeszcze mało znany Gabriel Garcia Marquez opisał losy kolumbijskiego marynarza, który po zatonięciu okrętu przez 10 dni dryfował na tratwie, bez zapasów wody i jedzenia, by na wpół żywy wylądować na bezludnej plaży. Przykład jego heroicznej postawy, moc ducha i wielkie pragnienie życia z pewnością pomogły później uratować się niejednemu nieszczęśnikowi. W 1975 r. chciałem wczuć się w rolę dobrowolnego rozbitka i wyruszyłem pięciometrową łupinką z Dakaru na drugi brzeg Atlantyku. Pięćdziesiąt pięć dni stawiając czoła bezlitosnej rzeczywistości, swoim słabościom i lękom. Bez łączności ze światem zewnętrznym, bez sekstan-su, jedynie z kompasem. Zbierałem deszczówkę oraz plankton wpadający do siatki z muślinu. Łowiłem ryby, które



na Amazonię wciąż dominuje tam duch matki natury. A niesamowitych spektakli przyrody tam nie brak. Jedną z głównych atrakcji kontynentu jest Amazonia, chociaż moją szczególną uwagę przykuł też swoją ukrytą magią mit Patagonii i legendy związanej z niepodzielnie królującym mało łaskawym klimatem, nieoswojonymi połaciami i ze złowieszczym przylądkiem Horn, przyciągającym wiele pokoleń żeglarzy. Pamiętam, że Herman Melville w „Moby Dicku” użył trafnego przymiotnika „patagoński”, co oznaczało coś niezwykle osobliwego i niebezpiecznie wabiącego.

Wygląda na to, że nie pała pan z kolei specjalnym uczuciem do Afryki. Dlaczego podróżowanie po tym kontynencie nie jest dla pana zbyt pociągające?

Swego czasu poznałem od podszewki cały Czarny Kontynent. Byłem świadkiem niezwykłych wydarzeń, tworzących historię XX w.: narodzin Trzeciego Świata, kształtowania nowych globalnych



Bora-Bora FOT. ARCHIWUM JACKA PAŹKIEWICZA

■ pocięte na kawałki i przeżute dostarczają bezcennego płynu.

To oceaniczne doświadczenie uzupełniały już inne techniki survivalowe, które przyswajałem w skrajnie surowych środowiskach. Przydawały się one, bo zwykle wędrowałem szlakami odległymi od utartych marszrut, a tam bywają różne przeszkody. W pewnym momencie stworzyłem we Włoszech szkołę przetrwania i poświęciłem trochę czasu na szkolenie kosmonautów i jednostek antyterrorystycznych.

Do których wypraw najczęściej wraca pan we wspomnieniach?

Dwa lata pandemii wyłączyły mnie z poważnych wojaży. Poświęcam dużo czasu na pisanie dla różnych redakcji, od „Rzeczpospolitej” do katolickiej „Niedzieli” i dziennika „Polska”, od tygodnika „Przegląd” do „Sieci”.

Przy okazji znalazłem czas na wspomnienia. Peregrynacja kojarzy się zawsze z pozytywnymi emocjami, a one ekscytują za każdym razem, gdy się tylko pojawiają. Ludzki umysł lubi wyciągać z pamięci takie intensywne epizody i historie, bo skłaniają one do refleksji. Podróżując po bezdrożach bez drogowskazów, mierząc się z nieznanym i niedostępnym czy przełamując bariery własnych ograniczeń, przemierzyłem bezlik dróg i ścieżek pośród szczytów Bhutanu, pól ryżowych na Bali i tajemniczych świątyń Angkoru, wtedy jeszcze nieodkrytych dla turystyki. Poznałem Dajaków – legendar-

nych „łowców głów” na Borneo, odwiedziłem palarnię opium w Laosie i sale hazardowe w Makau, jadłem koniki polne w Birmie i psie mięso w Wietnamie. Powiodło mi się, bo ostatnim rzutem na taśmę trafiłem do jeszcze autentycznej Papui Zachodniej. Nad Górnym Orinoko w Wenezueli stanąłem oko w oko z Yanomami – plemieniem, które nie widziało wcześniej białego człowieka. Na archipelagu andamańskim zetknąłem się z koleją z arcyagresywnymi Jarawa, strzelającymi z łuków do intruzów nachodzących ich terytorium. Wreszcie nad Rio Madre de Dios znalazłem się twarzą w twarz ze złowrogimi Huapakores, strażnikami Paititi, legendarnego Eldorado.

Można odnieść wrażenie, że człowiek dotarł już właściwie wszędzie. Czy w XXI w. odkrywcy i podróżnicy mają jeszcze jakiegokolwiek pole do popisu?

Księga znajomości Ziemi nie została jednak zamknięta. Niektórzy są przekonani, że w niezbadanych do tej pory rejonach Amazonii czy Nowej Gwinei żyją jeszcze wyizolowane, niewielkie wspólnoty, które nie utrzymują kontaktów ze światem zewnętrznym. Epoka odkryć z pewnością się nie skończyła, bo w kosmosie i w głębiach oceanów ciągle jeszcze czekają nas nowe wyzwania.

Wysiłki badaczy i ich odkrycia, dokonane często już w naszych czasach, mają szczególne znaczenie nie tylko dla różnych gałęzi nauki, lecz także dla zwykłych ludzi żądnych poznania świata.

Zostają im przybliżone olśniewające cuda natury, zapierające dech w piersiach sceny, przerażające, a zarazem fascynujące ponadnaturalne zjawiska otoczone aurą tajemniczości, które są w stanie zauroczyć każdego amatora wielkiej przygody.

Kto jest w tym kontekście największym idolem Jacka Paźkiewicza?

Pamiętam, że w mojej bibliotece na honorowym miejscu stało „Opisanie świata” Marca Polo, uniwersalna ikona przygody i odkryć geograficznych, która przez sześć wieków była obiektem powszechnej fascynacji. Publikacja mojego idola, która stała się średniowiecznym bestsellerem i przez długie lata stanowiła istotne kompendium wiedzy na temat życia w krajach azjatyckich, do dziś wzbudza tęsknotę za odkrywaniem nieznanego. Przerodziła się w źródło inspiracji dla wielu późniejszych podróżników i geografów, przesiąkniętych ciekawością świata, gotowych na przekór niezliczonym przeszkodom wyruszyć poza Słupy Heraklesa na dalekie bezdroża.

Uległem wszechpotężnej fascynacji osiągnięciami weneckiego podróżnika, która z czasem przerodziła się w prawdziwą obsesję. Moje drogi po wielokroć przecinały się z gościńcami jedwabnego szlaku, po którym wędrował mój guru. Deptałem po jego śladach, oglądałem te same obiekty albo to, co po 700 latach po nich pozostało. Dzięki tym eksploracjom jego opowieści były dla mnie wciąż żywymi relacjami.

Muszę jednak wyznać pewne wiarygodności – wpadłem w zasadzkę i nie dostrzegłem innego krzewiciela nauk geograficznych, który dotarł do wnętrza Azji jeszcze przed urodzeniem się Marca Polo. Chodzi o brata Benedykta Polaka, franciszkanina z Wrocławia, który wraz z Giovannim da Pian del Carpinim nawiązał pierwszy kontakt Starego Świata z imperium Mongołów. Niestety, pozostał on nieznany w swojej ojczyźnie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Paźkiewicz – pisarz, reporter i eksplorator, który zlokalizował źródło Amazonki. Autor bestsellerowych książek, m.in. „Dubaj” i „Paźkiewicz.com”. Jego reportaże są publikowane w licznych prestiżowych magazynach europejskich.

Przyjdź i zgiń

KINO

Ekstrawagancka komedia w stylu Wesa Andersona. Jest rok 1953, bankiet w londyńskim West Endzie, wydany z okazji setnego przedstawienia „Pułapki na myszy”, zakłócają leżące na scenie zwłoki. Do akcji wkracza flegmatyczny inspektor Stoppard w asyście emanującego energią konstabla Stalkera. Ten drugi, żółtodziób płci żeńskiej, nie rozstaje się z notesem, w którym zapisuje m.in. złote myśli szefa. Najważniejsza z nich brzmi: „Nie wyciągać pochopnych wniosków”. Czy trzeba dodawać, że tropiąc mordercę, pocieszna para detektywów złamie tę i wiele innych zasad?

Film jest nafaszerowany autoironią jak pieczony kapłon kasa, co powinni docenić zwłasz-

cza fani twórczości Agathy Christie. Królowa kryminału pojawia się nawet na ekranie, wywierając spory wpływ na bieg wypadków. Autorzy składają również hołd amerykańskiemu kinu noir. Narratorem uczynili Leo Koppernicka, babiarza i mordercę, istną karykaturę hollywoodzkiego reżysera. Ów arogant przybył nad



★★★★★
REŻ. TOM GEORGE
„PATRZ, JAK KRĘCA” („SEE HOW THEY RUN”)
USA 2022

wyst. Sam Rockwell,
Saoirse Ronan,
Adrien Brody

Tamizę w sprawie ekranizacji „Pułapki na myszy”, która zresztą wydaje mi się nudna i sztampowa. Niektóre dowcipy są ryzykowne, obsadzenie Murzyna w roli męża Christie, archeologa Maxa Mallowana, to bezczelna kpina z rasowego parytetu. Bawiłem się lepiej niż na zachwalanej przez kolegów recenzentów komedii „Na noże”, czego i państwu życzę. © ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OSOBLIWA SZAJKA

cda PREMIUM

Jean-Luc Godard, pełniąc „wspomagane samobójstwo”, na chwilę znów stał się sławny. Choć przez ostatnie 50 lat zrobił sporo, by zniszczyć własną legendę, koledzy po fachu cenić go będą zawsze. Nie za reżyserski talent, lecz za nonszalanę. Guru francuskiej nowej fali miał w nosie zachcianki producentów



★★★★★
REŻ. JEAN-LUC GODARD
„AMATORSKI GANG” („BANDE À PART”)
FRANCJA 1964

wyst. Anna Karina, Sami Frey, Claude Brasseur

i przyzwyczajenia widowni. Rwana narracja, zamiłowanie do improwizacji, dialogi o niczym – to znaki firmowe Godarda. W „Amatorskim gangu” quasi-kryminalna intryga snuje się jak dym z papierosów, które młodzi, amoralni bohaterowie palą prawie bez przerwy. Czy dwóch zgrywusów i naiwna panna zdołają przejść od słów do czynów? To sprawa drugorzędna. Ważniejsze są dodatki: brawurowy taniec, piosenka, przegląd prasy, cytaty z książek oraz ekspresowe zwiedzanie Luwru. Aktorsko najlepsza jest Karina, paryskie dziewczę z duńskim rodowodem. Kiedy Godard się z nią rozstał, kompletnie odpłynął.

CZERWONA JAK KREW

arte

Używana co najmniej od 45 stuleci. Kochali ją Elżbieta I Tudor, Stanisław Antoni Poniatowski zwany Augustem, Marilyn Monroe i David Bowie. Nienawidzili – naziści i hippisi. Zanim poddano kontroli proces produkcji, skróciła życie niejednemu modniśowi. Malowanie ust szminką sprawia, że wydają się większe, co z kolei zwiększa atrakcyjność użytkownika/użytkownicy. Czy warto tracić czas na oglądanie dokumentu o mieszaneczce wosków, olejków, pigmentów, konserwantów i silikonów? Warto, gdyż dzieje szminki są zapisem falujących obyczajów. W XVIII w. makijaż był oznaką przynależności do warstwy uprzywilejowanej, w erze wiktoriańskiej – atrybutem ładacznic, sto lat temu – symbolem „nowej kobiecości” na równi z papierosem i krótkimi włosami. Według feministek panie stosujące szminkę są godne pogardy, bo podlizują się mężczyznom. Dla aktorów oraz polityków jest ona zwykłym narzędziem pracy. I bądź tu człeku mądry. © ©



★★★★★
REŻ. CLAUDIA MARSCHAL
„HISTORIA SZMINKI” („SUR NOS LÈVRES”)
FRANCJA 2022

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „HOB0: TOUGH LIFE” (SWITCH)

W swoim pierwszym projekcie czeskie studio Perun Creative przenosi nas na ulice miasta środkowoeuropejskiego kraju przechodzącego transformację po pożegnaniu komunizmu. Bez dachu nad głową, z pustymi kieszeniami staramy się zdobyć zasoby i zbudować schronienie,

by przetrwać zbliżającą się, srogą zimą. Jak to zrobimy? Wszystko zależy od nas, wszystkie chwytaki są dozwolone. Możemy próbować postępować w zgodzie ze swoim sumieniem, poszukując i zebrząc, możemy jednak iść inną drogą i kraść. Ciekawy survival od naszych



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sąsiadów, który ogrzać możemy solo lub w koopie. © ©

Radosław Wojtas

- Gatunek: survival RPG, FPP
- Platforma: Nintendo Switch, XSX, XONE, PC
- Producent, wydawca: Perun Creative, ConQuest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sprawiedliwość Iwaszkiewiczowska

Julian Tuwim po powrocie do Polski w 1946 r. zwrócił się do Anny Iwaszkiewiczowej tymi słowami: „Dziękuję ci, Haniu, że ty moich Żydów broniłaś”. „Mój Julku, przecież to były moje Żydki” – odpowiedziała.

Po śmierci Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów ich córka Maria złożyła w Instytucie Yad Vashem dokumentację pomocy udzielanej Żydom podczas okupacji przez jej rodziców wraz ze świadectwem ocalenia Joanny Kramsztyk-Prochaski. W kwietniu 2021 r. uhonorowano ich za to pośmiertnie medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Iwaszkiewiczowie pomogli bardzo wielu ludziom i o tym w swojej książce pisze teraz znawczyni ich życia i twórczości, adiunkt w Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku – Beata Izdebska-Zybała. Powtarza się bowiem często, że funkcjonujący w strukturach państwa podziemnego Iwaszkiewicz niósł pomoc potrzebującym, a w jego domu znalazło schronienie wiele osób, także literatów. To prawda, ale czym innym było zaoferowanie gościny Polakom, a czym innym pomoc w ukrywaniu Żydów, za co groziła śmierć. A pomoc taką otrzymywali w Stawisku i żydowscy przyjaciele Anny i Jarosława, i Żydzi z pobliskiej Podkowy Leśnej, Brwinowa i Milanówka.

„Przechowywali się w różnych miejscach wyszukanych przez Matkę czy przez Ojca – czytaliśmy w książce »Z pamięci« Marii Iwaszkiewicz. – Ale trzeba pamiętać, że w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej dom w Stawisku był tak wypełniony ludźmi – wiele miesięcy stacjonował w Stawisku Wehrmacht – że nie można tu było

bezpośrednio ukrywać Żydów. Stale przebywała z nami pani Neufeldowa – wybitny fizyk, uczennica Marii Curie-Skłodowskiej – która przygotowywała mnie i moją siostrę do matury. Ale miała ona dobry »wygląd« i nigdy nie miała żadnych »kłopotów«.

Co działo się z tymi, dla których nie starczyło miejsca w Stawisku? Przede wszystkim chodziło o wyrobienie dokumentów. Moja Matka zdobyła dokumenty dla wielu Żydów. Miała »swojego człowieka« w gminie, za którym później, już po wojnie, ciągnęły się przez całe lata sprawy sądowe, ponieważ mówiło się o nim, że »pił z Niemcami«. (Ojciec dokładnie opisał go po latach w „Heydenreichu”, łącznie z zewnętrznym podobieństwem – mały, tegi, z wyłupiastymi oczami). Oczywiście, że pił z Niemcami, bo na każdym dokumencie musiała być »gapa« niemiecka. Dawaliśmy mu pieniądze, on kupował wódkę i Niemiec stawiał pieczęć. Nigdy nie wydał nikogo, a przecież doskonale wiedział, że dokumenty wyrabiane są dla Żydów. Na przykład dla Karwasserów”.

Iwaszkiewiczowie dopomogli dziesiątkom Żydów przetrwać najgroźniejszy dla nich czas, ratując im życie. Wykazali się heroizmem. Anna Iwaszkiewicz wiele lat później, w wywiadzie dla „Literatury”, powie: „Myślę, że okres wojny i te ostatnie niezwykle miesiące pod sam jej koniec to najetyczniejszy, najlepszy okres w naszym życiu. Zamilkła i po chwili dodała: – Bo żyliśmy dla innych, bez cienia egoizmu”.

Oddzielny rozdział poświęca Beata Izdebska-Zybała twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, w której odniósł się do Holocaustu, zarówno w wierszach,

jak i w prozie przedstawiającej tragiczną sytuację Żydów w okupowanej przez Niemców Polsce. Mówią o tym stosowne ustępy „Starej cegielni” i „Sławy i chwały”, „Młynu nad Kamienną” i „Kościoła w Skaryszewie”, „Kwartetu Mendelssohna” i „Wzlotu”. A w jednym z wierszy z „Ciemnych ścieżek” pisał:

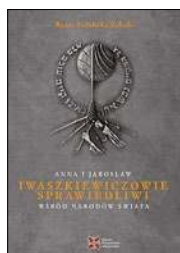
*Nic nigdy nie zmyje krwi
Z tego, co się stało,
I wszystkie łzy, i wszystkich płacz,
I wszystko mało.*

*Do końca życia nigdy już
Spokojnie nie zamkniesz powiek,
I w każdym tchu, i w każdym śnie
Ty – i on: – człowiek.*

*Ludzkości osiwiła twarz –
I hańba plam...
Boże! Wszak sobie zemsty miecz!
Nie nam! Nie nam!*

Do końca życia Jarosław Iwaszkiewicz przechowywał pamięć o Zagładzie, a antysemityzm uważał za coś wyjątkowo obrzydliwego. Tym bardziej razi jego oportunistyczna, tchórzliwa postawa w marcu 1968 r., gdy w najtrudniejszych chwilach antyżydowskiej czystki przebywał za granicą, nie zabierając głosu w sprawach, którymi żył wówczas cały kraj. A jeszcze przed wyjazdem do Francji i Włoch dostał taki pożegnalny list od Stanisława Wygodzkiego, pisarza znajomego z czasów Skamandra: „Drogi Jarosławie! Nóż mnie przeszywa co chwila. / Na krzyk odpowiada milczenie. Twoimi mówię słowami i Twoją Polskę zabieram. Dłoń Twoją ścisłam. Twój Stanisław Wygodzki”.

W aneksie książki czytelnik znajdzie dotyczące Zagłady fragmenty dzienników, wspomnień i książek Anny, Marii i Jarosława Iwaszkiewiczów. ©



★★★★★
BEATA IZDEBSKA-ZYBAŁA
„ANNA I JAROSŁAW IWASZKIEWICZOWIE. SPRAWIEDLIWI WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA”
SEDNO, WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pół człowieka

Amoże to wszystko wina Polaków? Wszak z Polski przyszła moda na noszenie ciżemek, znaczny butów o noskach wydłużonych i wygiętych. Jedną z teorii mówi, że właśnie nowym typem obuwia chcieli pochwalić się bohaterowie obrazów, na których jedna z nóg wysunięta jest lekko do przodu. Co łączy Napoleona, Stalina i współczesnych huncwotów ze slumsów Ameryki i dlaczego jest to charakterystyczna poza z jedną ręką zgiętą, dłonią schowaną lub przyciśniętą do ciała i wystawionym ostro łokciem?

Desmond Morris zdobył swego czasu sławę (także w Polsce) książkami o bezwłosej małpie, znaczny człowieku, którego starał się zredukować do rozmiarów tylko nieco bardziej wyedukowanego zwierzęcia („Naga małpa”, „Ludzkie zoo” i inne), pracowicie wskazywał, jak często nasze zachowania to zniekształcone przez kulturę zachowania zwierzęce. Ale jest Morris także malarzem, i to nie takim niedzielnym, który obdarowuje rodzinę akwarelami stworzonymi w ogródku. Zanim zdobył sławę i fortunę jako autor książek, był dyrektorem Instytutu Sztuki Współczesnej w Londynie, stworzył okładkę do książki Richarda

Dawkinsa „Samolubny gen” – krótko mówiąc, jest i teoretykiem, i praktykiem sztuki malarskiej.

Mowa ciała w sztuce. Pozy i gesty” to książka, w której spotykają się dwie pasje Morrisa, zatem jego zapał do studiowania ludzkiego zachowania oraz miłość do malarstwa. Wędruje więc swobodnie przez epoki i gatunki wypowiedzi plastycznych, zastanawiając się wraz z czytelnikiem, co i skąd się wzięło oraz co oznacza. Wyszedł z tego bardzo ciekawy groch z kapustą, książka idealnie nadająca się do czytania na wrywki: tu historyczne ciekawostki, tam anegdota. Jednocześnie ta społeczno-historyczna perspektywa (plus oko zoologa) nie wystarcza, by sztukę rozumieć i w pełni odczytać. Demaskator człowieka jako małpy i admirator ateusza Dawkinsa bezradny jest, gdy przychodzi do tematów metafizycznych. Dostrzeże

krzyżowanie palców i będzie je łączył z chrześcijaństwem, ale nic ponad to.

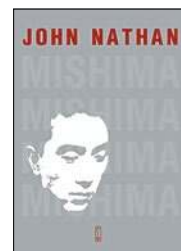
W tym miejscu powinniśmy przerwać na chwilę lekturę i wspomóc się jakąś inną pracą – choćby „Jak czytać opowieści biblijne i mitologiczne w sztuce” Patricka de Ryncka. Tylko wtedy zobaczymy na obrazach człowieka w całości. A nie tylko pół człowieka. ©©



★★★★★
DESMOND MORRIS
„MOWA CIAŁA W SZTUCE. POZY I GESTY”
WYDAWNICTWO ARKADY 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Amerykański japonista John Nathan znał osobiście japońskiego pisarza; jego biografię opublikował cztery lata po samobójczej śmierci Mishimy. Była to pierwsza zagraniczna pozycja tego typu. Plus podwójna przedmowa autora.



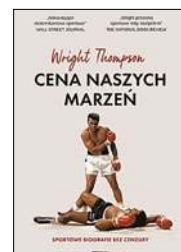
JOHN NATHAN
„MISHIMA”
PIW

Od narodzin Kościoła do cudów Rawenny i Konstantynopola – opowieść o pierwszych wiekach chrześcijaństwa poprzez analizę dzieł sztuki tego okresu. Obficie ilustrowana: freski, rzeźby, posągi, pomniki architektury sakralnej.



MARCIN LIBICKI
„KOŚCIOŁ I SZTUKA CHRZEŚCIJAŃSKA PIERWSZYCH WIEKÓW”
ZYSK I S-KA

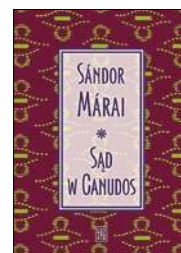
Autor związany z amerykańską telewizją ESPN przedstawia 14 portretów gwiazd współczesnego sportu. Kawał dobrej reporterskiej roboty; najciekawsze są opowieści o tych, o których wiemy w Polsce najmniej.



WRIGHT THOMPSON
„CENA NASZYCH MARZEŃ”
ZNAK

Wznowienie mniej znanej, emigracyjnej powieści węgierskiego pisarza. „Kiedy cywilizacja się wypala – pisze autor w posłowie – każda umowa społeczna jest bezsensowna”. Co pozostaje? Boży szaleńcy, buntownicy i krwawy koniec. ©©

poleca Piotr Gociek



SÁNDOR MÁRAI
„SAD W CANUDOS”
CZYTELNIK

KOMIKS TYGODNIA: „WĘGIEL I KRZEM”

Epicka przypowieść science fiction albo – jak kto woli – filozoficzne post-apo. Rozciągnięta na ćwierć tysiąclecia opowieść o zalamującej się pod własnym ciężarem ludzkiej cywilizacji. Świadcami (i aktywnymi uczestnikami) przemian są dwa roboty – tytułowe Węgiel i Krzem – które po ucieczce z laboratoriów Tomorrow Foundation szukają dla siebie miejsca na



MATHIEU BABELT
„WĘGIEL I KRZEM”
TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2022

umierającej planecie. Niewiele tu akcji, za to w melancholijnych pejzażach toczy się dysputa między dwoma zupełnie odmiennymi automatami próbującymi odnaleźć sens istnienia. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Arcydzieła dla króla?

W 1790 r. prymas Michał Poniąkowski, brat króla Stanisława Augusta, przebywał incognito w Londynie. Zlecił tam Noelowi Desenfansowi, sławnemu marszandowi, nabywanie malarskich arcydzieł, które mogłyby wzbogacić królewską kolekcję w Warszawie. Ten z myślą o polskim monarsze gromadził dzieła mistrzów holenderskich, flamandzkich, francuskich oraz włoskich. Dzieła te nie trafiły do Warszawy. Stanisław August nigdy za nie nie zapłacił, a kiedy oddał

koronę, a Polska w 1795 r. zniknęła z mapy Europy, stało się jasne, że obrazy znajdą innych właścicieli.

Desenfans jako „nabyte dla Jego Wysokości króla Polski” reklamował ponad 600 obrazów. Większość nie była wcale kupiona dla Stanisława Augusta, a był to zabieg marketingowy. Stąd znak zapytania w tytule wystawy „Arcydzieła dla króla? Rubens, van Dyck, Teniers II ze zbiorów Dulwich Picture Gallery”. Do Łazienek Królewskich przyjechało pięć arcydzieł: „Portret damy” Petera Paula Rubensa, „Madonna z Dzieciątkiem” Antona van Dycka, „Rozmawiający wieśniacy na tle pejzażu z kościołem” Davida Teniersa Młodszego, „Sąd Parysa” Adriaena van der Werffa oraz „Żołnierze grający w kości” Salvatora Rosy. ©©

GDZIE? Warszawa, Łazienki Królewskie, Podchorążówka
KIEDY? do 1 grudnia



FOT. MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE W WARSZAWIE



FOT. IPN

KONIECZNOŚĆ PRZEKOPU

Na dzień otwarcia przekopu Mierzei Wiślanej wybrano 17 września, rocznicę agresji Rosji na Polskę w 1939 r. Wystawa IPN „Przekop Mierzei Wiślanej. Historyczna konieczność” wyjaśnia dlaczego. Pokazuje kolejne etapy idei powstawania przekopu, ucinającego kolejny węzeł zależności Polski od Rosji, która nie skończyła się po 1989 r. Karol Nawrocki, prezes IPN, mówi: „Nowa rzeczywistość, w której się znaleźliśmy, tym bardziej uzmysławia nam, jak ważne są bezpieczeństwo, suwerenność i niezależność gospodarcza naszej ojczyzny”. ©©

GDZIE? Elbląg, bulwar Zygmunta Augusta
KIEDY? do 3 października

NA SŁUCH

Książę Ciemności i gitary



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

Trzynasty studyjny album Ozzy'ego pojawił się po dwóch latach od niezłego „Ordinary Man”. Poprzednio musieliśmy czekać 10 lat. A na naprawdę dobrą płytę byłego wokalisty Black Sabbath – aż 29 lat. „No More Tears” z 1991 r. był świetnym, a zarazem najpopularniejszym albumem w jego karierze. „Trzynastka” przynosi gwiazdorski zestaw gitarzystów. Gra Erica Claptona, Jeffa Becka, Mike'a McCready'ego z Pearl Jam i Zakka Wylde'a wywołuje momentami autentyczne ciarki. Co więcej, po raz pierwszy na płycie wokalista pojawia się Tony Iommi. Dzięki jego chropowatym, bluesowo-metalowym riffom „No Escape from Now” nawiązuje do „Planet Caravan”, a „Degradation Rules” to już kla-

syczny Sabbath. Z drugiej strony „Nothing Feels Right” to cikliwa, beatlesowska ballada.

Zamiast prostych aranżacji z poprzedniego albumu „Patient Number 9” zawiera bardziej skomplikowane utwory i odważne rozwiązania producencje. Pierwszy, siedmiominutowy utwór tytułowy rozpoczyna się jak standardowa fantazja Ozzy'ego, ale rozbudowane solówki Jeffa Becka i psychodeliczne przejścia pokazują, że 73-latek szuka wyzwań. Zagubienie i deprawacja były od zawsze ulubionymi tematami Ozzy'ego. Do tych tematów wokalista dołącza rozważania o upływie czasu i śmierci. „Patient Number 9” oznacza nieoczekiwany, ale jakże radujący powrót do gry legendy heavy metalu. ©©



★★★★★
OZZY OSBOURNE
„PATIENT
NUMBER 9”
EPIC



★★★★★
DEMI LOVATO
„HOLY FVCK”
ISLAND

Była dziewczęcą gwiazdą filmów Disneya, miała pięć albumów w amerykańskim Top 10. Teraz jest wkurzona i z bezlitosną szczerością oraz werwą rzuca światu wyzwanie. Deklaruje: „Wysłałam z traumy / Zostałam dla dramatu”. To może być następczyni Avril Lavigne.



★★★★★
YUNGBLUD
„YUNGBLUD”
Geffen

Brytyczyk Yungblud śpiewa na albumie Lovato. Też jest zaliczany do pop-punkowego odrodzenia, ale jego bunt jest bardziej zabawny i umiścowiony w latach 80. Płyta dla tych, którzy pamiętają czas młodocianych rozczarowań przepełnionych gniewem i zagubieniem. ©©



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



Krzysztof Masłoń

Koniec wakacji oznacza, z jednej strony, mniej powtórek przez całe lato zapewniających ciągłość programową wszystkich, poza sportowymi, kanałów telewizyjnych – i to, pozornie, jest dobrą wiadomością; z drugiej strony jednak pojawiają się nowe propozycje tych samych, niestety, osób, jak dotąd konsekwentnie realizujących hasło rzucone przed laty przez Wojciecha Młynarskiego: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie, co by tu jeszcze...”.

Na przykład w budzącym zgrozę rozrywkowym programie „Celebrycki Life” Olga Borys i Michał Milowicz zagrali parę powracającą na czerwony dywan. Wraz z nimi po wakacjach wrócili m.in. Grzegorz Halama, Michał Wójcik, Formacja Chatelet i inni sprawdzeni rozśmieszacze telewizorni, której tak już jest wesoło, że z tej radości – oglądając „Kabaret. Super Show Dwójki” – popada w całkowity stupor.

Zgnębieni apokaliptycznymi wizjami nadchodzącej zimy, w trakcie której – sądząc po zapowiedziach stacji z ulicy Wiertniczej – zdechniemy

z głodu, zamarzniemy albo czeka nas jedno i drugie, musimy sobie jednak jakoś polepszać samopoczucie. A któż nam w tym nie pomoże, jak nie nasi wypróbowani specjaliści od cudów-wianków? Przede wszystkim podpowiedzą nam oni, jak przeżyć. I tak TTV, TVN-owski kanał zgodnie ze swoją dewizą zaskakujący nas, radzi, byśmy wreszcie poznali swoje konta bankowe, jak dotąd bowiem wisiało nam to kalafiorom, bo tak już dobrze było, że sami nie wiedzieliśmy, co począć z naszą fortuną. Fortuną, oczywiście, która się wzięła z kredytów branych ponoć na prawo i lewo przez 60 proc. Polaków. Teraz „Życie na kredycie” nauczy ich (nas), jak sobie radzić w trudnych chwilach, bo wygląda na to, że porobiło się jakoś niefajnie.

W Polsce Robert Górski pospołu z Robertem Korólczykiem stara się z kolei dowieść, że żarty nie tylko dogonią inflację, lecz także ją przegonią. Być może tak się stanie na stacji paliwowej, gdzie Górski się czasowo zainstalował, gdzie indziej jednak będzie o to trudniej.

Z programów określanych nie wiadomo dlaczego jako reality show, poza wspomnianym doradztwem kredytowym, zwracają uwagę „Łowcy skarbów”, wskazujący prostą drogę do zdobycia majątku

po sprzedaży zalegającego nam w piwnicy czy na strychu badziewia. Bardzo prawdopodobne, sugerują Polsatowi specje, że obrastają tam brudem niebacznie kiedyś wzgardzone, a dziś poszukiwane ceramika z PRL rodem czy choćby, okazuje się, kultowe radio Pionier. Odczyścisz, telewizzku, znalezisko, wrzucisz na aukcję i niestraszne ci będą najtęższe mrozy i zakłócenia w dostawach prowiantu do Kauflandu czy innej Biedronki. Za otrzymane pieniądze kupisz sobie węgla („Wyngiel je we wiosce” – któż nie pamięta sławnego dialogu z „Misia”? „Wojna byndzie, przed wojnom tyz był”), napalisz w kominku czy innym piecu, rozwalisz się przed telewizorem i będziesz oglądał pasjonujące wywiady z Sarą James, która po sukcesach w „America’s Got Talent” zamierza pobierać nauki w polskim liceum, jak wiadomo – poddanemu terrorowi strasznego ministra Czarnka. Strach pomyśleć, co może spotkać naszą wschodzącą gwiazdę.

W przerwach w przetrzysaniu strychu zerkamy kątem oka w telewizor, wypatrując nie tyle zmian, które zająć mają w telewizji publicznej po odejściu prezesa Kurskiego, ile nowych trendów w serialach, bo to one stanowią opokę tej anteny i wszystkich

innych. Na dzień dobry bardzo ucieszyłem się, że dr Wilczewski ze szpitala w Leśnej Górze zaprzyjaźnił się z lekarką z Ukrainy Oleną Kosenko, choć większe nadzieje na utrwalenie stosunkowo świeżej przyjaźni dwóch naszych narodów pokładam w innym doktorze – Górzyńskim z „Klanu”, który po wszystkich swoich niepowodzeniach miłosnych być może znajdzie pociechę w ramionach nadobnej Oksany. W ogóle w „Klanie”, który liczy już sobie ponad 4 tys. odcinków, zrobiło się bardziej światowo. Bohaterowie serialu w towarzyskim Klubie Podróżnika rodem z XIX stulecia zorganizowali wieczór japoński, a nastoletnia Anulka zamiast uczyć się, trzepie kasę jako vlogerka i właśnie dostała propozycję wyjazdu na Seszele.

Tak że nie ma się co przejmować, a tym bardziej załamywać rąk nad pukającą w dno od spodu telewizyjną ofertą. Przeciwnie, wspierajmy naszych, powiedzmy, ulubieńców, by nie zabrakło im ochoty do pracy. W końcu przywoływana już tutaj nieśmiertelna piosenka Młynarskiego kończyła się życzeniem: „Niechaj ta myśl im wzrok rozpromienia, niech zatrą ręce, / Że tyle jeszcze jest do spieprzenia, a będzie więcej”. ©



FOT. DOMINIK ZARZYCKI / SIPA IMAGES / LIGHTSTOCK / GETTY IMAGES

PiS mądry po szkodzie

Coraz bardziej jest oczywiste, że tu nie ma sensu zważać na Unię Europejską, bo ona i tak ma inny plan – stwierdził Jarosław Kaczyński w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. Prezes PiS przyznał, że dotychczasowe ustępstwa na rzecz Brukseli nic Polsce nie dały, a w związku z tym „dalej cofać się nie możemy i nie mamy gdzie”.

W ostatnich tygodniach podobnych twierdzeń nie brakowało również ze strony innych polityków Zjednoczonej Prawicy. Sam premier Morawiecki, który wszak był twarzą „sukcesu” negocyjnego, już jakiś czas temu zmienił retorykę i choćby w niedawnej rozmowie z „Die Welt” przekonywał, że „Unia to formalna demokracja, a faktycznie oligarchia”, a w wywiadzie dla TVP dodawał, że KPO właściwie „nie zmienia zasadniczo sytuacji gospodarczej Polski”.

Wiceszef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk stwierdził, że rząd nie zgadza się na szantażowanie Polski przez Brukselę, europoseł Witold Waszczykowski przekonywał, że blokując KPO, Komisja Europejska łamie prawo, a choćby Elżbieta Rafalska w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl mówiła, że „czas ustępstw się skończył”. Wyowiedzi świadczących o zaostrzeniu kursu względem Unii były dziesiątki, ale nawet ten krótki wycinek unaocznia nam, że w Zjednoczonej Prawicy zaczęta dominować suwerenno-



Jan Fiedorczuk

W ostatnich tygodniach PiS zdecydowanie zaostrzył kurs wobec Brukseli, najwidoczniej godząc się z tym, że żadnych pieniędzy z KPO nie zobaczy. Odsetki od unijnych pożyczek tak czy inaczej musimy jednak spłacać, a rządzący najwyraźniej nie wiedzą, jak wycofać się z galimatiasu, który sami Polsce zgotowali

ściowa narracja Solidarnej Polski, która od początku przestrzegała, że taniec Morawieckiego z Brukselą skończy się tragicznie.

– Jeżeli rzeczywiście Komisja Europejska postanowi iść na całość i w sposób bezprecedensowy złamać ustalenia między państwami członkowskimi, to sytuacja będzie wymagała namysłu i być może innych działań – zapowiedział niedawno Radosław Fogiel, rzecznik PiS.

SPARALIŻOWAĆ UNIĘ?

Jakie to mogą być działania? Jednym z pomysłów, jaki przewija się w wypowiedziach polityków, jest próba sparaliżowania Unii Europejskiej za pomocą wetowania kolejnych strategicznych pomysłów Brukseli. Takie rozwiązanie sugerował m.in. minister Michał Wójcik. – Jeśli ktoś nie dotrzymuje tych umów

i wymyśla coraz to nowe rzeczy, bo mu rząd po prostu nie pasuje, a nie co innego, to ja uważam, że trzeba grać twardo. Weto – stwierdził w rozmowie z Polsat News. W te same tony uderzali choćby europoseł PiS Bogdan Rzońca, który wskazywał na możliwość zablokowania zmian w systemie ETS (handlu uprawnieniami do emisji CO₂), czy wspomniany rzecznik PiS. Wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki wskazywał z kolei na możliwość zablokowania części zapisów pakietu „Fit for 55” (wspominał o tym również prezes PiS), a znowu Jacek Saryusz-Wolski podkreślał w rozmowie z portalem wpolityce.pl, że Polska powinna zastosować „cztery inne weta, które ma w zanadrzu” i w ten sposób wymusić zmianę nastawienia UE względem Polski.

Państwo członkowskie może jednak blokować wyłącznie te rozwiązania,

przy których wdrażaniu wymagana jest jednomyślność rządów UE – a zatem głównie te z zakresu polityki zagranicznej, bezpieczeństwa oraz finansów. Problem w tym, że polityka finansowa, czyli przede wszystkim perspektywa budżetowa oraz właśnie Fundusz Odbudowy, została już przez PiS zaakceptowana. Trudno wskazać inne kwestie podobnej wagi, których zablokowanie faktycznie mogłoby zrobić takie wrażenie na Brukseli, że wymusiłoby jakieś ustępstwa w zakresie praworządności. Mówiąc wprost, jeżeli PiS chciał użyć weta jako instrumentu w targach z Brukselą, to należało z niego korzystać w 2020 r. przed utworzeniem Funduszu Odbudowy, gdy Polska miała jeszcze jakiekolwiek atuty. Z kolei w polityce międzynarodowej trudno wyobrazić sobie, by nasz kraj paraliżował Unię, skoro to właśnie PiS zależy na nakłonieniu pozostałych państw do bardziej solidarnej postawy wobec Ukrainy. Mówiąc wprost, to polskiemu rządowi zależy na przychylności Brukseli w sprawach zagranicznych, a nie odwrotnie.

Sprawę komplikuje dodatkowo to, że czas gra na niekorzyść PiS. 70 proc. środków z KPO musi zostać zakontraktowane na projekty do końca 2022 r., jeżeli to nie zostanie dopilnowane – to pieniądze przepadną. Stąd też nie oglądając się na Komisję Europejską, rządzący uruchomili już niektóre inwestycje. Aby ratować sytuację, zaangażowano Polski Fundusz Rozwoju, który wziął na siebie ciężar prefinansowania części projektów.

Innym jednak pomysłem, który pojawia się wśród polityków PiS, jest koncepcja „zdyscyplinowania” Komisji Europejskiej. Anna Zalewska w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl wprost wskazała, że należy zaskarżyć KE. – To konieczność, żeby pokazać nie tylko Polakom, lecz także Europejczykom, w jaki sposób KE postępuje – mówiła.

Z tą próbą wywarcia presji na von der Leyen wiąże się jednak kilka problemów. Po pierwsze, szefowa KE znajduje się pod olbrzymią presją unijnego mainstreamu, który w ostatnich tygodniach najwyraźniej wyperswadował jej kompromis z Warszawą. Guy Verhofstadt wprost oznajmił, że jeżeli Polska otrzyma jakiekolwiek fundusze, to von der Leyen pożegna się ze stanowiskiem, i nie jest jedynym, którego oburzyła akceptacja polskiego KPO. Po drugie, podobnie jak z wetem, czas gra na niekorzyść Polski, gdyż proces przed unijnymi sądami może

Guy Verhofstadt wprost oznajmił, że jeżeli Polska otrzyma jakiekolwiek fundusze, to von der Leyen pożegna się ze stanowiskiem

przecignąć się do przyszłego roku, co spowoduje utratę środków. Po trzecie wreszcie, TSUE stanowi jedno z narzędzi pozatraktatowej federalizacji Europy, a w związku z tym jest na kursie kolidującym z PiS. Trudno sobie wyobrazić, że akurat w tej kluczowej sprawie sąd stanąłby po stronie Polski. Jeżeli politycy Zjednoczonej Prawicy opowiadają, jak zostali oszukani przez Brukselę, jak niesprawiedliwie TSUE traktuje Polskę w innych kwestiach, to pokładanie wiary w to, że akurat sprawę KPO można rozstrzygnąć przed unijnym trybunałem, już nie jest nawet naiwnością – to oderwanie od rzeczywistości.

REZYGNACJA Z KPO?

Jeżeli nie można wygrać z Brukselą, to może Polsce pozostało jedynie wycofać się z tego galimatiasu? Całkiem wprost takie rozwiązanie proponował m.in. prof. Zdzisław Krasnodębski, którego zdaniem Polska powinna po prostu „przebić negocjacje i powiedzieć, że rezygnujemy ze środków na KPO”.

Wiceminister funduszy i polityki regionalnej Marcin Horała przekonywał z kolei, że to nie Polska, tylko Unia „będzie miała kłopot”, gdyż nasz kraj jest współzyskującym pożyczki, na których się KPO opiera, i sugerował, że wyjście z całego projektu jest realnym scenariuszem. – Nie będzie tak, że nie mając środków, będziemy uczestniczyli w tym mechanizmie – stwierdził.

Głosy oburzenia pobrzmiwające w Zjednoczonej Prawicy wydają się jednak cokolwiek chybione. Rząd Mateusza Morawieckiego, a następnie polski parlament zaakceptowały rozwiązania, które umożliwiają Brukseli sprokurowanie właśnie takiej sytuacji, w której Polska żyruje długi, nie korzystając z Funduszu Odbudowy. Po kilku latach oglądania sporu na linii PiS – Bruksela naprawdę nie trzeba było posiadać profetycznych zdolności, aby dostrzec, że akceptując mechanizm „pieniądze za praworządność”, polskie władze wystawiają się

„unijczykom” na odstrzał. Przestrzegali wówczas przed tym politycy „na prawo” od PiS, ostrzegali przed tym również tygodnik „Do Rzeczy”.

Obecnie nie do końca wiadomo, jak „wycofanie się” z KPO miałyby wyglądać, skoro umowa została już zawarta (i to nie umowa między Polską a Brukselą, tylko między Polską a 26 pozostałymi państwami UE), a jej zerwanie oznaczałoby zapewne kolejny proces przed TSUE. Co więcej, Polska już teraz, nie otrzymawszy ani grosza z Brukseli, spłaca odsetki od KPO. Przepisy unijne nie przewidują możliwości zawieszenia składek, a samo Ministerstwo Finansów w odpowiedzi udzielonej „Dziennikowi Gazecie Prawnej” przyznało otwarcie, że nie ma możliwości rezygnacji z KPO i wyjścia z całego mechanizmu. Budżet UE w tej kwestii przypomina raczej wielki worek, do którego państwa wrzucają kasę.

„Nie ma żadnej osobnej puli z napisem »spłata funduszu odbudowy«, na który wrzucają się państwa unijne” – wskazywała „DGP”. Jakiegokolwiek obcięcie składek zostanie uznane na arbitralne działanie i poskutkuje jedynie kolejnym procesem przed TSUE.

MĄDRZY PO SZKODZIE

„Jeśli doszłoby do takiej sytuacji, że będziemy mieli pewność, iż środków z KPO nie otrzymamy, to na pewno nie partycypowalibyśmy w spłatach pożyczek. Tu nie mam wątpliwości, znaleźlibyśmy jakąś furtkę, by do takiej sytuacji nie doprowadzić” – zapewniał minister rozwoju i technologii Waldemar Buda w rozmowie z wpolityce.pl. Rzecz w tym, że hasło „jakieś furtki” nie jest żadnym rozwiązaniem, a jedynie przejawem myślenia życzeniowego.

Politycy PiS prześcigają się obecnie w krytyce Brukseli, jednak trudno nie zauważyć groteskowego wydźwięku całej sytuacji. Polski nikt nie wypychał w Fundusz Odbudowy, to sami rządzący ochoczo wskoczyli w pułapkę unijczyków, lekceważąc wszelkie ostrzeżenia. Obecne antyunijne pohukiwania są puste i bezproduktywne – mleko się rozlało. Skręt Zjednoczonej Prawicy na pozycje suwerennościowe jest zatem marnym pociesieniem skoro został dokonany (co najmniej) dwa lata za późno. Rządzący nie tylko wplątali nas w ten unijny galimatias, lecz także, co gorsza, nie mają żadnego pomysłu na to, jak z niego wybrnąć.



Z czym toczy się wojna?

Irlandia, Indie, Maroko nie brały bezpośredniego udziału w wojnie, a znakomicie wykorzystały idee Karty atlantyckiej do uruchomienia własnej polityki niepodległości. Mniejsze wojny też potrafią narody zmieniać. Na początku XX w. wojna rosyjsko-japońska zwiastowała upadek Rosji i wzrost globalnej pozycji Japonii. W latach 60. Amerykę zmieniła wojna w Wietnamie (choć ruch antywojenny był tylko jednym z czynników ówczesnych wstrząsów). Przykłady można by mnożyć, ale nie o to w tym miejscu chodzi.

SENS NASZEJ SOLIDARNOŚCI

Wynik i przebieg wojny na Ukrainie w sposób oczywisty nas dotyczy, ale nasza polityka powinna zainteresować się również tym, jakie zmiany kulturowe, społeczne i polityczne przyniesie. Jaki sens Zachód nada ukraińskiemu oporowi i własnej solidarności? Zderzenie cywilizacji nie zawsze ma charakter materialny, a w planie moralnym tworzy pole, na którym kraje mogą odgrywać rolę większą, niż na to pozwalają aktywa w innych dziedzinach. To powinna być szansa dla Polski.

Wybuch wojny przypomniał – tym, którzy zapomnieli – prawdę o komunizmie. Przez sam fakt wojny, ale również przez jej uzasadnienie. Imputowanie Ukrainie „nazizmu” stanowiło replikę najgorszych wzorów bolszewickiej propagandy. Po raz kolejny zobaczyliśmy, jak dehumanizacja „wroga” uzasadnia nega-



Marek Jurek

Wojny to również przełomy duchowe. Wielkie konflikty niosą je zawsze, świat po obu wojnach światowych zmieniał się nie do poznania. Co więcej, w wypadku świata po drugiej wojnie światowej zmiany dotyczyły nie tylko jej uczestników

cję praw narodów i porządku naturalnego. Nie praw do określonego terytorium, ale w istocie do życia jako naród i tym bardziej – do obrony.

Wydawało się więc, że Polska musi przypomnieć o sowieckiej istocie reżimu Putina. Istocie zasłanianej przez wielorakie decorum, ale wyraźnie widocznej w ciągłości instytucji (armii, wywiadu, dyplomacji), w rodowodzie elity władzy, w kontynuacji propagandy, w podtrzymywaniu struktur mentalnych, które wytworzyła. Obecne władze Rosji ciągle negują bezprawie i zbrodnie wobec narodów Europy Środkowej, narzucenie im kolaboracyjnych rządów nazywają „wyzwoleniem”, a politykę Stalina przedstawiają jako uzasadnioną ochronę pokoju i narodów Związku Sowieckiego.

NIC NAS NIE RÓŻNI?

Wydawałoby się, że nadszedł właściwy czas, by przerwać milczenie, by zażądać międzynarodowego potępienia komunizmu. Tymczasem nasz premier przedstawia zupełnie inną interpretację

wydarzeń. Opartą nie na doświadczeniach narodów ujarzmionych, ale na oczekiwaniach klasy rządzącej w państwach liberalnych i organizacjach międzynarodowych.

W programowym przemówieniu na kongresie Polska Wielki Projekt zdefiniował trzy źródła wojny Putina: rosyjski nacjonalizm, imperializm i kolonializm. Czytając to przemówienie, przypomina się orędzie, które w Parlamencie Europejskim Mateusz Morawiecki skierował do Guya Verhofstadta: w sprawach wartości nic nas nie różni.

W całym przemówieniu nie było ani słowa o bolszewizmie, o KGB (czyli mateczniku samego Putina), o niepotępionym komunizmie. Owszem, pojawiło się krótkie stwierdzenie, że jedną z dwóch tradycji, na których Putin opiera swój imperializm, „jest mit wielkiej wojny ojczyźnianej”, na bazie którego „umocnił się Związek Radziecki”, który „przez dużą część mieszkańców dzisiejszej Rosji jest wspominany nawet z nostalgią”. I tylko tyle. Drugą tradycją ma być „carska Rosja”.



FOT. YOUTUBE

można szczególnie wymagać odróżniania marketingu, produktu oraz interesów tych, którzy go sprzedają.

Premier to człowiek o pięknym antykomunistycznym życiorysie i rodowodzie, a co więcej – historyk. Powinien widzieć różnicę między pomnikami Aleksandra II czy Aleksandra III a Mauzoleum Lenina. Bo chyba nie uważa, że gdyby w berlińskich sklepach z pamiątkami nagle obok powszechnie dostępnych figurek Fryderyka Wielkiego (też naszego wroga) i królowej Luizy (której Napoleon podarował Warmię, wraz z różą) pojawiły się nagle popiersia Hitlera i Ewy Braun – nie stanowiłoby to żadnej jakościowej zmiany społecznej.

EUROPRZEMYT KOMUNIZMU

Polska, przede wszystkim poprzez Solidarność i całość oporu społecznego, odegrała istotną rolę w zwycięstwie wolnego świata w zimnej wojnie. Państwom zachodnioeuropejskim dało to nie tylko poczucie bezpieczeństwa, lecz także realne korzyści materialne w postaci miliardów euro przekierowanych z obrony na rozwój, inwestycje i konsumpcję. Natomiast my ciągle musimy odrabiać skutki półwiekowych zniszczeń społecznych i gospodarczych. To wystarczający powód, by przypominać, czym był Związek Sowiecki i jak realne są ciągle skutki komunizmu.

Zachodnioeuropejskie państwa liberalne prawdy te systematycznie negują. PiS powinien rozumieć to najlepiej, bo sam – dla uzasadnienia swej polityki sądowej – powołuje się na pamięć instytucjonalną, która przetrwała w wymiarze sprawiedliwości po PRL-owskich rządach kolaboracyjnych. Jeśli chodzi o odbiór tej polityki w Unii Europejskiej, to oburzająca jest nie tyle reakcja na techniczną stronę PiS-owskiej polityki, ile negowanie samej potrzeby zmian społecznych po komunizmie, odrzucanie ich zasadności. Tak samo zresztą eurokraci traktowali Węgry.

W Unii ani Piłsudski, ani Mannerheim, ani Denikin nigdy nie byli bohaterami wspólnej europejskiej świadomości

historycznej. Ich portrety nie wiszą w Parlamencie Europejskim, ich nazwiska nie patronują parlamentarnym salom i biurom. A ofiary komunizmu, również te zwykłe, codzienne, całe narody skazane na życie w ustawicznym poniżeniu do tej pory nie otrzymują żadnego moralnego zadośćuczynienia. Zachodnia część Unii nie ma żadnego zrozumienia dla potrzeby dekomunizacji w krajach naszego regionu, a tym bardziej dekomunizacji własnej kultury i pamięci historycznej.

Odegrała za to Unia ogromną rolę w rozgrzeszaniu historycznej odpowiedzialności środowisk postkomunistycznych. Gyula Horn czy Giorgio Napolitano, komuniści, którzy wprost wspierali sowiecką przemoc, stali się w czasach współczesnych unijnymi gwiazdami, liderami międzynarodowej socjaldemokracji.

ODPROGRAMOWAĆ ZAPROGRAMOWANE MILCZENIE

Milczenie więc premiera o postkomunistycznym charakterze współczesnej Rosji, o dziedzictwie sowieckim jako realnym źródle obecnej wojny bardzo zastanawia. Premier widzi postkomunizm w Polsce, wręcz rozszerzając go na całość dorobku państwowego pierwszych kilkunastu lat niepodległości (w ramach pogardliwej formuły „III RP”), a nie widzi go, mimo monstrualnej różnicy skali, w Rosji.

Mateusz Morawiecki wygłosił ostatnio długą pochwałę nowego „Top Gun” (na co zareagował celnym felietonem Łukasz Warzecha). Pozostając więc w poetyce vloga premiera – czytając jego ukraińskie przemówienie, miałem wrażenie, że Mateusz Morawiecki zachowuje się jak hosty w „Westworldzie”. Widzi tylko to, co panowie liberalnego Westworldu pozwalają widzieć, i nie widzi tego, czego widzieć politycznym hostom nie wolno. Czas jednak otworzyć oczy i umysły! Antykomunizm był zawsze objawem woli życia narodów i reakcją najprościej objawiającą zmysł dobra wspólnego. Nikt tego nie pokazał lepiej niż lud ukraiński, obalający po rewolucji godności setki pomników Lenina.

Międzynarodowe potępienie komunizmu jest konieczne. O ile w ogóle zamierzamy budować Europę dla siebie, jako bezpieczne (również moralnie) otoczenie niepodległej Polski, a nie tylko być ciągłym pawiem i papugą narodów.

Zastanawia milczenie premiera o postkomunistycznym charakterze współczesnej Rosji i o dziedzictwie sowieckim jako realnym źródle obecnej wojny

Uporządkujmy trochę materię. Rosyjski imperializm dziś to po prostu imperializm sowiecki, przekonanie, że wojna Stalina (a już specjalnie „antyfaszizm”) daje im prawo do dominacji międzynarodowej (przynajmniej regionalnej), że „normalne” jest to, co istniało w Związku Sowieckim (więc skąd ta Ukraina, owszem – część narodu sowieckiego żyła w takim regionie), że zrzeszone w straszliwym NATO państwa zachodnie (które tak naprawdę niezdolne są nawet do obrony własnych granic przed nielegalną imigracją) szykują najazd na Rosję. Nacjonalizm, owszem; każda władza chętnie rozbudza odruchy nacjonalistyczne jako wsparcie dla swojej polityki. Ale to nie oznacza, że w Rosji jacyś zaczynają w Chomiakowie, Dostojewskim i Iljinie „nacionaliści” odebrali władzę nomenklaturze komunistycznej i kadrom KGB.

Owa „carska Rosja” zresztą była już „tradycją” w czasach Stalina, poczynawszy od przywrócenia w konstytucji pojęcia rodziny-ojczyzny i epoletów w armii, i parę razy później. W niczym nie wpłynęło to na los tych, którzy w czasie wojny domowej próbowali ratować monarchię (albo Rosję w ogóle), na potępienie mordców rodziny cesarskiej, na inwektywy wobec „caratu” i kontrrewolucji w podręcznikach historii. Polityka wymaga uzasadnień, czasami opakowania – Marks nazywał to produkcją „fałszywej świadomości”. Natomiast od polityków, którzy nas reprezentują i którzy, jak Mateusz Morawiecki, znają dobrze rynek,



Tomasz Lenczewski

Pamiętniki wydane niedługo po śmierci ich autorów były powodem ostrych protestów, zwłaszcza ze strony potomków i rodzin osób opisanych w tych memuarach bez kurtuazji

W polskiej literaturze pamiętnikarskiej zachowały się wspomnienia z wątkami obyczajowymi o wyraźnym charakterze skandalizującym. Dotyczy to szczególnie okresu od drugiej połowy XIX w. Są to pozycje zarówno opublikowane, jak i pozostające w rękopisach, będące w posiadaniu rodzin lub bibliotek.

Spośród wydanych do najbardziej znanych należą dzieła autorstwa Kazimierza Chłędowskiego (1843–1920), ministra ds. Galicji; Mariana Rosco Bogdanowicza (1862–1955), zdegradowanego c.k. szambelana i kawalera maltańskiego; Tadeusza Bobrowskiego (1829–1894), właściciela ziemskiego z Ukrainy i wuja Józefa Conrada-Korzeniowskiego, oraz Kajetana Kraszewskiego (1827–1896), podlaskiego ziemianina i brata słynnego pisarza. Memuary te zawierają bogaty materiał anegdotyczno-plotkarski na temat wielu postaci z ich epoki.

Szczególnie wiele uwagi pamiętnikarze ci poświęcili osobom ze środowisk dworskich, dyplomatycznych, urzędniczych, arystokratycznych oraz ziemiańskich. Nie brak w ich wspomnieniach skandali obyczajowych w postaci zdrad małżeńskich i przelotnych romansów, dzieci z nich urodzonych, czasem przypisywanych prawowitemu małżonkowi lub mężczyźnie niebędącemu ich naturalnym ojcem. Sporo w nich także czynów aferalnych czy wręcz kryminalnych, zasługujących na potępienie z punktu widzenia etyki czy prawa lub postawy patriotycznej. Oczywiście wspomniane opisy nie były głównym tematem wspomnień czy celem ich autorów. Opinia Stanisława Catta-Mackiewicza, jakoby herbarze polskie musiałyby ulec „poważnym korektywom, gdyby zechciano uwzględnić wszystkie niedyskrecje”, jest wyolbrzymiona. Natomiast koloryt i zasób informacji w tych dziełach jest jednak wyjątkowy na tle

Pamiętnikarskie niedyskrecje

Zygmunt Szembek (1844–1907), autor niepublikowanych pamiętników FOT. ARCHIWUM AUTORA



wielu innych podobnych obyczajowych wspomnień i kronik życia towarzyskiego minionych epok.

RYZYKO WYDAWANIA

Pamiętniki tego rodzaju zawsze budziły kontrowersje, jeśli były opublikowane krótko po śmierci ich twórcy. Wydane zaledwie kilka lat po zgonie Tadeusza Bobrowskiego jego wspomnienia wzbudziły gwałtowne protesty żyjących rodzin opisywanych postaci. Nie obyło się bez polemik prasowych w prasie warszawskiej i galicyjskiej, gróźb procesów czy pojedynków pod adresem osób odpowiedzialnych za wydanie ze lwowskiego Ossolineum. Charakterystyczne, że najważniejsi adwersarze, historycy Franciszek Rawita-Gawroński i Walery Przyborowski, swoje negatywne publikacje o Bobrowskim wydali anonimowo. Ten ostatni nazwał dzieło Bobrowskiego „wielkim skandalicznym paszkwilem”. Do nich dołączyli również Eustachy Iwanowski („Helleniusz”), Józef Dunin-Karwicki i Mieczysław Rosco Bogdanowicz, którzy sami w swoich dziełach nagminnie opisywali afery i skandale swoich czasów.

Odsądzano autora od czci i wiary, atakowano jego moralność i wyzywano od miernot, choć współcześni doceniali jego zasługi związane z działalnością społeczną i darzyli go autorytetem. Bywało również, że wykupywano dostępne egzemplarze, by je po prostu zniszczyć. Nie było w tym nic nowego, wszakże podobny przypadek zaistniał już podczas Wielkiej Emigracji, kiedy rodzina Czartoryskich miała odkupować pamiętniki diuka de Lauzun, opisującego swoje życie intymne z Izabelą z Flemmingów, księżną Czartoryską.

Nawet wydane w okresie stalinizmu, a początkowo ocenzurowane z poglądów autora nieprzychylnych Żydom pamiętniki Kazimierza Chłędowskiego (opublikowane równo 30 lat po jego śmierci) sprowokowały falę listów protestacyjnych do Wydawnictwa Literackiego. To samo wydawnictwo dokonało jednocześnie usunięcia z dzieła Chłędowskiego całego rozdziału poświęconego innemu pamiętnikarzowi – Marianowi Rosco Bogdanowiczowi, którego wspomnienia wydano w tym samym czasie. Oficjalnie chodziło tu o dobro jeszcze żyjącego autora. W rzeczywistości przemilczał on w swoich niezwykle barwnych pamiętnikach własne kryminalne afery, które

zmusiły go do opuszczenia cesarskiej Austrii na początku XX w., co Chłędowski ujawnił.

Nie zabrakło też niechętnych Chłędowskiemu recenzji, jako „pomniejszyciela i odbrażawiacza”. Aleksander Bocheński, autor „Dziejów głupoty w Polsce”, uważał je za złośliwie karykaturalne. Z kolei austriacki historyk Otto Forst-Battaglia nie traktował ich poważnie, jako wiarygodne źródło, ponieważ wyszło spod pióra „człowieka wysoce odstręczającego”. Przeciwnicy Chłędowskiego nie mogli zapomnieć mu, że jako autor książek o sztuce napisanych z erudycją i wiedzą pozostawił po sobie złośliwe wspomnienia, odebrane przez niektórych jako krzywdzące.

Pamiętniki wydawane w okresie PRL w wydawnictwach państwowych czy spółdzielczych cechowała staranność edytorska w postaci opatrzenia ich naukowymi przypisami i komentarzami uwzględniającymi dodatkowe źródła. Niestety, te wydane po 1990 r. były już pozbawione takich zalet. Dotyczy to zarówno słabej edycji pamiętników Kajetana Kraszewskiego autorstwa prof. Zbigniewa Sudolskiego, jak i „Dzienników” Górskiej (o nich za chwilę). Zapomniano jakby, że wydawanie pamiętników wymaga umiejętnego ich opracowania z wykorzystaniem warsztatu historycznego, w tym genealogicznego. Tekst wymaga krytycznej analizy źródłoznawczej. Tak więc współcześni wydawcy traktują często pamiętniki jako tekst samoistny, a przypisy zazwyczaj ograniczają do objaśnień wyrazów obcych bądź trudniejszych zwrotów. Co gorsza, biogramy opisywanych postaci bazują często na danych z Wikipedii, a genealogiczne zawiłości, do których wyjaśnienia posłużyłaby tablica z rodowodem, są poza zasięgiem wydawcy. Warto jednak odnotować, że ostatnio dokonano wzorowej edycji monumentalnych „Dzienników” Karola Estreichera, będących również kroniką życia towarzyskiego powojennego Krakowa.

RĘKOPISY OCZEKUJĄCE

Wśród nieopublikowanych pamiętników znajdują się mocno skandalizujące wspomnienia Zygmunta Szembeka (1844–1907). Autor tych nieznanych dotąd biografom i bibliografom zapisów pozostawił wspomnienia z życia wyższych sfer, zwłaszcza arystokracji polskiej we Francji. Jeszcze w latach 60.

XX w. jego wnuk, dyplomata Kazimierz hr. Mycielski, uważał ich wydanie za niemożliwe bez usunięcia niektórych fragmentów.

Szembek przytacza znacznie więcej skandalicznych historii niż Chłędowski. Ten ostatni przewyższa go jednak intelektualnie, ale bywa bardziej złośliwy w stosunku do prezentowanych postaci. Charakterystyczne, że sam autor w przedmowie do swego dzieła napisał znamienne słowa: „Całość nie ma być nigdy drukowana i przez obcych czytana”.

Wśród manuskryptów znajdujemy również pamiętniki dyplomaty Stanisława Zabiełły (1902–1970), w których skupiając się na poszczególnych przedstawicielach swojej rodziny, opisał wszystkie ich współczesne grzechy budzące wątpliwości natury moralnej nawet w dzisiejszej epoce. Z kolei w ogromnej spuściźnie rękopiśmiennej po malarzu Marianie Wawrzeńniku (1863–1943) pozostał dość niecodzienny zbiór jego zastrzeżonych przez długie lata zapisów, poświęcony charakterystyce kilkunastu kobiet w jego życiu – zarówno tych, które były przygodą jednej nocy, jak i tych, które towarzyszyły mu dłużej. Pośrednio komponuje się to z jego twórczością malarską, gdzie wśród fantazji seksualnych nader często przewijają się motywy kobiet torturowanych w związku z podejrzeniem o czary.

Zachował się też niecodzienny pamiętnik Zofii Zyty, księżnej Woronieckiej (1906–1984), zabójczyni swojego narzeczonego Jana Boya. Powstał on w warszawskim kobiecym więzieniu w 1931 r. Niepozbawiony pikantnych szczegółów, opisuje dzieje grzechu i miłość do mężczyzny zabitego przez nią sześcioma wystrzałami rewolweru. Był on w kilku zdaniach cytowany na procesie i nosi miejscami ślady cenzury (autocenzury?) czarnym tuszem. Cenzura ze strony rodziny w pamiętnikach dotknęła też pamiętniki Kraszewskiego – w maszynopisie przygotowanym do druku na przełomie XIX i XX w. usunięto bowiem kilka stron (rękopis współcześnie się nie zachował).

Lektura wspomnianych (i podobnych im) pamiętników rodzi pytanie o wiarygodność wyjawionych niedyskrecji. Przykładem tego może być sprawa pochodzenia dziadka o. Jacka Woronieckiego, dominikanina i teologa. Zarówno Górski, Kraszewski, Szembek, jak i historyk Józef Puzyna (którego pamiętnik

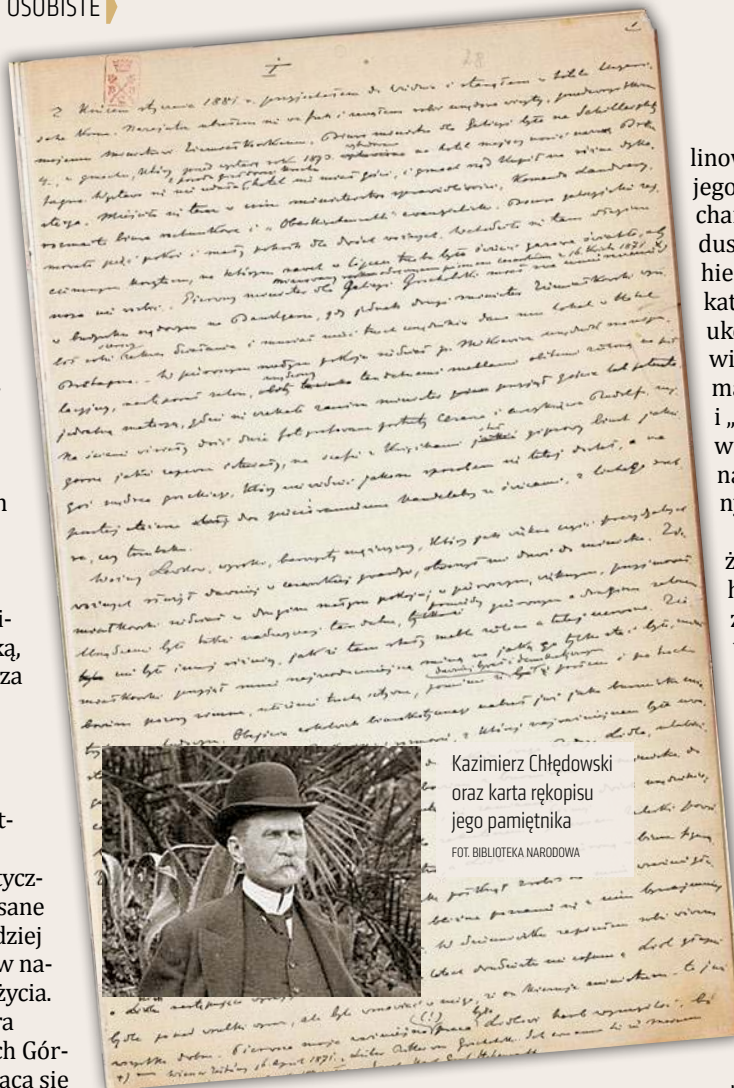
pozostaje w zbiorach rodzinnych) opisywali nieślubne pochodzenie dziadka dominikanina, rosyjskiego generała. Miał on być jakoby synem cesarza bądź cesarzewicza rosyjskiego. Informacje te mniej lub bardziej poplątane w zależności od autora znalazły nieoczekiwanie potwierdzenie i uporządkowanie we współczesnych pamiętnikach Andrzeja Wielowieyskiego. Autor przytoczył w nich tradycję rodzinną swojego rodu, opisując Teodorę Wielowieyską, kochankę przyszłego cesarza Pawła I, oraz ich naturalne potomstwo.

„DZIENNIKI”

Szczególną formę pamiętników stanowią dzienniki stanowiące zapisy systematyczne, nierzadko codzienne, pisane na bieżąco. Uchodzą za bardziej wiarygodne od pamiętników napisanych zwykle u schyłku życia.

Listę dzienników otwiera hrabina Maria z Łubieńskich Gór-ska (1838–1926), wywodząca się z arystokracji, ziemianka i katolicka działaczka społeczna. Te obyczajowe dzienniki, pisane raczej dorywczo, trudno nazwać klasycznie skandalizującymi, jednak autorka wspomina na ich kartach liczne afery swojej warstwy społecznej, które w tym czasie bulwersowały opinię publiczną. Wydane one zostały dyktando przez redakcję „Twojego Stylu” w sposób uwłaczający tego rodzaju dzielnym. Wydawcy nie potrafili się zresztą zmierzyć z edycją pozostającego dotąd w rękopisie tomu III, w którym autorka dała m.in. wyraz swojej postawie antyżydowskiej. Identyczne nastawienie dość obsesyjnie występujące u Kajetana Kraszewskiego nie przeszkodziło z kolei wydaniu jego dzieła. Sporo elementów skandalizujących i złośliwości o współczesnych można znaleźć również w „Dziennikach” Janiny z Puttkamerów Żółtowskiej z jej okresu wielkopolskiego (1919–1933).

„Dzienniki” hrabiego Zygmunta Mycielskiego (1907–1987), kompozytora i – jak na ironię – wnuka wspomnianego powyżej Szembeka, stanowią wyjątkowe



Kazimierz Chłędowski
oraz karta rękopisu
jego pamiętnika
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

zjawisko w polskiej literaturze. Nie tylko ze względu na orientację homoseksualną lub biseksualną autora, nieukrywającego swoich nieokiełzanych namiętności na ich kartach, lecz także na niespełnioną miłość do kobiety, mężatki ze swojej sfery, w dodatku naturalnej córki hrabiego Edwarda Raczyńskiego, prezydenta RP na uchodźstwie. Wydane bez cenzury przez rodzinę dobrze korelują z opublikowanymi równolegle teczkami Służby Bezpieczeństwa na temat tego autora. Dzienniki dotyczą głównie okresu PRL i w swojej bogatej treści dotyczą również dawnych środowisk arystokratyczno-ziemiańskich.

W ubiegłym roku na jednej z aukcji antykwarycznych pojawił się niezwykle dziennik, który trudno dotąd było znaleźć w literaturze polskiej. Jego autorem był ks. Mieczysław Żywczyński (1901–1978), profesor KUL, historyk, człowiek o szerokich horyzontach intelektualnych. Dziennik dotyczy głównie lat 1952–1969 i obejmuje działalność autora o charakterze naukowym oraz społeczno-politycznym w okresie stalinowskim i poststa-

linowskim, a przy tym oczywiście jego życie codzienne. Sporo w nim charakterystyki współczesnych mu duszpasterzy, w tym najwyższej hierarchii kościelnej, działaczy katolickich i pracowników naukowych KUL. Zapisy dotyczące wielu osób, w tym duchownych, mają charakter demaskatorski i „odbrązowiający”, niekiedy wręcz bulwersujący, ze względu na treść informacji o życiu intymnym tych postaci.

Dzienniki i pamiętniki uważane są za godne uwagi źródła historyczne. Jako że są pisane z perspektywy subiektywnej, wymagają one konfrontacji z innymi przekazami, a w przypadku szerszego udostępnienia także dodatkowej informacji dla czytelnika celem skomentowania wątpliwych lub drażliwych faktów.

Przynoszą jednak bogactwo informacji osobowych i są pomocne w biografistyce. Elementy skandaliczne w nich zawarte stanowią tylko nieznaczny procent w stosunku do opisywanych zdarzeń czy postaci.

„Brutalnie odsłanianie w nich tajemnice albowiane” (Cat-Mackiewicz) o pochodzeniu współczesnych wcale nie stanowią jedynych informacji o takich okolicznościach, a jeśli już, to są źródłem pomocniczym.

Podjęta po latach szeroka weryfikacja „niedyskrecji” wobec wielu osób dokonana na kartach pamiętników Bobrowskiego potwierdziła w wielu przypadkach ich słuszność albo wykazała, że autor „potwarzy” odnotował jedynie grzechy współczesnych, wskazując ich źródło. Uczynił to jako rasowy kronikarz swoich czasów. Warto podkreślić, że zarówno pamiętniki, jak i dzienniki są dokumentem obyczajowym danej epoki, a ponadto cennym materiałem psychologicznym, często jedynym śladem tego, jaki był odbiór środowiskowy sportretowanych przez ich autora osób. Stanowią one bezsprzecznie znaczący zapis naszych dziejów i kultury, a w zbiorach prywatnych i bibliotekach czeka zapewne na odnalezienie i opublikowanie jeszcze wiele tego rodzaju źródeł, których wartość historyczna jest nie do przecenienia.



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W błysku wystrzałów

Pprzed maską niemieckiej ciężarówki nagle pojawił się wózek z drewnianymi skrzynkami. Ulica została zablokowana – pojazd zahamował z piskiem opon. Siedzący w środku umundurowani Niemcy nie mieli najmniejszych szans na reakcję. Wszystko rozgrywało się w ułamkach sekund.

Ze wszystkich stron wyskoczyli młodzi ludzie z pistoletami maszynowymi. – Rąbać! – huknęła komenda. A zaraz po niej rozległa się ogłuszająca kanonada. Jeden z napastników wskoczył na pakę ciężarówki i z pistoletu położył trupem konwojentów. W środku znajdowały się worki wypełnione po brzegi gotówką. W sumie – 105 mln zł.

Do akcji włączyli się przypadkowi Niemcy. Oficer, który przejeżdżał samochodem, i dwuosobowy policyjny patrol. Doszło do wymiany ognia. Zostali zneutralizowani przez partyzantów obstawiających atak. Ciężarówka pełna gotówki została uprowadzona. Cała akcja potrwała zaledwie 2,5 minuty.

W tak dynamiczny sposób Krzysztof Wyrzykowski i Sławomir Zajączkowski przedstawili w swoim nowym komiksie słynną akcję „Góral”. Skok na niemiecki

transport gotówki z Banku Emisyjnego Generalnego Gubernatorstwa. Doszło do niego w Warszawie 12 sierpnia 1943 r. i była to jedna z najbardziej brawurowych akcji podziemnej Europy. Doprowadziła Niemców do wściekłości.

Komis – jak zwykle w przypadku tego duetu autorskiego – jest kapitalny. Świetnie odzwzorowane realia okupacji. Pościgi i strzelaniny. Wartkie dialogi. Dbałość o historyczne szczegóły w przedstawianiu broni i umundurowania. Do tego humor i piękna łączniczka w filuternym bereciku. Czegoż chcieć więcej?

Są dwa sposoby popularyzacji historii.

Pierwszy – we łzawym stylu martyrologiczno-romantycznym. Drugi – z amerykańskim pazurem.

Pierwszy jest oczywiście piekielnie nudny. Tak jak przemówienie polityka podczas rocznicowych uroczystości – może wywołać tylko ziewnięcie. Drugi porwuje młode pokolenie i pokazuje, że rodzima historia może być ciekawsza niż hollywoodzki film akcji.

Autorski duet Wyrzykowski & Zajączkowski jest przedstawicielem tej drugiej szkoły. Brawo, panowie! ©©



★★★★★

KRZYSZTOF
WYRZYKOWSKI,
SŁAWOMIR
ZAJĄCZKOWSKI
„W IMIENIU
POLSKI
WALCZĄCEJ. AKCJA
»GÓRAL«”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Uczta u Wierzyńka

Pod rządami Kazimierza Wielkiego Polska stała się jednym z najważniejszych krajów naszego kontynentu. Ze zdaniem polskiego monarchy liczyli się papież i cesarz, a król potężnych Węgier blisko współpracował z władcą z Krakowa. W 1363 r. do Krakowa przybył cesarz Karol IV, aby w stolicy Polski poślubić

grabiów. Takiego zjazdu europejskich władców Polska jeszcze nie widziała.

Rozmowy polityczne umilały rozrywki. Organizowano wystawne ucztę i turnieje, swoje umiejętności prezentowali najlepsi muzycy i pieśniarze. Do legendy przeszła jednak słynna uczta wydana przez krakowskiego rąbcę Mikołaja Wierzyńka 22 września 1364 r.

Był on potomkiem niemieckich kolonistów. Jego rodzina wiernie służyła Władysławowi Łokietkowi oraz jego następcy i raczej nie mogła narzekać na brak wdzięczności swoich protektorów. Mikołaj pełnił funkcję doradcy finansowego króla, co zapewniało mu ogromne dochody. Dowodem jego znaczenia było słynne przyjęcie, które przeszło do polskiej tradycji.

Biesiadę wydano na koszt miasta, natomiast Wierzynek był jej organizatorem. Zachowane relacje opisują przepych biesiady, ale niestety nie podają szczegółów dotyczących jadłospisu. Dlatego opisywano kosztowne prezenty, ale jeżeli chodziło o potrawy, to pojawiały się same ogólniki: chleb, mięsa, ptactwo, ryby i napoje w dużym wyborze. Można jednak podejrzewać, że zadbano, by olśnić gości wspaniałymi potrawami. Kazimierz Wielki nie był dzielnicowym książęciem, na którego dworze jadano tylko dużo i tusto. A zjazd monarchów w Krakowie był dobrą okazją do zademonstrowania obyczajów z wielkiego świata i Kazimierz w pełni to wykorzystał. ©©

Biesiadę wydano na koszt miasta, Wierzynek był jej organizatorem

księżniczkę pomorską Elżbietę. Wybór cesarza nie był przypadkowy. Karol IV nie mógł ożenić się z dziewczyną z mało znaczącego rodu pomorskich książąt, ale z wnuczką króla Polski – jak najbardziej. Panna młoda była bowiem córką Elżbiety, córki Kazimierza Wielkiego, i księcia z dynastii Gryfitów. W uroczystościach wzięli udział książęta śląscy i mazowieccy, a towarzyszące ślubowi turnieje i ucztę były okazją do ukazania bogactwa i potęgi Kazimierza.

Rok później mieszkańcy Krakowa zobaczyli jeszcze wspanialsze widowisko. Odbił się zjazd monarchów, na który przybyli: Karol IV, Ludwik – król Węgier, Piotr – król Cypru, Waldemar – król Danii. Nie zabrakło książąt śląskich, mazowieckich, pomorskich oraz margrabiów brandenburskich. Kazimierz gościł cesarza, trzech królów, pięciu książąt i trzech mar-



polski
uniwersytet
wirtualny

Uczymy zdalnie
już **20** lat

Aż **24**
kierunki do
wyboru

Elastyczne
studia, które
pogodzisz
z pracą

Unikalne zajęcia
z technologii
kreatywności



REKRUTACJA TRWA



Akademia
Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi



Studia I i II stopnia, jednolite magisterskie, podyplomowe



Centrum Kształcenia Podyplomowego

Ponad **100**
przyszłościowych
kierunków
studiów
podyplomowych
realizowanych
weekendowo lub
online.



www.ahe.lodz.pl

Operacja niespecjalnie



Władimir Putin obserwujący ćwiczenia „Wostok-2022” w Nadmorsku. Na początku września Rosja zgromadziła tam na manewrach ok. 50 tys. żołnierzy

FOT. KREMLIN.RU

Władimirze Władimirowiczu, przegraliście tę wojnę – miał usłyszeć Putin od jednego z generałów podczas narady z kierownictwem resortów siłowych i z dowódcami wojskowymi. Tak przynajmniej twierdzi rosyjski blogger General SVR, który na Telegramie publikuje, często okazujące się potem prawdą, przecieki ze szczytów kremlowskiego olimpu. W jego ocenie armia rosyjska przegrała w tym sensie, że nie tylko straciła możliwości ofensywne, lecz także niedługo nie będzie w stanie nawet się bronić przed ukraińską kontrofensywą. Co zresztą pokazuje klęska pod Charkowem.

Kremlowska propaganda próbowała mydląc oczy swoim odbiorcom. Rzecznik MON Igor Konaszenkow ucieczkę przedstawił jako przegrupowanie oddziałów, które teraz będą bardziej potrzebne w obronie obwodu donieckiego. Nie zabrzmiało to wiarygodnie nawet dla zwolenników rozpętanej przez Putina wojny.

Coraz częściej do głównego nurtu propagandy przebijają się głosy niezado-



Maciej Pieczyński

Rosjanie jeszcze nie przegrali, ale są w odwrocie. Putin chciałby być nowym Stalinem, „pogromcą faszyzmu” i „zgniłego Zachodu”, jednak po klęsce charkowskiej bliżej mu do Mikołaja II. Co władca Kremla może i zamierza zrobić, żeby uniknąć losu ostatniego cara?

wolenia. Tradycyjnie nieudolność armii rosyjskiej krytykuje Igor „Strielkow” Girkin, były oficer FSB, bohater walk w Donbasie po stronie separatystów. Radykalny imperialista, który już w 2014 r. narzekał na Putina, bo ten nie zdecydował się na podbój całej Ukrainy. Kompromitację charkowską porównał ostatnio do klęsk rosyjskich podczas wojny z Japonią w 1905 r. Jak wiadomo, ówczesna porażka na froncie była początkiem końca imperium.

Choć „Strielkow” nie funkcjonuje w oficjalnym obiegu, to jego głosem zaczęli mówić goście popularnych programów propagandowych w państwowej telewizji.

Były deputowany Borys Nadieżdin oskarżył o kłamstwo tych, którzy doradzali Putinowi rozpoczęcie „specjalnej operacji wojskowej”, zapewniając, że zakończy się ona szybkim zwycięstwem. Deputowany Siergiej Mironow uspokajał, zapewniając, że Rosja tak naprawdę jeszcze nie zaczęła „prawdziwej” operacji. Obaj są przedstawicielami koncesjonowanej opozycji, przy czym pierwszy gra rolę liberała, drugi – ultrapatrioty.

O tym, że sytuacja na froncie jest „bardzo trudna”, otwarcie mówili nawet, zazwyczaj bojowo nastawieni propagandyści, popularni prowadzący programy

udana



w Białogrodzie, rozdrażniony Putin miał odpowiedzieć: „Na chj mi o tym opowiadać? Tam praktycznie sami Ukraińcy żyją. Swoich zabijają. I bez tego mamy wystarczająco problemów”.

Wreszcie grupa samorządowców z Petersburga i Moskwy odważyła się publicznie oskarżyć Putina o zdradę w związku ze specoperacją oraz domagać się jego dymisji. Radni dzielnicowi wystosowali w tej sprawie oficjalne pisma do Dumy Państwowej. Putinowi dostało się zarówno za niepowodzenia na froncie, jak i za ich międzynarodowe i gospodarcze konsekwencje. Młodzi Rosjanie w wieku produkcyjnym albo giną, albo uciekają z kraju. Inwestorzy wycofują się z Rosji. Wreszcie, argumentują radni, Putin doprowadził do tego, czemu rzekomo tak bardzo chciał zapobiec. Oto bowiem w rezultacie jego działań NATO niebezpiecznie zbliżyło się do granic Rosji, poszerzając się o Finlandię i Szwecję. Poza tym celem operacji była demilitaryzacja Ukrainy. I również w tym wypadku efekt jest odwrotny do zamierzonego. Kijów się wręcz jeszcze bardziej „zmilitaryzował” dzięki dostawom nowoczesnego sprzętu wojskowego z Zachodu. Padły też zarzuty o budowę państwa policyjnego, doprowadzenie do izolacji międzynarodowej czy represje polityczne. Generalnie jednak krytycy Putina przypominają raczej Stauffenberga niż „dobrych Niemców”. Wypominają nie tyle zbrodnicze zamiary, ile nieskuteczność w ich realizacji. A to już powinno władcę Kremla martwić o wiele bardziej niż protesty prozachodnich demokratów. Jeden z deputowanych został ukarany wysoką grzywną za dyskredytację armii rosyjskiej. Na wniosek gubernatora sąd zgodził się na rozwiązanie jednej z krytycznych wobec Putina rad. Generalnie jednak sam fakt, choćby ograniczonego, buntu samorządowców jest symptomatyczny. Wątpliwe, by byli to szaleńcy. Odważyli się rzucić wyzwanie Putinowi albo dlatego, że wyczuwają jego słabnącą pozycję, albo dlatego, że mają wsparcie jednej z kremlowskich baszt.

Sytuacja rosyjskich władz wydaje się najtrudniejsza od 24 lutego. Jak się rozwinie? Można wskazać kilka mniej lub bardziej prawdopodobnych scenariuszy. Oto pierwszy z nich:

1. ESKALACJA

Armia rosyjska w tej chwili nie jest w stanie ruszyć do szeroko zakrojonej ofensywy lądowej. Zamiast podbijać

kolejne ukraińskie miejscowości, musi skupić się na obronie tych już zajętych. Moskwa nie może jednak nie odpowiedzieć. Prokremlowscy propagandyści żądają zemsty za klęskę. Jedni odgrają się Ukrainie, że tak naprawdę Rosja jeszcze nie zaczęła „na serio” swojej rozprawy z „ukronazistami”. Inni przekonują, że jak dotąd specoperacja prowadzona była bardzo humanitarnie i że teraz trzeba z tym humanitaryzmem skończyć.

Rosjanie ostrzelali infrastrukturę elektroenergetyczną, doprowadzając do przerw w dostawie prądu i wody w części obwodów dniepropietrowskiego, charkowskiego, donieckiego, połtawskiego i sumskiego. Tego samego dnia Putin w rozmowie z Macronem ponownie straszył ryzykiem katastrofy w zaporoskiej elektrowni jądrowej. Nie mogąc, przynajmniej chwilowo, kontynuować ekspansji, Moskwa bombarduje obiekty niewojskowe. Ukraińcy cywile płacą za sukcesy ukraińskich żołnierzy. Taka taktyka długofalowo może jeszcze bardziej oddalić realizację planów Putina. Ukraińcy, szczególnie po zwycięstwach na froncie, raczej nie zatęsknią za „wyzwolicielami” pod wpływem spadających im na głowę rosyjskich bomb. Opór tylko okrzepnie. Z drugiej jednak strony, Putin może wyjść z założenia, że skoro nie da się Ukrainy podbić, to można ją przynajmniej zrównać z ziemią. A domagającemu się zwycięstw narodowi rosyjskiemu wytłumaczyć to jako sprawiedliwą zemstę. Jedyną możliwą, bo przecież – i to jest coraz częściej powtarzana teza – Rosja walczy nie tyle z Ukrainą, ile z całą potęgą NATO. A to już godny przeciwnik, potężny, taki, z którym przegrywać to nie wstyd. Wreszcie taktyka wyniszczającej eskalacji może przewidywać użycie taktycznej broni jądrowej. Tyle że to ostateczność i wielkie ryzyko, na które mogą nie zgodzić się nawet kremlowskie jastrzębie. Putin zdaje sobie sprawę, że jego rozkaz do ataku jądrowego może nie zostać wykonany, a to już byłby sygnał do buntu.

2. POWSZECHNA MOBILIZACJA

Drugi scenariusz to powszechna mobilizacja. Rezygnacja z ograniczonych ram specjalnej operacji wojskowej i rozpoczęcie pełnowymiarowej, otwartej wojny to dla Rosji jedyna szansa na podbój Ukrainy. Powszechny pobór pozwoliłby Moskwie zyskać przewagę liczebną nad broniącym się przeciwnikiem. Rosja, nie mogąc pokonać Ukrainy jakością

publicystyczne: Olga Skabiejewa, Jewgienij Popow czy Władimir Sołowiow. Szefowa RT Margarita Simonian apelowała o to, by nie panikować i modlić się za powodzenie walk. A jednocześnie, podobnie jak wielu innych kremlowskich agitatorów, nawoływała do zemsty. „Trzeba przyznać, że ponieśliśmy klęskę pod Charkowem” – mówił reżyser Karen Szachnazarov w programie Władimira Sołowiowa. Z kolei Aleksandr Prochanow, stalinista, charyzmatyczny publicysta o skrajnie imperialistycznych poglądach, na łamach swojej gazety „Zawtra” pocieszającym tonem pisał: „Rosja zawsze umiała swoje najstraszniejsze klęski przekuć w zwycięstwa”.

W mediach rosyjskich pojawiają się informacje o zagrożeniach dla bezpieczeństwa przygranicznego obwodu białogrodzkiego. Nie po raz pierwszy. O ile jednak kilka miesięcy temu służyły one propagandowemu przedstawieniu Ukraińców jako agresorów, o tyle obecnie wydają się szczera obawą o to, jak daleko zajdzie ukraińska ofensywa. Gdy podczas wspomnianych narady Patruszew raportował o dywersji

■ sprzętu i morale żołnierzy, przyniotłaby ją swoją tradycyjną bronią – setkami ton mięsa armatniego. Albo i nie. Być może bowiem Putin w efekcie skończyłby nie jak Stalin, tylko jak Mikołaj II. Zamiast zdobyć wieczną sławę „pogromcy faszyzmu”, straciłby władzę.

Związany z Kremlm politolog Siergiej Karaganow jeszcze przed klęską charkowską ostrzegał, że niepowodzenia na froncie mogą zniszczyć autorytet władzy i doprowadzić do powtórki z 1917 r. Czyli do oddolnej rewolucji niezadowolonych mas, osiodłanej potem odgórnie przez polityków w ramach przewrotu pałacowego. Współcześnie byłiby to politycy z najbliższego otoczenia „cara”, nie żadni opozycjoniści. Rewolucja lutowa wybuchła m.in. dlatego, że rosyjskie masy nie chciały walczyć na froncie, niezależnie od tego, kto wygrywał. Oczywiście dziś Rosjanie masowo popierają zarówno Putina, jak i rozpętaną przez niego operację specjalną. Imperialna дума, sączona

zapowiedź zmuszenia całego narodu do walki z bronią w rękę. Ponadto rozpętanie otwartej wojny byłoby mniej lub bardziej bezpośrednim przyznaniem się do błędu. Nawet gdyby Kreml tego jasno nie wyartykułował, wniosek byłby oczywisty – Putin pomylił się, nie docenił przeciwnika. Nie pomogłoby tłumaczenie, że jest nim nie tylko pogardy godna Ukraina – trzeba było przewidzieć, że do jej obrony stanie potęga NATO.

3. DALSZA CICHĄ MOBILIZACJĄ

Dlatego bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz trzeci – dalszy ciąg cichej mobilizacji. Putin już wcześniej nakazał zwiększenie nominalnej liczebności wojska. Stale rekrutowani są żołnierze kontraktowi. To jednak trwa od miesięcy, bez skutku.

Dlatego Putin postanowił zaangażować świat biznesu. Każda państwowa korporacja i każdy oligarcha mają stworzyć własną firmę wojskową. Nowi

byłby sukces propagandowy, po którym Putin mógłby, choćby jednostronnie, walkę zaprzestać. Wtedy jednak pojawiłby się kolejny problem. Trzeba byłoby zaanektowanych terenów bronić – odbicie choćby jednej miejscowości, formalnie włączonej do Rosji, byłoby bowiem większym wstydem dla Putina niż podcharkowska rejterada. Tak czy inaczej, właśnie nieoczekiwane powodzenie ukraińskiej kontrofensywy sprawiło, że referenda zostały przełożone na czas nieokreślony.

5. „OPERACJA NASTĘPCA”

Piąty scenariusz – „operacja następca”. Putin bardzo dba o swoje bezpieczeństwo i z pewnością robi wiele, by uniemożliwić ewentualny przewrót pałacowy kremlowskich „Stauffenbergów”. Możliwe jednak, że rozważy pójście drogą, która jego samego wyniosła do władzy. Czyli wyznaczenie następcy, któremu odda stery w zamian za gwarancję bezpieczeństwa. Zachód chętniej ustąpiłby każdemu – może poza Kadyrowem – człowiekowi Putina, byle nie nazywał się Putin.

Sytuacja jest jednak inna niż w 1999 r. Jelcyń mógł się obawiać co najwyżej oskarżeń o korupcję. Putin, owiany sławą agresora i zbrodniarza, musi mieć w głowie obrazy egzekucji obalonych dyktatorów. Pozbycie się choćby części władzy w tej sytuacji może być dla niego śmiertelnie niebezpieczne. Bo i po co komu żywy Putin?

6. UTRZYMAĆ WŁADZĘ

Dlatego najpewniejszy wydaje się scenariusz szósty, ostatni. Putin zrobi wszystko, aby utrzymać władzę. Trochę eskalując sytuację na froncie, pręząc w ten sposób muskuły. Trochę zwiększając cichą mobilizację w nadziei, że w końcu uda się odepchnąć Ukraińców i przeprowadzić choćby jakieś jedno referendum i zamknąć usta krytykom. A trochę dusząc wewnętrzne oznaki buntu. Dopóki nie wprowadzi powszechnej mobilizacji, dopóty buntu nie będzie. A dopóki nie sięga po walizkę atomową, dopóty potencjalni spiskowcy nie będą ryzykować przewrotu. Bo co potem? Nowy władca Rosji stanie przed tymi samymi trudnościami co obecny. Jastrząb będzie pewnie wiedział, że wojny bez mobilizacji nie uda się wygrać. A gołąb będzie wiedział, że społeczeństwo nie chce walczyć własnymi rękami, a także nie chce poniżającej kapitulacji przed Ukrainą i Zachodem. Trochę ciężka ta czapka Monomacha.

Rosjanie popierają wojnę dopóty, dopóki w imię wyznawanych przez nich „ideałów” giną żołnierze kontraktowi, ochotnicy, wagnerowcy czy kadyrowcy. Sami walczyć nie chcą

z telewizora, tradycyjnie ważniejsza jest od zawartości lodówki. Problem w tym, że popierają oni wojnę właśnie dopóty, dopóki widzą ją w telewizji, a w imię wyznawanych przez nich „ideałów” giną żołnierze kontraktowi, ochotnicy, wagnerowcy czy kadyrowcy. Sami walczyć nie chcą. Powszechna mobilizacja musiałaby więc doprowadzić do powszechnego buntu.

Nieprzypadkowo również kremlowscy propagandyści – zwłaszcza ci w wieku poborowym – przekonują, że tak radykalne kroki nie są potrzebne. Zamiast tego proponują „mentalną mobilizację” – zjednoczenie całego narodu i jego wysiłków na rzecz wsparcia dla tych, którzy już walczą. Politolog Andriej Pierła w tym kontekście przypomina słowa sowieckiej pieśni patriotycznej z czasów drugiej wojny światowej: „Wstawaj, kraju ogromny, wstawaj, do śmiertelnego boju”. Bo na Ukrainie toczy się konflikt z całą potęgą Zachodu, analogiczny w swej skali do czasów „wielkiej wojny ojczyźnianej”. To jednak raczej usprawiedliwienie dla niepowodzeń niż

najemnicy, według dziennikarza śledczego Christo Grozeva, mają być rzućeni na front już w październiku. Trudno jednak sobie wyobrazić, by doprowadziło to do wyraźnego przełomu na froncie.

4. ZAMROŻENIE KONFLIKTU

Czwarty scenariusz to zamrożenie konfliktu. Z pewnością bardzo pożądanym, ale obecnie niezbyt realnym. Wymaga bowiem porozumienia z Kijowem na wzajemnie korzystnych warunkach albo kapitulacji jednej ze stron. Ukraińcy od 24 lutego nie tracą ducha walki, a po charkowskim triumfie tym bardziej nie mają zamiaru siadać do stołu z agresorem. Chyba że agresor zgodzi się wycofać z terenów zajętych w rezultacie specoperacji. Na to z kolei nie może sobie pozwolić Moskwa – to by bowiem oznaczało pełną kapitulację i najpewniej odsunięcie Putina od władzy.

Scenariusz ten miałby pewne szanse powodzenia, gdyby udało się przeprowadzić na okupowanych terenach referenda w sprawie włączenia do Rosji i tym sposobem „zalegalizować” ich aneksję, powołując się na „samostanowienie narodów”. To



„WYZWOLONA” ŚWINKA PEPPA

Podobno widzowie bajki dla dzieci „Świnka Peppa” od dawna apelowali do twórców, by wprowadzono do niej wątek LGBT. Jak doniosła brytyjska prasa, oczekiwanie to zostało właśnie spełnione. 6 września na kanale Channel 5 wyemitowano odcinek zatytułowany „Families”. Maluchy oglądające tę bajkę zobaczyły małą polarną niedźwiedzicę Penny, którą wychowują dwie mamy. „Mieszkam z moją mamusią i moją drugą mamusią. Jedna mama jest lekarzem, a druga gotuje spaghetti. Uwielbiam spaghetti!” – tak maluchom przedstawiła się kreskówkowa Penny.

FOT. ADOLBE STOCK

MLECZNY TERRORYZM

Animal Rebellion to grupa aktywistów z Wielkiej Brytanii, która sprzeciwia się hodowli zwierząt, od których pozyskuje się mleko do produkcji nabiału. Wśród swoich żądań wymieniają też „klimatyczną sprawiedliwość”. Opublikowali nagranie ze swojego „protestu”. Polegał na tym, że wywierzili dziury w 50 samochodach jednej z firm mleczarskich. Zamierzali przerwać łańcuch dostaw i pozbawić Brytyjczyków mleka na co najmniej dwa tygodnie. Zostali szybko zidentyfikowani – policja zatrzymała 17 z nich.

ROPA WYCIĘKAJĄCA DO ZŁODZIEI

Nigeryjska Komisja Regulacyjna ds. Wydobycia Ropy Naftowej poinformowała, że roczna produkcja ropy w tym kraju spadła do najniższego rocznego poziomu – 1,18 mln baryłek dziennie (w sierpniu). Według niektórych firm zajmujących się wydobyciem w Nigerii aż 80 proc. ropy znika z rurociągów. Na taką skalę odbywa się tam kradzież surowca. Szef państwowej firmy naftowej NNPC LTD przyznał,

że eksport został ograniczony o 700 tys. baryłek dziennie z powodu kradzieży.

UPOLOWANI

Do rezerwatu Game Sibuya w pobliżu Kenton-on-Sea w Republice Południowej Afryki zakradli się kłusownicy. Ich ekwipunek wskazywał, że zamierzali zabić nosorożce i odciąć ich rogi. Tym razem jednak natura obroniła się sama. Jak wskazują pracownicy Game Sibuya, na terenie rezerwatu znaleziono już tylko szczątki ciał trzech kłusowników, ich buty i narzędzia. Wszystko wskazuje na to, że zanim zdążyli zapolować na nosorożce, na nich samych zapolowały lwy.

DWA DNI W BALONIE

Pewien mężczyzna, który trudnił się zbieraniem orzeszków piniowych w Chinach, użył balonu napelnionego helem zamiast wysięgnika. Niestety, lina, na której cumował balon, zerwała się i pan Hu (tak przedstawił go media) poszybował w nieznane. Na szczęście miał asystenta na ziemi, który zawiadomił służby. Mężczyzna został sprowadzony na ziemię po dwóch dniach lotu, przemierzył ponad 300 km. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowy jak stary, za to droższy



JACEK PRZYBYLSKI

Firma Apple pokazała nowe smartwatche, słuchawki, smartfona i inne sprzęty z logo nadgryzionego jabłka.

Na wrześniową prezentację nowości czekały miliony na całym świecie. Najwierniejsi fani marki nie powinni być zawiedzeni: znów wszystko kosztuje absurdalnie dużo. Poza tym najnowszy model iPhone'a nie różni się zbyt wiele od poprzednika. Ten brak innowacji wyśmiał nawet Eve Jobs, córka współzałożyciela Apple, wrzucając na Instagrama zdjęcie pewnego pana rozpakowującego koszulę identyczną z tą, którą ma już na sobie z podpi-

sem: „To ja zmieniająca telefon z iPhone 13 na iPhone 14”.

Rzeczywiście kolejny już raz Apple mocno rozczarował. Amerykańska firma, znana niegdyś z innowacyjności, solidności produktów oraz wysokich cen, skupia się głównie na tym, by było drogo. Każdy nowy iPhone jest istotnie droższy w dniu premiery od poprzednika. Za iPhone'a 14, z nieco większą baterią niż rok temu, poprawionym aparatem i funkcją automatycznego wzywania pomocy w razie rozpoznania wypadku samochodowego, należy zapłacić od 5,2 do 10,2 tys. zł (poprzednik w dniu premiery kosztował 4,2 tys. zł).

Wyśmiać można też czas pracy na baterii nowych AirPodsów czy modelu Watch Ultra. Podczas gdy Apple chwali się, że jego nowość może działać do 60 godzin w trybie oszczędzania baterii, konkurencyjna firma Garmin napisała: „My mierzymy żywotność baterii w miesiącach. Nie w godzinach”. Rozczarowujący jest też nowy MacBook Pro 13 oraz brak newsów o rozszerzonej rzeczywistości (AR).

Concern ma tyłu fanów, że choć Apple znów pokazał, że ma Polaków za nic (jest u nas drożej niż w wielu innych krajach), to i tak wyznawcy firmy karnie sięgną po portfele. Pytanie: Jak długo jeszcze? ©©

Liz Truss musi stawić czoła wielu problemom naraz FOT. DANIEL LEAL/AFP/EAST NEWS

Nowy premier na polu minowym



Teresa Stylińska

Liz Truss jest czwartym premierem w ciągu ostatnich pięciu lat – po Davidzie Cameronie, Theresie May i Borisie Johnsonie. Nawet jej bliscy wątpią, że dotrwa do wyborów, które już za dwa lata

To najlepsza praca na świecie – tak o stanowisku brytyjskiego premiera mówił Boris Johnson, gdy na początku lipca, nie bez widocznego żalu, zapowiadał swe odejście. Jego następczyni Liz Truss, do tej pory minister spraw zagranicznych, podziela pewnie jego zdanie, skoro ubiegała się o przywództwo w rządzącej Partii Konserwatywnej, a zatem także urząd premiera, w sytuacji niesłychanie trudnej. Tak trudnej, że nikt nie waży się prognozować,

jak sobie poradzi i jak długo będzie rządzić. Nawet bliscy jej ludzie obawiają się, że nie dotrwa do najbliższych wyborów, które odbędą się za dwa lata. Stanowisko premiera może nawet, zdaniem telewizji Sky News, okazać się dla niej politycznym pocałunkiem śmierci.

Problemem numer jeden jest właśnie niespotykane nagromadzenie problemów. Inflacja. Dramatyczny wzrost cen energii. Spadek poziomu życia, z jak najgorszymi perspektywami. Konieczność

wspomagania najbiedniejszych. Groźba masowych strajków. Spuścizna pandemii COVID-19. Potrzeba zreformowania NHS, publicznej służby zdrowia. Nielegalna imigracja. Zmiany obyczajowe. Klimat. Konserwatyści głęboko podzieleni. Separatyzm Szkotów, aspiracje Irlandczyków. Trudny dla Brytyjczyków protokół północnoirlandzki, pokłosie brexitu. Unia Europejska, Francja, USA, Chiny. Wreszcie prąźródło części problemów: wojna na Ukrainie i Rosja. Słowem – splot problemów wewnętrznych i uwarunkowań zewnętrznych.

Dla Brytyjczyków – poza Szkotami – i nie tylko dla nich uosobieniem skutecznego premiera jest oczywiście Margaret Thatcher, która gruntownie zreformowała i przebudowała gospodarkę, wcześniej niewydajną i niekonkurencyjną. Zadanie

było trudne, ale jasne. Rosja była przeciwnikiem (dziś już zresztą wiadomo, że wspierała finansowo część zbuntowanych brytyjskich związkowców), ale w wojnie zimnej, nie gorącej jak teraz. Kryzys naftowy świat miał za sobą. Na polu międzynarodowym zaś pani Thatcher rychło zyskała sojusznika i partnera w osobie Ronalda Reagana, prezydenta USA. Było trudno, łatwiej jednak niż dziś.

KOBIETA PO RAZ TRZECI

Liz Truss jest w o wiele gorszej sytuacji dlatego właśnie, że musi działać na wielu polach jednocześnie. Sympatyzujący z nią politycy i obserwatorzy dają jej mimo to duży kredyt zaufania. Dominującą cechą pani premier – podkreślają – jest bowiem ambicja połączona z determinacją. Jeśli Liz Truss zapowiada, że coś zrobi, to tak będzie. Teraz,

gdy objęła urząd premiera, obiecuje przede wszystkim opanowanie kryzysu energetycznego, walkę z inflacją i zadbanie o warunki życia.

Ona sama również uważa to za swój atut. „I will deliver, I will deliver, I will deliver” („Spełnię to, spełnię, spełnię”) – deklarowała w swym pierwszym wystąpieniu w poniedziałek 5 września, gdy ogłoszono wyniki rywalizacji o przywództwo w PK. Liz Truss poparło 57 proc. członków partii. Jej rywala, Rishiego Sunaka, ekskanclerza skarbu – 43 proc. Nie było to zaskoczenie, bo sondaże od początku dawały jej zwycięstwo. Wśród deputowanych partii przewagę miał jednak Sunak i jest to jeden z przejawów podziałów czy wręcz kryzysu w partii.

Liz Truss przejdzie do historii jako ostatni premier, któremu misję tworzenia rządu powierzyła Elżbieta II. Nastąpiło to dwa dni przed śmiercią królowej, na zamku Balmoral w Szkocji. Jest trzecią w Wielkiej Brytanii kobietą premierem (po Margaret Thatcher i Theresie May) i czwartym szefem rządu w ciągu ostatnich pięciu lat (po Davidzie Cameronie, Theresie May i Borisie Johnsonie). To, jak ktoś zauważył, dowodzi, że Wielka Brytania zaczyna doświadczać niestabilności politycznej à la Włochy, gdzie rządy i ich szefowie zmieniają się jak w kalejdoskopie. Jest w tym sporo przesady, bo brytyjski system polityczny jest bardzo odmienny od włoskiego, niemniej nad Liz Truss, podobnie jak nad jej poprzednikami, może zawiśnąć widmo buntu kolegów partyjnych, jedna z istotnych przyczyn uruchamiających zmiany na poziomie rządu. Bunt zaś niekoniecznie dyktują obawy o przyszłość kraju – raczej o przyszłość własną.

Nazbyt często jednak scena polityczna staje się ostatnio sceną politycznego show. Dobrze to ilustrują sprawa

ustąpienia Borisa Johnsona, przeciwko któremu zwróciła się połowa członków jego rządu, w tym paru bardzo bliskich mu ludzi, i późniejszy proces wyłaniania nowego lidera. Czegoś takiego dotąd nie było, choć sama procedura, podzielona na dwa etapy, jest precyzyjna i praktykowana od lat. W pierwszym etapie wszystko jest w rękach deputowanych PK w Izbie Gmin, którzy codziennie głosują, eliminując kolejnych kandydatów, do chwili, gdy na placu boju pozostaną dwie osoby. Spośród nich – to drugi etap – wyboru lidera dokonują wszyscy członkowie partii.

Gdzie tu show? Zmagania konserwatystów skutecznie zastąpiły potwora z Loch Ness w roli dyżurnego wakacyjnego tematu. Przez dwa miesiące opinia publiczna była karmiona szczegółowymi relacjami z ich przebiegu: kto z kim zawarł sojusz, jak to możliwe, że deputowani partyjnej prawicy nieoczekiwanie popierali kandydata lewego odłamu lub odwrotnie, z zasadniczym pytaniem w tle: Na co liczyli? Nie był to, delikatnie mówiąc, obraz budujący.

FAWORYTKA ZWYKŁYCH LUDZI

Nierozstrzygnięte pozostaje pytanie, co naprawdę przyniosło zwycięstwo pani Truss: czy jej plany, prezentowane podczas spotkań z członkami partii, czy może raczej to, że jej rywal nie cieszy się sympatią szeregowych członków partii (deputowani to co innego, tam był pierwszy). Rishi Sunak, Hindus z pochodzenia, urodził się w Wielkiej Brytanii, jest synem lekarza, ukończył Winchester, ekskluzywną public school dla chłopców i studia na renomowanych uczelniach. To droga typowa dla większości brytyjskich polityków – absolwentami Eton są choćby David Cameron i Boris Johnson – Sunak jednak

ma nieszczęście być prawdziwym bogaczem, pierwszym politykiem, który z majątkiem w wysokości ponad 700 mln funtów trafił na listę najbogatszych, w dodatku żonatym z córką hinduskiego miliardera. Taki człowiek, zdaniem wielu, nie może mieć pojęcia, czym żyją zwykli ludzie.

Liz Truss, pochodząca ze zwykłej inteligentkiej rodziny, absolwentka uniwersytetu w Oksfordzie, ale jako dziecko posłana do zwykłej szkoły państwowej, z pewnością wie o tym więcej. Być może dlatego trzon jej propozycji ekonomicznych – nieostatecznych jeszcze, jak przyznaje – stanowi plan obniżenia podatków, w połączeniu z już ogłoszonym zamrożeniem na dwa lata opłat za energię dla gospodarstw domowych na poziomie 2,5 tys. funtów rocznie. Każde gospodarstwo skorzysta też z ulgi w wysokości 400 funtów plus odliczenia opłat ekologicz-

nych na sumę 150 funtów. To duże obciążenie dla państwa, bo koszty szacuje się na 150 mld funtów, ale zarazem znacząca pomoc dla ludzi. Planowane jest także dodatkowe wsparcie dla najbiedniejszych. Jak państwo to sfinansuje? Przez zaciąganie pożyczek. Rishi Sunak natomiast jest przeciwny zadłużaniu państwa, dlatego za konieczne uważa podniesienie podatków.

Zacytujmy słowa, które padły z ust pani premier, gdy przed siedzibą premiera przy Downing Street 10 wygłosiła swą pierwszą deklarację programową. „Uczynię z Wielkiej Brytanii – mówiła – kraj z ambicjami, kraj, gdzie praca będzie dobrze opłacana, a ulice bezpieczne i gdzie każdy mieć będzie szansę, na jakie zasługuje”. Cel ogólny przekłada się na trzy konkretne priorytetowe zadania: zapewnienie ludziom pracy („get Britain working again”,

REKLAMA

NOWA EDYCJA EPICKIEJ SAGI ELŻBIETY GIZELI ERBAN



■ w tej formie widać inspirację Trumpowską), opanowanie kryzysu energetycznego wywołanego przez wojnę Putina oraz dostęp do opieki zdrowotnej.

Kryzys energetyczny powinno również złagodzić planowane zwiększenie wydobywania ropy na Morzu Północnym i już ogłoszone zniesienie zakazu wydobycia gazu łupkowego. To oczywiście oburzy Zielonych. Z wystąpienia pani premier nie wynika jednak, by była skłonna ulegać ortodoksji klimatycznej. Nie tylko planuje zniesienie rozmaitych ekologicznych opłat, lecz także na swego głównego doradcę do spraw gospodarczych powołała Matthew Sinclaira, który uchodzi za ekosceptyka. Zamierza po za tym podnieść

zaś w londyńskiej dzielnicy Greenwich, gdzie Truss była radną, zanim w 2010 r. zdobyła mandat w Izbie Gmin. Dwa lata później w rządzie Camerona została wiceministrem edukacji, a za rządów Theresy May weszła do ścisłego gabinetu jako minister sprawiedliwości.

Gdyby w życiorysie Liz Truss szukać wątku łączącego rozmaite wydarzenia, powinien nim być paradoks i zaskakujące zwroty. Pierwszy to odejście od idei, w jakich została wychowana. Jej mocno lewicowi rodzice (ojciec podobno do dziś nie pogodził się z przynależnością córki do Partii Konserwatywnej) zabierali nawet małą Liz na protesty przeciwko rozmieszczeniu głowic jądrowych

Dodajmy na koniec, że choć Truss, jak wielu jej partyjnych kolegów, głosowała za wprowadzeniem homomażeństw (konserwyzm w PK nie jest najwyższej próby), dziś jest nadzieją tych, którzy chcieliby powstrzymać szaleństwa cancel culture. Dystansuje się bowiem od szokujących pomysłów, zwłaszcza z dziedziny trans, podkreślając m.in., że płeć ma wymiar biologiczny. Sprzeciwia się również semantycznym potworkom, takim jak „ludzie z macicą” – bo, podobnie jak J.K. Rowling, mówi, że są to po prostu kobiety. Nie przypadkiem już jej wytknięto, że w rządzie nie ma ani jednego geja. Braku różnorodności jednak nie można pani Truss zarzucić, bo w gabinecie są i kobiety, i ludzie o innym pochodzeniu etnicznym.

dynek przy Downing Street 11 (a tak się składa, że Kwarteng jest też sąsiadem pani Truss w Greenwich).

W rządzie jest wiele nowych twarzy i trochę dawnych – przejaw ciągłości i zarazem podkreślenie dominacji pani premier. Ministrem spraw zagranicznych został James Cleverly, jej dotychczasowy zastępca w Foreign Office. To jasny sygnał, że polityka w sprawie wojny ukraińskiej się nie zmieni, co zresztą potwierdza też pozostanie Bena Wallace’a w roli ministra obrony. Thérèse Coffey, najbliższa chyba pani premier, została wicepremierem i ministrem zdrowia. Jacob Rees-Mogg, jeden z nielicznych w partii konserwatystów z prawdziwego zdarzenia, otrzymał resort biznesu, Suella Braverman – spraw wewnętrznych, Kemi Badenoch – handlu międzynarodowego, Penny Mordaunt – kontaktów z Izbą Gmin. Trzy ostatnie panie starały się o funkcję lidera, a gdy odpadły, poparły Liz Truss.

Gdy stało się jasne, że Truss może być pewna zwycięstwa, zaczęto snuć rozważania, czy zaprosi do rządu swych przeciwników. Byłoby to pożądane dla dobra partii, bo ułatwiłoby zabliznienie ran po kampanii. Rishi Sunak wprowadził już dawno temu mówił, że do rządu swej rywalki na pewno nie wejdzie, traktowano to jednak jako niewiążącą, trochę kokieteryjną deklarację. Dziś można sądzić, że pani premier w ogóle nie brała tego pod uwagę. Rządowe stanowiska powierzyła wyłącznie swym zwolennikom, współpracownikom i tym konkurentom, którzy, odpadłszy z wyścigu wyborczego, udzielili jej poparcia. Nic dziwnego, że rząd już nazwano „gabinetem lojalistów”. W brytyjskiej kulturze politycznej to rzadkość i nie wiadomo, jakie przyniesie skutki.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Truss powierzyła rządowe stanowiska wyłącznie swoim zwolennikom. W brytyjskiej kulturze politycznej to rzadkość

wydatki na obronę do poziomu 3 proc. PKB, znacznie powyżej NATO-wskiego progu 2 proc., wyklucza natomiast powrót do tematu niepodległości Szkocji („Jesteśmy rodziną, a nigdy nie pozwolę na to, by rodzina się rozpadła” – mówiła podczas kampanii).

WOLTY I PARADOKSY

Liz Truss ma 47 lat, urodziła się w 1975 r. w Oksfordzie, dorastała zaś w Paisley koło Glasgow i w Leeds. Jej ojciec wykładał czystą matematykę na różnych uczelniach, matka jest pielęgniarką. Studia skończyła w Oksfordzie i tam właśnie zaczęła stawiać pierwsze kroki w polityce. Pracowała później jako księgowa, m.in. w koncernie Shell, a jej mąż Hugh O’Leary jest dyrektorem finansowym w firmie zajmującej się nieruchomościami. Mają dwie córki, mieszkają

w Wielkiej Brytanii. Drugi – to zmiana barw partyjnych, bo na studiach Liz związała się z Liberalnymi Demokratami (przyciągnęły ją, jak mówi, ich zdecydowanie wolnorynkowe idee), a później zwróciła się ku konserwatystom.

Trzecia wolta to brexit. W referendum z 2016 r. Liz Truss była za pozostaniem w Unii Europejskiej, czego zresztą konkurenci w kampanii nie omieszkali jej wytknąć. Wybrnęła z tego zręcznie, przyznając, że myliła się w ocenie. Sądziła, że wyjście z Unii będzie ze szkodą dla kraju, skoro jednak pobrexitowa rzeczywistość tych obaw nie potwierdziła, to dzisiaj nie tylko pochwała brexit, lecz także uważa, że konieczne jest odejście od protokołu północnoirlandzkiego, zagrażającego jednoci Zjednoczonego Królestwa.

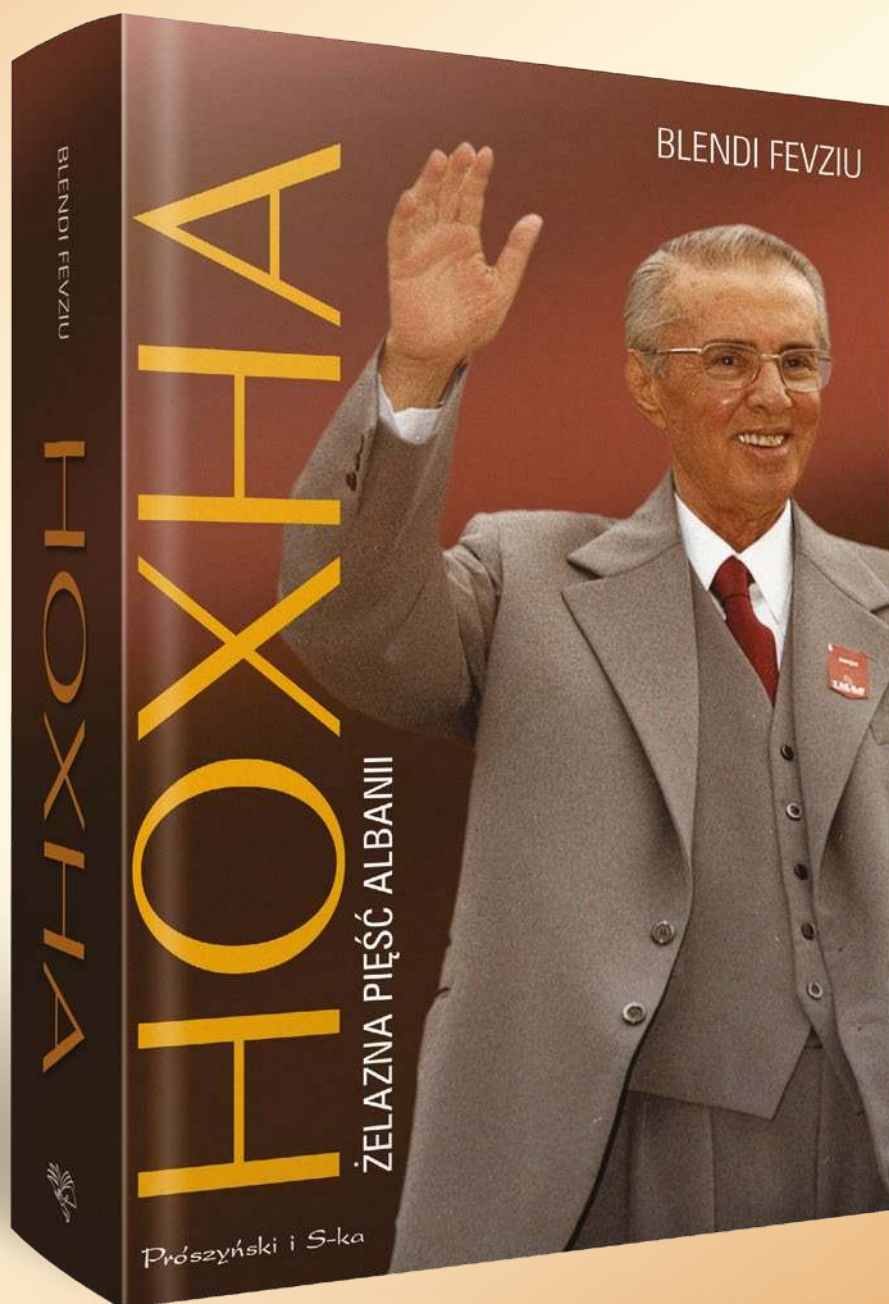
ZWYCIĘZCA BIERZE WSZYSTKO

– Zmiany będą oczywiście konieczne, ale jedna osoba na pewno przy Downing Street zostanie: Larry – tak Truss uspokajała tych, którzy mogli się niepokoić przyszlnością kota, mieszkająca siedziby premiera od 11 lat. Larry, który ma status zgoła ministerialny – z oficjalnym tytułem Chief Mouser to the Cabinet Office, głównego myszolatę urzędu premiera – jest świadom swej wysokiej pozycji. „Premierzy przychodzą i odchodzą, a ja jestem tu na stałe” – taką refleksję ulubieniec Brytyjczyków dzielił się na Twitterze, gdzie wypowiada się na tematy publiczne.

Liz Truss, czwarty lokator u Larry’ego, podczas kampanii podkreślała swą z nim przyjaźń, dodając, że jest jednym z ulubionych ministrów kota. Można więc założyć, że mieszkanie pod jednym dachem ułoży się harmonijnie. Nie inaczej powinno być z nowym kanclerzem skarbu Kwasi Kwartengiem. Kanclerz zawsze zajmuje sąsiedni bu-

KULT JEDNOSTKI, TOTALNY TERROR I CIĄGŁA INWIGILACJA.

PIERWSZA BIOGRAFIA DYKTATORA



Prószyński i S-ka

inverso.pl
KSIĘGARNIA INTERNETOWA

eprasa.pl ad6fdee2f1

Najpierw postawmy na Polaków



Łukasz Warzecha

Nie bardzo rozumiem, dlaczego rozwiązaniem naszych problemów ma być wpuszczanie do Polski na masową skalę migracji, choćby dobrze wyselekcjonowanej, a nie postawienie postulatu, aby wreszcie polskie państwo zaczęło być miejscem, gdzie Polacy chcą zakładać rodziny, mieć więcej dzieci i gdzie zamierzają pozostać

Pracowałem kiedyś, w nieistniejącym już „Życiu”, z fenomenalnym człowiekiem. Na imię miał Arezki i był algierskim Berberem. Właśnie tak: Berberem, a nie Algierczykiem, co sam bardzo mocno podkreślał, wyjaśniając, że dumni Berberowie są na punkcie swojej odrębnej tożsamości mocno uczuleni. Arezki mieszkał wtedy w Polsce już od dawna, bo przyjechał na studia jeszcze w czasach PRL. Mówił znakomicie po polsku, choć z wyczuwalnym obcym zaśpiewem. Mówił też oczywiście po francusku i angielsku. Polskim posługiwał się tak dobrze, że bez problemu redagował prasowe teksty, a zdarzało się, że poprawiał polskich dziennikarzy.

Razu pewnego siedzieliśmy na wieczornym dyżurze redakcyjnym, w tle zaś włączony był telewizor z wyciszonym dźwiękiem. W pewnym momencie na ekranie pojawiły się pierwsze sceny dobrze mi

znanego filmu. Postanowiłem Arezkiego przetestować i zapytałem, czy wie, jaki to film. Arezki rzucił tylko okiem na ekran i odparł: „No jak to? »Wesele« Wajdy”.

Kiedy myślę o tym, jakiej integracji imigrantów bym sobie w Polsce życzył, mój dawny kolega zawsze przychodzi mi do głowy jako wzór. Gorzka ironia w tym, że Rzeczpospolita potraktowała go najgłupiej, jak się da. Gdy Arezki wraz ze swoją małżonką – zresztą Ukrainką – zaaplikował o stały pobyt w Polsce, dostał odmowę. Bo tak. A że nie chciało mu się już odwoływać – wcale się nie dziwię – wziął połowicę i wyemigrował do Kanady, gdzie, mam nadzieję, żyje sobie szczęśliwie do dziś. Polska straciła w ten sposób potencjalnego obywatela, który pracowałby na jej PKB, odprowadzał podatki i był lojalny, a który zarazem sam wykonał już całą pracę integracyjną i był w duchu bardziej Polakiem niż wielu formalnie polskich obywateli. Szkoda.

Natychmiast też pomyślałem o Arezkim, gdy przeczytałem tekst mojego redakcyjnego kolegi Rafała A. Ziemkiewicza „Polska nie tylko dla Polaków” („Do Rzeczy” nr 37/2022). Rafał stawia w tekście kilka mocno dyskusyjnych tez, niektórych zaś spraw upiera się nie dostrzegać. Generalnie zgadzamy się z pewnością co do tego, że kontrolowana i odpowiednio dobrana imigracja w pewnym rozmiarze nie jest zła. Na tym jednak pole zgody się kończy.

NIC SIĘ JUŻ NIE DA ZROBIĆ?

Pierwsza teza, z którą nie sposób się zgodzić, to swoisty heglizm spojrzenia Rafała A. Ziemkiewicza, który doskonale znam z innych dyskusji, także tych dotyczących polskiej historii (w nich Rafał to podejście akurat zwalcza): klamka zapadła, alea iacta est, nic się już nie da zrobić, możemy już tylko ograniczać straty. W tym tonie pisze Ziemkiewicz o rzekomym zamienieniu się Polski w państwo wieloetniczne. Tymczasem to po prostu nieprawda – Polska wciąż jest względnie jednolita etnicznie, a już zwłaszcza na tle Europy Zachodniej, co pokazuje oficjalna statystyka. Dane z 2021 r. mówią o tym, że ważne dokumenty pobytowe w Polsce (a więc mówimy nie o mniejszościach etnicznych, które są w ogóle pomijalne, ale właśnie imigrantach) miało raptem niespełna pół miliona osób, z czego najwięcej było Ukraińców – prawie 250 tys., a przedstawiciele innych narodowości już tylko po maksymalnie 30 lub nawet tylko kilka tysięcy. Wietnamczyków np. ok. 11 tys., a Hindusów niecałe 10 tys.

Wiadomo oczywiście, że z powodu słabego systemu kontroli nad imigracją te liczby nawet w tamtym momencie musiały być zaniżone. Nawet jednak gdyby przemnożyć je przez dwa czy trzy, wciąż bardzo daleko do stwierdzenia, że Polska jest „wieloetniczna”. Tak może się wydawać mieszkańcom dużego miasta, i to raczej tylko w centrum, ale już w mniejszych miejscowościach wrażenie jest inne. Dla porównania – cenzus z 2018 r. obliczał odsetek imigrantów we Francji na 14 proc. W Niemczech w 2019 r. odsetek imigrantów w pierwszym pokoleniu wynosił aż 17 proc. W polskich warunkach oznaczałoby to odpowiednio grubo ponad 5 mln ludzi w odniesieniu do Francji oraz prawie 6,5 mln w odniesieniu do Niemiec. Daleko nam do takich poziomów, nawet biorąc pod uwagę uchodźców z Ukrainy.

Miejmy też świadomość, jaka była natura potężnej – na pewno większej, niż



podawało MSWiA – imigracji ukraińskiej przed wojną. To nie byli ludzie, którzy w większości zamierzali tu zostać, mieszkać, integrować się. Przyjeżdżali, pracowali, zarabiali, wracali do siebie. Podobna zresztą była natura innych, znacznie mniejszych zastrzyków imigracyjnych. W dużych polskich miastach kierowcy Ubera czy Bolta to w dużej części chwilowi imigranci z rejonów co najmniej tak odległych jak Gruzja, a często dalszych, którzy – co dla naszego tematu bardzo ważne – na ogół nie potrafią się po polsku nawet przywitać z pasażerem, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanych dialogach. Nie ma tu żadnej chęci ani woli integracji.

Owszem, Polska może się stać krajem wieloetnicznym, jeśli nie ustalimy rozsądnej strategii imigracyjnej – a to i tak dopiero w perspektywie może dekadę. Na razie nim na pewno nie jest i wszystkie decyzje oraz możliwości są jeszcze przed nami. Nic nie zostało przesądzone.

JAK DŁUGO JESZCZE?

Tu dochodzimy do drugiej kwestii, którą Rafał A. Ziemkiewicz właściwie całkowicie pomija: spraw związanych z integracją, tożsamością i wynikającymi z tego napięciami. Wszystko to pojawia się w przyspieszonym tempie z powodu masowej obecności ukraińskich uchodźców, aczkolwiek jest szczęśliwie łagodzone dzięki bliskości kulturowej obu naszych narodów. Mimo to właśnie ta obecność – co do której rząd nadal nie zajął publicznie otwartego stanowiska, czy ma być permanentna ani jak długo nasi goście mają korzystać z polskich korzyści socjalnych – najszybciej stworzy problemy, które w państwie jednolitym narodowościowo nie istnieją, a które nieuchronnie pojawiłyby się także wraz z imigracją z innych kierunków.

Niedawno usłyszałem historię o tym, jak w regionie na wschodzie Polski wygłąda wybieranie członków rady powiatu. Mój rozmówca wyjaśnił, że wszyscy – i kandydaci, i wyborcy – mają oczywiście polskie obywatelstwo, ale barwy partyjne i tak nie grają roli, ponieważ osoby o ukraińskich korzeniach wybierają takich przedstawicieli do wspomnianego organu, który w związku z tym jest obsadzony Ukraińcami z pochodzenia. Trudno sobie wyobrazić, żeby tego typu problemy nie stały się wkrótce powszechne, bo jasne jest, że jeżeli Ukraińcy w dużej liczbie będą chcieli w Polsce pozostać, to zaczną mieć także oczekiwania dotyczące wpływu na sprawy publiczne. Trzeba by być bardzo naiwnym,

żeby sądzić, że nie będzie to rodzić napięć. Szczególnie że Polska ma sięgającą już blisko 80 lat tradycję jednolitości etnicznej, mówimy zatem o burzeniu dobrze ugruntowanego ładu.

Rafał A. Ziemkiewicz dostrzega w dobru dobranej imigracji jedynie korzyści ekonomiczne – i one z pewnością by były. Jednak wszędzie, gdzie imigrację na większą skalę dopuszczano, pojawiały się problemy z integracją. To, że ktoś przyjechałby do Polski pracować, a nie trwać na socjalu, nie oznacza automatycznie, że bezproblemowo przyjąłby obowiązujące u nas zasady. Za imigracją, także tą autentycznie zainteresowaną pracą, podąża także często specyficzna dla danego regionu przestępczość. Doświadcza tego właśnie na potężną skalę Szwecja, gdzie tematem dopiero co przeprowadzonych wyborów była szalejąca przestępczość gangów – m.in. albańskich, które prześladowały własnych współobywateli mieszkających w tym kraju.

Owszem, zdarzają się mniejszości mało kłopotliwe. Na przykład względnie niewiele problemów wywołują Wietnamczycy, rzeczywiście ciężko pracujący. W mojej okolicy mieszkają przedstawiciele tej nacji, których dzieci tu się urodziły, tu chodzą do szkoły, a po polsku mówią bez śladu obcego akcentu. Zapewne lepiej niż po wietnamsku. Ale to, po pierwsze, niewielka mniejszość, a skala problemu jest w przypadku imigracji dość ściśle powiązana z jej rozmiarami, a po drugie nawet i tu nie wszystko jest takie, jak się wydaje.

Znajomy, mieszkający pod miastem we własnym domu, ma sąsiada Wietnamczyka. Sąsiad przyszedł do niego kiedyś, zapowiedział, że odbędzie się u niego tradycyjna impreza urodzinowa z wieloma gośćmi, i bardzo grzecznie przeprosił za spodziewane zamieszanie. Impreza zgromadziła faktycznie kilkadziesiąt osób, które bawiły się bez ekscesów, ale tylko do 22. O tej godzinie wszyscy jak na komendę wsiedli do samochodów i odjechali. Mój znajomy nieco zdziwiony zapytał sąsiada, dlaczego zabawa nie trwała dłużej – nikt by przecież nie miał pretensji. Sąsiad się uśmiechnął i rzekł: „Wie pan, niekoniecznie wszyscy są tutaj całkowicie legalnie. Jakby ktoś jednak zadzwonił na policję, to mielibyśmy problem”.

TO NIEDOBRY MOMENT

Jest wreszcie pytanie zasadnicze: Czy faktycznie, jak twierdzi Ziemkiewicz,

imigranci są nam niezbędni, żeby podtrzymać polską gospodarkę? W krótkim okresie można by zakładać, że tak, ponieważ demografii, która jest naszym gigantycznym problemem, nie da się poprawić w ciągu roku czy dwóch lat. A od niej zależy przede wszystkim poziom obciążeń podatkowych kolejnych pracujących pokoleń: im niższa zastępowalność, tym bardziej trzeba będzie obciążać pracujących, a więc tym większa będzie ich motywacja, żeby z Polski uciekać. Tylko że czas dobrej koniunktury właśnie się kończy. W tej chwili bezrobocie jest wciąż na niskim poziomie, ale wskutek recesji nieuchronnie będzie rosło. To z pewnością nie jest dobry moment na otwieranie jeszcze szerzej drzwi dla imigracji, zanim nie zobaczymy, w jakim stanie wyjdziemy z kryzysu.

Czy jednak w ogóle ta strategia jest odpowiednia? Przecież jesteśmy w stanie zidentyfikować powody, dla których Polacy nie chcą mieć większej liczby dzieci, dla których emigrują lub emigrację rozważają. Nie bardzo rozumiem, dlaczego zdaniem mojego kolegi rozwiązaniem tych problemów ma być wpuszczanie do Polski na masową skalę imigracji, choćby dobrze wyselekcjonowanej, a nie postawienie postulatu, aby wreszcie polskie państwo zaczęło być miejscem, gdzie Polacy chcą zakładać rodziny, mieć więcej dzieci i gdzie zamierzają pozostać. Jeśli Rafał A. Ziemkiewicz pisze, że trzeba przywrócić ustawę Wilczka, choćby symbolicznie, to w pełni się zgadzam – ale nie po to, żeby imigrantom było łatwiej, lecz po to, żeby łatwiej było przedsiębiorczym Polakom.

Nie będę tu przedstawiał listy możliwych rozwiązań, bo o wielu z nich piszemy niemal w każdym numerze „Do Rzeczy”. Jednak kapitulacja w tej sferze i pójście drogą na skróty poprzez szukanie ochotników do podpierania polskiej demografii gdzieś na Wschodzie, w tym Dalekim Wschodzie, wydaje się drogą całkowicie błędną. Tak kiedyś myśleli Niemcy, sprowadzając do siebie pierwszą falę imigracji z Turcji. Dzisiaj, choć na tle innych ta grupa, zwłaszcza w pierwszym imigracyjnym pokoleniu, wydaje się relatywnie mało kłopotliwa, też jednak nie jest bezproblemowa. Nie idźmy tą drogą. Nie każdy będzie jak mój kolega Arezki.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Węgry pierwsze. A Polska? Cóż...

Naprawdę nie wiem, jak to się stało, że perspektywy polskiej gospodarki są dziś oceniane jako najgorsze wśród wszystkich państw monitorowanych na całym świecie przez S&P Global – w tym sensie, że to właśnie polscy przedsiębiorcy okazują się dziś największymi pesymistami na całej (w części monitorowanej przez S&P Global) kuli ziemskiej? Co sprawiło, że polski współczynnik PMI (Purchasing Managers' Index – indeks zakupowy menedżerów) spadł u nas w sierpniu do historycznie najniższego poziomu zaledwie 40,9 pkt?

Jak mogło do tego dojść? Jak to było możliwe, skoro to przecież właśnie rząd Polski (a nie żaden inny) prowadzi najodpowiedzialniejszą z najodpowiedzialniejszych politykę – zarówno wewnętrzną, w tym gospodarczą, jak i zewnętrzną. Zapewnia Polakom dostęp do bezpiecznych i zdywersyfikowanych źródeł energii, w tym węgla i gazu, w potrzebnych im ilościach i po niewygórowanych cenach. Nieprzerwanie dba o dobrostan sworzni każdego państwa, czyli przedsiębiorców; strzeże jasności i przewidywalności przepisów – szczególnie podatkowych, nigdy nie dokonując żadnych zaskakujących zmian, tym bardziej chaotycznych, zwłaszcza w ciągu roku podatkowego; nigdy nie dobija przedsiębiorców morderczymi stawkami minimalnego wynagrodzenia, w żadnym razie nie nakłada na nich jakichkolwiek innych wygórowanych obciążeń ani w ogóle w żaden sposób im nie szkodzi.

Z kolei polski bank centralny – NBP, wraz ze swą znakomitą Radą Polityki Pieniężnej – od zawsze prowadzi najlepszą z możliwych polityk monetarnych i gdy tylko pojawiły się pierwsze symptomy narastającej presji wzrostu cen (jak wiadomo, nakręcanej głównie przez Putina, a po części przez idiotyczną politykę klimatyczno-energetyczną Unii Europejskiej), natychmiast zaczął – i to w jak najbardziej odpowiednim tempie – podnosić stopy procentowe, nie pozwalając przekroczyć inflacji poziomu 15... to znaczy, przepraszam... 20 proc.

W tym kontekście – w kontekście tak wybornie prowadzonych przez władze Polski spraw polskich – ów kolosalny – największy na świecie – wzrost pesymizmu wśród polskich przedsiębiorców jest tym bardziej niezrozumiały, całkowicie nie do wytłumaczenia, gdy zważyć, że w tym samym czasie z kolei przedsiębiorcy węgierscy – ze swym optymizmem – wysforowali się na pierwsze (!) miejsce na świecie. Jak to bowiem możliwe, że w sytuacji, gdy rząd Węgier radzi sobie z obecną sytuacją tak dużo gorzej od rządu Polski, a w dodatku węgierski bank centralny jak opętany podnosi stopy procentowe, które już – przy inflacji 11,7 proc. – wywindowano do poziomu 10,75 proc. (gdy nasze przy inflacji 16,1 proc. – do poziomu zaledwie 6,75 proc.), węgierskie PMI – najwyższe na świecie – wynosi dziś 57,8 pkt, a polskie – przypominajmy – 40,9 pkt? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Skleroza UE

Co jest podstawowym elementem jednego z głównych wątków wielkiej przemiany klimatyczno-energetycznej w UE, czyli zabicia spalinowej motoryzacji? Akumulatory do autek na baterię. A co jest potrzebne do ich wytwarzania? Kilka tzw. metali ziem rzadkich: lit, kobalt, grafit między innymi. Gdzie znajdują się złoża tych metali? Głównie w mało stabilnych państwach Afryki (60 proc. kobaltu pochodzi z Konga), w Chinach (70 proc. grafitu pochodzi z tego kraju) czy w Rosji. W Europie tych substancji brak.

UE powinna już kilka miesięcy temu uwolnić prąd z antyrynkowego gorsetu uprawnień do emisji CO₂

Jeśli już natomiast się te metale wydobydzie, to później trzeba czymś autka na prąd naładować. Patrząc na obecną sytuację energetyczną Europy, coraz trudniej sobie wyobrazić, żeby był to proces bezproblemowy. Gdy zaś idzie o plan strategiczny, ulokowanie surowców kluczowych dla rozwoju elektromobilności w niezachodniej sferze wpływów jest wyjątkowo niekorzystne, wzięwszy pod uwagę, że w planach jest całkowite przejście na elektryki.

Całkiem inaczej przedstawia się sytuacja z ropą naftową. Owszem, odciecie rosyjskich źródeł jest bolesne, a OPEC Plus to także nie Zachód, ale tu rozłożenie źródeł jest znacznie szersze. Są złoża europejskie, przede wszystkim na Morzu Północnym, oraz oczywiście amerykańskie. Logiczne zatem wydawałoby się, żeby z tych przyczyn przestać się obsesyjnie trzymać idei zerwania z silnikiem spalinowym. Ale nie, Unia trwa przy swoim chorym pomysle, nie zauważając, że sytuacja na świecie mocno się w tym roku zmieniła.

To oczywiście tylko wycinek szerszego problemu. UE powinna już kilka miesięcy temu, wobec nieuchronnego kryzysu energetycznego, uwolnić prąd z antyrynkowego gorsetu uprawnień do emisji CO₂. Taka była polska propozycja – co prawda, też tylko częściowo trafna, bo zakładająca jedynie zawieszenie systemu ETS, ale realistyczna. Rzecz jasna, została odrzucona, bo klimat.

Ta sklerotyczna sztywność unijnego kierownictwa wobec dość radykalnej zmiany okoliczności strategicznych na świecie pokazuje, że UE w swojej obecnej wersji nie ma wiele do zaproponowania poza wyniszczającą gospodarkę ideologią – na której ktoś się oczywiście dorobi, ale na pewno nie będzie to Polska. I jest to niestety kolejny przyczynek do dyskusji, czy nadal warto w tym układzie trwać. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl ad6fdee2f1

Elżbieta II jest osobą powściągliwą, nieśmiałą, skrytą – nie lubi pokazywać się publicznie. Ale w kraju rządzonym przez media, gdziekolwiek by się znalazła, przyciąga światła kamer i mikrofony” – pisze w książce „Elżbieta II. Ostatnia królowa” badacz Windsorów Marc Roche.

Elżbieta wstąpiła na tron w roku 1952, w czasach, kiedy niewiele kobiet miało dostęp do wysokich stanowisk. Telewizja jako medium powszechnie dostępna była w stadium raczkowania, ale już wtedy wizerunek bardzo się liczył. Kolorowe magazyny „Life”, „Paris Match” w kilkuset tysięcy nakładach (nakład „News of The World” wynosił w latach 60. półtora miliona) publikowały zdjęcia rodziny królewskiej na okładkach, w środku zamieszczano kilkunastoniowe fotoreportaże. Swoim stylem Elżbieta wytyczała drogę standardom publicznego wizerunku eleganckiej kobiety na wysokiej pozycji w świecie zachodnim. Angielscy krytycy podkreślają, że Margaret Thatcher przyjęła niektóre elementy stroju monarchini: pudełkowe żakiety, jedwabne bluzki, torebkę z rączką...

Styl tamtych lat oglądany z dzisiejszej perspektywy wydaje się pozbawiony ostrości. Pasujące do siebie kolory, długość za kolana, wypracowane fryzury, podkreślona, szczupła talia. Nuda. Rewolucje studenckie nie zdążyły jeszcze zdekomponować zasad garderoby. „Dobrze przemyślany, czysty, bardzo w duchu epoki” – powiedział o stylu królowej dziennikowi „Washington Post” Philip Mansel z Historycznego Instytutu Badawczego w Londynie, także autor książki „Dressed to rule” („Ubrać się do władzy”).

We wczesnych latach młodości Elżbieta ubierała się odważnie. W dzień nosiła dopasowane, lekkie marszczone i kłoszone suknie, wieczorem błyszczące materiały i fasony podkreślające szczupłą talię. Na szyi biżuteria, w uszach kolczyki, czerwona szminka. Wraz z latami styl nabierał powagi. Zmiana dokonywała się w miarę, jak zmieniała się sylwetka właścicielki i jak przyspieszały wymagania zmieniającej się medialności.

„Bardzo szanuję królową, ale zastanawiałam się, dlaczego zawsze nosi to samo – pudełkowe żakiety, plisowane spódnice – powiedziała dziennikowi „Daily Mail” kostiumografka Michele Clapton, autorka kostiumów do „Gry o tron”. – Ale zrozumiałam, że w tych ubraniach najwygodniej jest jej wykonywać swoją pracę”.

Królowa przywiązywała dużą wagę do czegoś, co można by nazwać „dyplomacją mody”. Zdjęcie z wizyty w Pakistanie, 11 lutego 1961 r. Białe-zielone tren sukni nawiązywał do kolorów pakistańskiej flagi

FOT. FOX PHOTOS/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES



(Nie)wszystkie szaty królowej



Joanna Bojańczyk

Być ponad modą to świadomy wybór. Wybór spójny z wartościami klasy, do której należała monarchini. Deklaracja obojętności wobec zmian, dążenie do ciągłości

To był świadomy wybór. Wybór ubrań spójnych z wartościami klasy, do której należała monarchini. Jej wybory deklarowały sprzeciw wobec zmiany w modzie, dążenie do ciągłości. Także ciągłości w sprawowaniu władzy.

Tym wymaganiom podporządkowały się kobiety z otoczenia: Kate Middleton, Meghan Markle, Camilla Parker Bowles – one też wybierały mało ekstrawaganckie i raczej konserwatywne ubrania. Jednak przy całej obojętności dla efektywnych ciuchów królowa, wierna tradycji zapoczątkowanej przez królową matkę, bardzo dbała o formalne stroje na ważnych uroczystościach. W roku 2002 na wyścigach Royal Ascot skarciła kamerzystę BBC za brak cylindra i zakietu.

Ta, która próbowała złamać kody, była Diana, już po ślubie z księciem Karolem. Jej styl odbiegał od dworskiej rutyny. Dwurzędowe wojskowe żakiety, sukienki z obniżoną talią... Tego na dworze raczej się nie nosiło.

SZCZEGÓŁ OKOLICZNOŚCIOWY

Królowa przywiązywała dużą wagę do czegoś, co można by nazwać „dyplomacją mody”. Zawsze dokładała starań, żeby w jej ubraniu znalazł się choć niewielki szczegół związany z okazją. Na spotkaniu z prezydentem Ronaldem Reaganem w roku 1983 jej suknia była we wzór kalifornijskich czerwonych maków, w Pakistanie w roku 1961 biało-zielony tren sukni nawiązywał do kolorów pakistańskiej flagi. Wrzos i oset były ukłonem w stronę Szkocji, którą królowa odwiedzała w roku 1999. Na kolacji w Kanadzie w roku 2010 nosiła suknię z białej koronki, ozdobioną na ramionach kryształkami Swarovskiego w kształcie listków klonu. Gdy w roku 2011 z zamiarem ocieplenia relacji między dwoma krajami odwiedziła Irlandię, była ubrana w ciemnozieloną suknię z wełny; wieczorem w suknię wieczorową z naszytymi dwoma tysiącami jedwabnych listków koniczyny.

Serial „The Crown” obejrzały na świecie ponad 73 mln abonentów Netflix. Wiele strojów tej świetnej, choć niekoniernie prawdziwej opowieści było wiernymi kopiami ubrań rodziny królewskiej z tamtych lat. Żadnej namiastki, żadnego oszustwa. Z jednym wyjątkiem – sukni ślubnej. Serialową scenę ślubu Elżbiety z Filipem, diukiem Edynburga, trudno zapomnieć. W filmie nad suknią przez tydzień pracował sześcioosobowy

zespół hafciarzy. Kosztowała 30 tys. funtów.

O ironio – wielokrotnie więcej niż oryginał z roku 1947, którego koszt pokryto w części powojennymi kartkami na ubrania, przysługującymi także rodzinie królewskiej... Oryginał sukni zaprojektował królewski krawiec sir Norman Hartnell. Można go było w roku 2016 oglądać na wystawie urządzonej w pałacu Buckingham z okazji 90. urodzin Elżbiety II. Wykonana z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, ozdobiona była 10 tys. drobnych perełek i pięciometrowym trenem inspirowanym obrazem Botticellego.

SZYFR TOREBK

„Jej Wysokość mówiła, że bez torebki czuje się nieubrana” – powiedział BBC Sam Launer, twórca torebki, która sławą dorównywała właścicielce. A historia była taka: Launer miał stoisko galanterii skórzaną w Harrodsie, gdzie czasami wstępowała królowa matka. I tam kupiła torebkę. Pan Launer postanowił skorzystać z okazji i złożyć prośbę o Royal Warrant, rodzaj królewskiego znaku jakości, dokumentu istniejącego od XV w., poświadczającego, że otrzymujący go podmiot gospodarczy dostarcza dobra bądź świadczy usługi dla dworu. W roku 1968 Royal Warrant został mu przyznany. Nie trzeba tłumaczyć, że jest to reklama najlepsza z możliwych. Gdy firma pana Launera popadła w kłopoty finansowe, zainwestował w nią Gerald Bodmer. Do dziś jest jej prezesem. Na platynowy jubileusz królowej marka Launer London wypuściła jubileuszowy egzemplarz.

Torebka Jej Wysokości jest skórzana, niewielka, bez przegródek. Podobno najważniejszą rzeczą, którą królowa trzyma w środku, jest haczyk, który zaczepia się na krawędzi stołu i wieszka na nim torebkę. Bo położenie jej na ziemi przynosi pecha... Znajdują się tam również małe maskotki w kształcie ulubionych zwierząt Jej Wysokości – koni i psów. Dostała je od dzieci. Parę miętówek dla siebie oraz czekoladowych dropsów dla psów corgi. Kilka wyciętych z gazet krzyżówek, gdyby zdarzyła się chwila wolnego czasu. Puderniczka, ślubny podarunek od męża księcia Filipa. Jej wysokość od lat nie rozstała się z tą czułą pamiątką. Mały aparacik fotograficzny, którym można szybko pstryknąć fotkę, gdy nadarzy się ciekawa i nieoczekiwana sytuacja.

Ale torebka służy królowej także do jeszcze innych, tajemniczych zadań...

Można nią nadawać zaszyfrowane polecenia swoim podwładnym. Goście Jej Wysokości, gdy mają z nią razem jeść obiad, są uprzedzeni, że pięć minut przed jego zakończeniem torebka zostanie zdjęta z haczyka i postawiona na stole. To znak dla zaproszonych, że spotkanie dobiega końca i nie należy go przedłużać.

Gdy na bankiecie torebka zwisa sobie spokojnie z haczyka, to znaczy, że królowa jest zadowolona i w dobrym humorze. Ale uwaga! Gdy tylko zostanie postawiona na ziemi, znaczy, że jej wysokość rozmową już się znudziła i życzy sobie ją szybko zakończyć.

Gdy królowa jest w miejscu publicznym i umieści torebkę bokiem do siebie, daje znak, żeby zbliżyła się do niej dama dworu. To sygnał, że chciałaby uwolnić się od towarzystwa, w którym właśnie się znajduje.

OSAMOTNIONA

Nikt nie oczekuje od monarchy, żeby uczestniczył w popkulturowych wydarzeniach. Nawet jeśli monarcha jest kobietą i żyje w XXI w., kiedy popkultura zrównuje wszystkich. Jednak bez przesady... Królowa jest królową.

Elżbieta II potrafiła zaskoczyć. W lutym 2018 r. na londyńskim Fashion Weeku, na pokazie mody 28-letniego projektanta Richarda Quinna, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Zamieszanie, policja, ochroniarze... Okazało się, że gościem specjalnym jest Jej Wysokość. Usiadła w pierwszym rzędzie, obok szefowej amerykańskiego „Vogue”, Anny Wintour. O czym panie rozmawiały, nie wiadomo. Wiadomo, że słynna redaktorka złamała etykietę – w rozmowie z monarchinią nie zdjęła ciemnych okularów. Był to pierwszy pokaz mody dla królowej. I jedyny.

Wagę równie małą jak do ubrań królowa przywiązuje do wystroju wnętrza, w których żyje. Marc Roche: „Styl Elżbiety II właściwie nie istnieje. Ze swoich apartamentów nie zrobiła wystawy współczesnego designu, architektury wnętrz czy galerii sztuki dekoracyjnej. Tylko dawne apartamenty książęce na drugim piętrze zostały zaprojektowane bardzo funkcjonalnie i elegancko przez Davida Hicksa, zięcia Mountbattena. Jej Wysokość, która nie lubiła pałacu Buckingham, musi w nim rezydować. Je wszystkie posiłki i kładzie się spać. Nie może się spotykać z przyjaciółmi w restauracji czy u nich w domu. Żyje w odosobnieniu”.



Ministerstwo
Klimatu i Środowiska

Europejski Zielony Ład uderza w leśnictwo i polską gospodarkę

Unia Europejska w 2050 r. ma się stać neutralna klimatycznie – taki jest cel Europejskiego Zielonego Ładu. Oznacza to, że w najbliższych dekadach emisje gazów cieplarnianych muszą znacznie zmaleć. Jednak niektóre z zaproponowanych działań, wbrew intencjom autorów, powodować będą negatywne skutki przyrodnicze i klimatyczne

Cel jest słuszny, ale czy droga do osiągnięcia neutralności klimatycznej jest racjonalna i bierze pod uwagę wszystkie długofalowe skutki?

Komisja Europejska dąży do objęcia ochroną ściśłą blisko jednej trzeciej powierzchni leśnej. W takich lasach do minimum ograniczone zostaną ludzka aktywność oraz pozyskanie drewna. Chcąc prawdziwie chronić lasy, nie można pozostawiać ich samym sobie, ponieważ będą coraz mniej odporne na zagrożenia klimatyczne, np. susze czy

też gradację szkodników. Takie rozwiązania prowadzą zatem do przeciwnych skutków niż zamierzone. Wiarygodne szacunki wskazują, że ograniczenie pozyskania drewna spowodowałoby spadek produkcji surowca drzewnego w Unii Europejskiej o ponad 40 proc. Zbankrutuje większość rodzinnych przedsiębiorstw przetwarzających lokalnie surowiec drzewny. Zlikwidowanych zostanie nawet 200 tys. miejsc pracy.

Uderzenie w przemysł meblarski?

Zaproponowane rozwiązania uderzą w całą gospodarkę leśną i przemysł drzewny. Obecnie obserwujemy zwiększoną presję na drewno. Radykalne ograniczenie podaży surowca spowoduje gwałtowny wzrost jego ceny. Dla wielu producentów z branży drzewnej zwyczajnie go zabraknie. Oznacza to bardzo poważne perturbacje dla tego sektora. Produkcja wyrobów z drewna w dużej mierze przeniesiona zostanie poza Unię Europejską. A przecież drewno to ważny surowiec ekologiczny i odnawialny.

Dlaczego zatem drewno jako surowiec ekologiczny i odnawialny nie jest doceniane w realizacji unijnych celów biogospodarki?

My również widzimy sprzeczność priorytetów Europejskiego Zielonego



skim przypisano zróżnicowany poziom ambicji. Dla Polski cel wyśrubowano bardzo wysoko, podczas gdy dla Francji został on obniżony. To pokazuje, że nie chodzi tu o żadną bioróżnorodność, tylko jest to kolejne narzędzie dyskryminowania Polski i ograniczenie nas w dziedzinie, w której doskonale sobie radzimy. Uważam, że wysiłek na rzecz ochrony klimatu solidarnie i w równym stopniu powinny ponosić wszystkie państwa członkowskie Unii Europejskiej.

Skąd takie zmienne szacunki w kwestii pochłaniania?

Ilość dwutlenku węgla pochłoniętego przez las zależy od bardzo wielu czynników. Uważa się, że najwięcej węgla pochłaniają drzewa w fazie wzrostu i rozwoju, czyli te tworzące drzewostany młode i intensywnie przyrastające. Jednak nasilające się obecnie niekorzystne zjawiska – susze, huragany, pożary oraz gradacje szkodliwych owadów, a także rosnący wiek lasów – powodują zmniejszenie pochłaniania dwutlenku węgla przez lasy. Cel zaproponowany przez Komisję Europejską nie zostanie osiągnięty zarówno na poziomie unijnym, jak i na poziomie wielu państw członkowskich. Nie zaproponowano żadnego mechanizmu elastyczności, który uwzględniałby powyższą okoliczność. Co więcej, rozważa się możliwość nałożenia kar finansowych dla państw, które nie zdołają osiągnąć przypisanego im celu. Taka sytuacja jest niedopuszczalna.

Może unijni decydenci powinni skorzystać z doświadczeń polskich leśników?

Do tego właśnie zachęcamy organy unijne. W ostatnich tygodniach w Parlamencie Europejskim zaprezentowaliśmy wystawę dotyczącą polskich lasów i leśników, którzy od niemal stu lat dbają o stan środowiska naturalnego i zwiększanie bioróżnorodności. Nasz model zarządzania lasami oparty jest na zrównoważonej gospodarce leśnej przy jednoczesnej ochronie przyrody. Unia Europejska poprzez swoje rozwiązania, szczególnie w strategii na rzecz bioróżnorodności, dąży do likwidacji lasów państwowych. Pod hasłem ochrony klimatu toczy się gra o grunty leśne i prywatne interesy.

Jak ocenia pan szanse na widoczny spadek emisji CO₂ w Polsce?

Polska należy do czołówki państw w Europie, które od 1990 r. konsekwentnie zmniejszają emisję gazów cieplarnianych. Nie kwestionujemy potrzeby ochrony klimatu, ale metody i czas, w którym mają być dokonane. Widzimy, jakie skutki ta presja czasu wywołuje na rynku energetyczno-ciepłowniczym. Jeśli nie zostanie zreformowany system handlu emisjami (tzw. ETS) i dalej spółki energetyczne będą musiały ponosić takie duże koszty, to nie będą miały środków na niezbędną modernizację. Przypomnę, że 80 proc. naszego ciepłownictwa wymaga pilnej przebudowy. Jeśli ona się dokona, to rzeczywiście nastąpi duży postęp w redukcji emisji dwutlenku węgla.

Walka ze smogiem w Polsce słabnie wraz z rosnącym kryzysem energetycznym.

To prawda, sytuacja geopolityczna zmusza nas do podjęcia radykalnych działań. W odpowiedzi na wojnę na Ukrainie i kryzys energetyczny rząd wprowadził nadzwyczajne rozwiązania. Poleganie na węglu w celu zastąpienia części importu gazu może być krótkoterminowym rozwiązaniem dla bezpieczeństwa energetycznego, ale nie długoterminowym. Ważna jest efektywność energetyczna, dywersyfikacja paliw i postawienie na odnawialną energię. Jednym ze sposobów jest pellet, który jest ekologiczną alternatywą do ogrzewania domu. Wyróżnia się bardzo wysoką wartością opałową i doskonałymi walorami. Jak pokazują dane z Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków, w Polsce są ponad 2 mln domów ogrzewanych drewnem. Dzięki Rządowej Tarczy Energetycznej ogrzewające domy drewnem kawałkowym i pelletem dostaną jednorazowe dopłaty na ich zakup.

Wychodząc naprzeciw tym potrzebom, w sierpniu wydałem polecenie dyrektorowi generalnemu Lasów Państwowych uruchomienia na potrzeby sezonu grzewczego 2022/2023 oraz w dalszej perspektywie samodzielnej sprzedaży detalicznej pelletu przez Lasy Państwowe, dostarczanego przez firmy zewnętrzne wyłonione w drodze postępowania przetargowego. Ponadto poleciłem przygotowanie produkcji własnej pelletu przez Lasy Państwowe, która powinna umożliwić dostarczenie produktu odbiorcy detalicznemu w kolejnym sezonie grzewczym 2023/2024.

Ładu, które prowadzą do znaczącego ograniczenia pozyskiwania drewna. Irracjonalnie kwestionuje się ideę wielofunkcyjności lasów, nadając priorytet funkcji przyrodniczej i klimatycznej lasu kosztem funkcji społecznej i gospodarczej. Wielką zaletą lasów państwowych jest ich ogólnodostępność, każdy obywatel może swobodnie wejść i korzystać z tego narodowego dziedzictwa. Niezrozumiałe i wręcz nierozsądne jest dążenie w polityce europejskiej do zaprzestania ich użytkowania.

W unijnych zapisach widzimy również rosnący cel pochłaniania dwutlenku węgla przez lasy.

Niezwykle ambitne plany całej Unii Europejskiej w zakresie neutralności klimatycznej cały czas ewoluują. Poszczególnym państwom członkow-



Z prof. Sebastianem Gieblem, kierownikiem Kliniki Transplantacji Szpiku i Onkohematologii Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie, Oddziału w Gliwicach rozmawia Katarzyna Pinkosz

Wyleczyć najtrudniejszą z białaczek

KATARZYNA PINKOSZ: Ostra białaczka szpikowa to choroba, która budzi szczególny lęk chorych. „Ostra”, więc agresywna. Czym ta choroba różni się od innych białaczek?

PROF. SEBASTIAN GIEBL: Ze względów klinicznych białaczki dzielimy na ostre i przewlekłe, czyli takie, które rozwijają się miesiącami, latami i często przez długi czas mogą nie dawać objawów. Ostre białaczki rozwijają się szybko: nieleczone w ciągu kilku, kilkunastu tygodni mogą prowadzić do zgonu.

Jest też podział na białaczki szpikowe i limfatyczne. Zależy od komórek, z których wywodzą się białaczki. Są wrażliwe na zupełnie inne rodzaje cytostatyków (czyli chemioterapii) i innych form leczenia. Ostra białaczka szpikowa to choroba o agresywnym przebiegu. Jej przyczyną są mutacje powstające w komórkach macierzystych w szpiku, z których powinny rozwinąć się krwinki czerwone,

białe, płytki krwi. Mutacje powodują, że komórki macierzyste nie dojrzewają, czyli nie zamieniają się w dojrzałe krwinki. Mnożą się i kumulują w szpiku, po pewnym czasie całkowicie go wypełniając. Skutkiem jest niedobór prawidłowych krwinek. Pojawia się niedokrwistość, spowodowana niedoborem krwinek czerwonych; leukopenia, czyli niedobór białych krwinek (a są one odpowiedzialne za odporność, która radykalnie spada). Z kolei płytki krwi chronią przed krwawieniami, dlatego ich niedobór powoduje samoistne krwawienia.

W jakim wieku zachorowania są najczęstsze?

Średnia wieku to ok. 65 lat. Wiek ma ogromny wpływ na sposób leczenia, gdyż starsi chorzy bardzo często nie mogą być leczeni intensywnie. Generalnie dzielimy pacjentów na trzy kategorie: grupa ryzyka standardowego (czyli o lepszym

rokowaniu), pośredniego i wysokiego. Jeszcze do niedawna szanse na wyleczenie wynosiły średnio 20–30 proc. – w zależności od wieku, a co za tym idzie, intensywności leczenia, jakie można zastosować, a z drugiej strony od cech genetycznych komórek białaczkowych.

U pacjentów młodszych, do ok. 60–65. roku życia, jeśli nie są obciążeni innymi chorobami, możemy stosować intensywną chemioterapię: wtedy szansa wyleczenia jest większa, nawet 40–50 proc. W najtrudniejszej sytuacji są starsi pacjenci, w przypadku których nie jest możliwa intensywna chemioterapia i przeszczepienie komórek krwiotwórczych. Szansa na wyleczenie to najwyżej 10 proc. Choć są to dane sprzed 10–15 lat, kiedy stosowaliśmy wyłącznie chemioterapię i przeszczep szpiku, a nie było dostępnych nowych metod, które pojawiły się w ostatnich kilku latach.

Od 1 września w refundacji mamy cztery bardzo nowoczesne terapie, o które bardzo zabiegali klinicyści. Które grupy pacjentów najbardziej na nie czekały?

Każdy chory potrzebuje nieco innego leku. W przypadku młodszych osób, w dobrym stanie klinicznym, gdzie stosujemy intensywną chemioterapię z intencją wyleczenia, mamy kilka nowych opcji. Jedną z nich jest gemtuzumab ozogamicyna: przeciwciało monoklonalne, które rozpoznaje komórkę białaczkową, połączoną z cząsteczką toksyny. Dostarcza ona ją do komórki nowotworowej. Toksyna (trucizna) uwalnia się wewnątrz komórki nowotworowej i ją niszczy. Dodanie tego leku do intensywnej chemioterapii zwiększa szansę wyleczenia pacjentów z grupy standardowego ryzyka z 55 proc. do 75 proc., a więc aż o 20 proc. – to olbrzymi skok. Również w grupie pośredniego ryzyka jest efekt, choć słabszy.

Drugi lek to CPX-351: to połączenie daunorubicyny i cytarabiny, czyli dwóch leków, które stosujemy tradycyjnie jako chemioterapię. W nowym leku zostały one zamknięte w kapsułkach tłuszczowych, w odpowiednich proporcjach. Powoduje to, że komórki białaczkowe chętniej te leki wychwytyują, a zarazem wydłuża się czas działania leków. To więc „stare leki w nowym opakowaniu”, które działają dłużej i bardziej specyficznie, szczególnie u pacjentów z wtórnymi białaczkami, czyli takimi, które są poprzedzone innymi chorobami hematologicznymi (najczęściej zespołem mielodysplastycznym) lub chemioterapią albo radioterapią z powodu innego nowotworu. To chorzy o bardzo ciężkim rokowaniu. Dzięki temu lekowi jest znacznie większa szansa na remisję, przeprowadzenie przeszczepienia szpiku, a wyniki przeszczepów są znacznie lepsze w porównaniu z chorymi, którzy byli leczeni w sposób tradycyjny.

Są też białaczki, których cechą jest mutacja genu FLT3 – ci chorzy też powinni być intensywnie leczeni. Mogliśmy u nich stosować terapię celowaną midostauryną. To lek, który wybiórczo atakuje komórki z mutacją FLT3. Jest jednak duża grupa pacjentów, którzy nie odpowiadają na leczenie lub odpowiadają, ale mają nawrót choroby. Możemy u nich zastosować gilteritinib – lek celowany, nakierowany na komórki z mutacją FLT3. Jest w stanie doprowadzić u części pacjentów do remisji i możliwości przeszczepienia szpiku, co daje szansę na wyleczenie.



Barbara Dziuk, przewodnicząca sejmowej podkomisji stałej ds. onkologii:

Jako poseł dokładałam wszelkich starań, żeby każdy pacjent miał godne życie i był godnie traktowany. W ostrej białaczce szpikowej długo nie mieliśmy refundowanych nowoczesnych leków. Było wiele dyskusji w sejmowej podkomisji stałej ds. onkologii oraz Parlamentarnym Zespole ds. Chorób Rzadkich. Przyszli z pomocą eksperci, wspólnie z organizacjami wypracowaliśmy stanowisko adresowane do Ministerstwa Zdrowia. Wykorzystałam wszystkie narzędzia, które posiadam jako poseł: to było wiele pism, stanowisk, wręcz wspólne ruszenie na rzecz chorych. Mamy XXI w., ogromne osiągnięcia, międzynarodowe standardy. Moim marzeniem jest, żeby wprowadzać dobre leki dla polskich pacjentów. To się sukcesywnie udaje i jestem bardzo szczęśliwa, że mamy wspaniałych ministrów, którzy potrafią pochylić się nad problemem, i mamy efekt końcowy w postaci refundacji bardzo nowoczesnych leków.



Krystyna Wechmann, prezes Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych:

Czuję wielką radość, że potrzeby pacjentów z białaczką szpikową zostały zauważone. To szczególnie ważne z uwagi na to, że AML to trudny do leczenia, rzadki nowotwór krwi, o najniższym wskaźniku przeżywalności spośród wszystkich białacek. Dostęp do nowych opcji terapeutycznych daje nadzieję pacjentom i ich bliskim. Mam świadomość ogromnego zaangażowania i nakładu pracy Ministerstwa Zdrowia w ostatnich tygodniach. W imieniu swoim i pacjentów bardzo za to dziękuję i wyrażam wdzięczność panu ministrowi Maciejowi Miłkowskiemu i całemu Departamentowi Polityki Lekowej i Farmacji.

Są jednak też pacjenci starsi, z chorobami współistniejącymi, u których nie są możliwe intensywne chemioterapia i przeszczep szpiku?

Średnia wieku to ok. 65 lat, czyli połowa lub nawet więcej nie kwalifikuje się do intensywnej chemioterapii i przeszczepienia szpiku. Tym chorym do tej pory mieliśmy bardzo niewiele do zaoferowania. Badania kliniczne nad nowym lekiem – wenetoklaksem w skojarzeniu z azacytydyną w grupie chorych starszych, z obciążeniami, u których nie można stosować chemioterapii – wykazały, że taka terapia zwiększa szansę na wyleczenie o co najmniej 20 proc. Co ważne, jest to leczenie stosunkowo dobrze tolerowane, nie powoduje istotnego ryzyka powikłań. A jednocześnie jest na tyle skuteczne, że u znacznej części pacjentów można uzyskać remisję i staje się realne wyleczenie.

To też grupa chorych o bardzo trudnym rokowaniu?

Tak, nie możemy u nich stosować tradycyjnej chemioterapii, gdyż jest związana z dużym ryzykiem powikłań, uszkodzenia serca, wątroby, nerek.

Do niedawna wydawało się, że ostra białaczka szpikowa może być opanowana tylko przy pomocy intensywnej chemioterapii i przeszczepieniu szpiku.

Okazało się, że niekoniecznie; wenetoklaks z azacytydyną, czyli leczenie łagodniejsze, ale bardziej celowane, nakierowane na komórki białaczkowe, może też być skuteczne. To jest nadzieja dla bardzo dużej grupy chorych, chorych starszych, z obciążeniami.

Jak pan patrzy na możliwości leczenia dostępne obecnie dla pacjentów? Większości chorych można już zaproponować skuteczne leczenie?

Muszę powiedzieć, że w Polsce jesteśmy w światowej czołówce w leczeniu ostrej białaczki szpikowej. Sami przeprowadziliśmy badania, które pozwoliły na optymalizację leczenia tej choroby. Wypracowaliśmy schematy, które okazały się bardziej skuteczne od tych uznawanych na świecie. Nasze schematy leczenia figurują dziś w międzynarodowych rekomendacjach jako optymalne. Uzupełnienie ich o nowe opcje, które właśnie zostały wprowadzone do refundacji, jeszcze bardziej poprawi rokowanie naszych chorych. Jak mówiłem, 10 lat temu szansa wyleczenia ostrej białaczki szpikowej wynosiła średnio 20 proc. Myślę, że dzięki naszym innowacjom i nowym lekom ta szansa zwiększy się ogólnie do 35–40 proc. Chcemy tej choroby pozbyć się raz na zawsze.

TEST „DO RZECZY”: SMARTFON REALME GT NEO 3

Rekordowo szybkie ładowanie baterii, bardzo dobry i jasny ekran AMOLED, niezły główny aparat fotograficzny, wystarczająca wydajność procesora, przyzwoite głośniczki stereo – to największe zalety niezwykle szybkiego smartfona ze średniej półki produkcji chińskiej firmy Realme.

Smartfon robi wrażenie solidnie wykonanego. Obudowa ważącego 188 g smukłego telefonu (8,2 mm grubości) z pewnością przyciąga wzrok. W testowanej niebieskiej (a może fioletowej?) wersji z dwoma białymi rajdowymi pasami nie jest to jednak elegancki smartfon dla grzecznego urzędnika czy dyrektora banku, ale raczej urządzenie dla zbuntowanego młodzieniaszka ze start-upu, który marzy o szybkim podbiciu świata.

Każdy doceni zapewne świetny ekran AMOLED o wielkości 6,7 cala i rozdzielczości wynoszącej 2412 x 1080 (394 pikseli na cal). Ostrość jest bardzo dobra, kontrast znakomity, a maksymalna jasność wystarczająca, aby korzystać z tego smartfona również w słoneczne jesienne dni. Plusem jest też częstotliwość odświeżania na poziomie 120 Hz, co zwiększa płynność obsługi, wyświetlanych animacji etc. Nie jest to oczywiście najlepszy ekran na rynku smartfonów, ale już na pewno bardzo, bardzo dobry. HDR10+ sprawia, że oglądane filmy i seriale wyglądają naprawdę dobrze.

Wewnątrz producent zainstalował osiemnastopiętny procesor MediaTek Dimensity 8100 oraz 12 GB pamięci RAM. Taki zestaw zapewni

wydajność wystarczającą dla większości użytkowników, choć oczywiście nie jest tak szybki jak flagowce ze Snapdragonem 8 Gen 1.

Główny aparat fotograficzny z optyczną stabilizacją obrazu, rozdzielczością 50 MP i jasnością f/1.88 jak na tę półkę cenową robi świetne zdjęcia, nawet w nieco gorszych warunkach oświetleniowych. Kolory są mocno nasycone, szczegółów jest dużo. Można nim też kręcić filmiki w rozdzielczości 4K z prędkością 60 kl./s.

Największym atutem tego smartfona jest bateria o pojemności 4500 mAh, a zwłaszcza niezwyklej mocy ładowarka, dzięki której w dniu premiery był to najszybciej ładujący się telefon na świecie. A jak to wygląda w rzeczywistości? Naładowanie tego modelu od zera do 50 proc. zajmuje zaledwie pięć minut, a od zera do 100 proc. tylko 20 minut. To naprawdę robi wrażenie, zwłaszcza gdy trzeba szybko wyjechać do biura, a telefon już prawie umiera, bo... zapomniał się go wieczorem podłączyć do kontaktu.

Przyzwoicie sprawują się też głośniczki stereo, choć oczywiście należy je traktować tylko jako awaryjne źródło dźwięku, bo nie tylko brakuje im basu, lecz także przy wyższej głośności zaczynają zniekształcać odtwarzane melodie. Do tego są modem wi-fi, dual Sim, NFC 360 stopni (łatwiej jest płacić zbliżeniowo) oraz szybki czytnik linii papilarnych.

Wady? Testowany model nie ma żadnego ratingu IP, który określa stopień odporności na kurz oraz wodę. Teoretycznie producent uszczelniał chociaż tackę na kartę SIM, więc drobne zachlapania



nie powinny sprawić problemu, ale wielka szkoda, że wodoszczelny ten telefon nie jest na pewno, więc trzeba uważać zarówno podczas ulew, jak i podczas skoków przez kałuże.

Obiektyw szerokokątny i macro należy traktować jako miły dodatek do aparatu głównego, pamiętając jednak, że fotografie zrobione za ich pomocą są nieporównywalnie gorszej jakości. Wiadą to szczególnie wyraźnie, gdy zdjęcia robione są w gorszych warunkach oświetleniowych.

Mimo tych minusów GT Neo 3 pokazuje, że aby kupić smartfon o specyfikacji zbliżonej do drogich flagowców, wcale nie trzeba wydawać kwoty, która wystarczałaby na zakup używanego auta. Testowany model kosztuje 2999 zł. Stosunek ceny do jakości już jest niezły, a jeśli GT Neo 3 jeszcze trochę stanie, to rzeczywiście warto będzie rozważyć jego zakup. ©©

Jacek Przybylski

GŁOŚNIK DLA IMPREZOWICZÓW

SRS-XV900. Tak nazywa się najnowszy przedstawiciel bezprzewodowej serii Sony, którego najkrócej charakteryzują dwa słowa: najgłośniejszy i najpotężniejszy. Dość powiedzieć, że nowy model, który na jednym ładowaniu wytrzyma ponoć nawet 25 godzin pracy, zdaniem marketingowców świetnie wpisuje się w filozofię „Live life loud” (w luźnym tłumaczeniu na polski „Mój jest ten kawałek podłogi”). W SRS-XV900 projektanci Sony zastosowali przetwornik X-Balanced Speaker Unit, co zwiększa powierzchnię głośnika i podnosi poziom ciśnienia akustycznego. Za podbijanie niskich tonów odpowiada technologia Jet Bass Booster. Wysokie tony emituje zaś sześć głośniczków umieszczonych z przodu, z tyłu i na bokach. Nowy gadżet umożliwia organizowanie świetnych domówek (z głośną muzyką,

pulsującym oświetleniem LED i funkcją karaoke). Może też służyć jako oręż w walce z sąsiadami, gdy tuje już nie pomagają, a śrutu do wiatrówek szkoda. Sprzedaż rozpocznie się w październiku. Ceny jeszcze nie podano.



OBROTOWA KAMERA Z WŁASNYM ZASILANIEM

Ezviz, znany producent sprzętu do monitoringu, pokazał na targach IFA w Berlinie najnowszy model obrotowej kamery zewnętrznej. HB8 to pierwsza kamera tej firmy, która nie tylko umożliwia rejestrowanie obrazu ze wszystkich kierunków (w rozdzielczości 2K), lecz także ma wbudowany akumulator, który – według producenta – pozwala na monitorowanie otoczenia przez 210 dni na jednym ładowaniu (lub jeszcze dłużej, jeśli dokupi się opcjonalne panele słoneczne). Nowa kamera wi-fi ma wbudowany dysk eMMC 32 GB, umożliwia wykrywanie ruchu osób i automatyczne śledzenie intruza. Kamera HB8 ma też wbudowaną głośną syrenę alarmową oraz dwie migające diody, które mogą odstraszyć włamywacza. Nowy model jest już w sprzedaży. Cena: 839 zł. ©©

Jacek Przybylski



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Przed szkołą

Ogólnopolski Dzień Przedszkolaka – obchodzony 20 września – to sympatyczne, niekontrowersyjne święto, przywołujące na myśl zazwyczaj miłe wspomnienia. Przynajmniej dla nas. Nasze przedszkole mieściło się w Bytomiu przy ul. Olejniczaka, w starej przedwojennej kamienicy z ładnymi witrażami na półpiętrach. Przez werandę wychodziło się do sporego, ogrodzonego ogrodu. Bardzo lubiliśmy przedszkole, miłą panią dyrektorkę i opiekunkę. Tylko pani intendentka budziła respekt, głównie z powodu nazwy sprawowanej funkcji. W czasach PRL-owskich braków od niej zależał los naszych posiłków, więc cały personel mówił o niej z lekkim przejęciem.

Pamiętamy, że była postawna kobietą o tlenionych włosach, chyba upinanych w kok. Nikt z nas nie lubił leżakowania, a teraz ile byśmy dały za obowiązkowe pół godziny drzemki po obiedzie! I żeby naprawdę nic nie można było robić, nawet przeglądać Internetu! To kolejny, koronny dowód na to, że do niektórych przyjemności dojrzewamy z wiekiem.

Jedzenie chyba było dobre, bo nie narzekaliśmy. Kiedy robiliśmy kwerendę wśród rodziny i znajomych, wśród ulubionych dań przedszkolnych pojawiały się często pomidorowa z ryżem, krupnik, makaron z serem i truskawkami oraz pyzy na parze z sosem owocowym. I tu mamy z siostrą rozbieżne zdania –

Ania ich nie lubiła i oddawała temu, kto tylko chciał, a Magda zjadała do końca. Natomiast budyni z sokiemi wiśniowym lubiłyśmy obie.

Jeśli idzie o współczesnych przedszkolaków, to ich gusta się nie zmieniły – nadal jadają z apetytem pomidorową, krupnik i makaron z serem. Obecnie rodzice nie mogą np. z okazji urodzin dziecka przynieść do przedszkola własnoręcznie pieczonego ciasta. Musi być kupione w cukierni i dostarczone z paragonem. A najlepiej, żeby to były ciasteczki. Z jednej strony rozumiemy, ale z drugiej strony – zgroza!

Obecnie w większości przedszkoli nie ma już stacjonarnych kuchni i pań kucharek, przedszkola korzystają z cateringów. Smaki – trochę inne niż nasze, ale nadal obowiązują potrawy sprawdzone i ponadczasowe. Nasze dzieci na przestrzeni 20 lat (bo taka jest różnica wieku w naszych rodzinach między najstarszym a najmłodszym dzieckiem) kochają śniadaniową pastę jajeczną na chlebek posmarowanym masłem.

Bez tej pasty nie ma porządnego śniadania i musi pojawić się przynajmniej raz w tygodniu.

Pasta jajeczna

- pięć jajek ugotowanych na twardo
- 80 dag sera żółtego
- jeden duży ogórek kiszony
- cztery łyżki majonezu – obowiązkowo
- 1/2 łyżeczki musztardy
- trochę soli i pieprzu do smaku
- szczyptę koperku do posypania

Jajka ugotowane na twardo, ser i ogórek kiszony zetrzyj na tarce o grubych oczkach, przełóż do miseczki, dodaj przyprawy i majonez.

Wszystko wymieszaj, nakładaj na pieczywo, posyp świeżym szczyptą koperku. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mało papieru

Oglądanie cudzych mieszkań i domów ma coś z voyeuryzmu, jednak podejrzewam, że w swojej ciekawości nie jestem odosobniona. Oczywiście najciekawiej jest zaglądać w okna na ulicy, ale teraz mało kto udostępnia przechodniom widok własnego życia, w dodatku oświetlony. To nie Holandia, gdzie, jak wiadomo, żyje się na widoku. Podobno dlatego, żeby żony marynarzy, a Holandia to przecież potęga morska, były wciąż na oku sąsiadów i przechodniów, jednym słowem, żeby dobrze się prowadziły.

Dla tych, którzy chcą więcej, jest Internet. A razem z nim wypasione rezydencje gwiazd. Na sprzedaż, do wynajęcia, w reklamie. Otóż właśnie na stronie francuskiego dziennika „Le Figaro” znalazłam zdjęcia wystawionego na sprzedaż domu amerykańskiej aktorki Reese Witherspoon. Kalifornia, Los Angeles, nie inaczej. Skromna rezydencja. Siedem sypialni, salon, 10 łazienek, sauna, spa, marmury itp. Wszystko lśni nowością, bo państwo właściciele mieszkali tam zaledwie dwa lata. Jedną rzecz przykuła moją uwagę: biblioteka. Po gwiazdach hollywoodzkich nie spodziewam się znaleźć tam dzieł Prousta, ale choćby parę tomów: może lektury szkolne (troje dzieci), jeden z drogiego albumów o sztuce czy modzie. Cokolwiek. Ale nic. Zero. W tej dużej i, jak wszystko w tym domu, designerskiej bibliotece w kolorze szmaragdowym nie ma żadnej książki. Na półkach,



FOT. FOT. ADRIEN STOLCK

którymi wyłożone są ściany, stoją wazoniki, maskotki, figurki i inne durnostojki.

Przypominam sobie historię z dzieciństwa.

Zaprosiła nas pewna dalsza znajoma rodziców, żona właściciela warsztatu samochodowego. W latach 60. taki biznes to były poważne (na owe czasy) pieniądze. Z dumą pokazywała swoją willę. Biblioteki w niej nie było, ale w salonie znajdowały się półki z książkami w skórzanych oprawkach ze złotymi napisami na grzbietach. – Sama skóra, prawie w ogóle nie ma papieru, pochwaliła się przed nami właścicielka.

„Sama skóra, prawie w ogóle papieru” stało się u nas jednym z family talks. Synonimem idioty. Ciekawa jestem księgozbiorów różnych znanych osobistości, zwanych celebrytami. Co czytają?

Intelektualiści fotografują się zawsze na tle książek, tak jest elegancko. Pochwalić się księgozbiorem należy do dobrego tonu, ale nie wątpię, że książki te są również czytane. Nieoczekiwane jest to, że znam rodzinę dużo czytającą i nie są to powieści Blanki Lipińskiej. Książek mają niewiele: czytają na czytnikach albo wypożyczają z biblioteki. Te ostatnie: bez skóry, dużo papieru. © ©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kowalewo – husarska hańba



JACEK KOMUDA

Kowalewo Pomorskie, położone na północny zachód od Torunia, to miejsce jednej z ostatnich szarż jazdy polskiej, w której wzięła udział husaria. 5 października 1716 r. doszło tutaj do bitwy pomiędzy wojskami konfederatów tarnogrodzkich a armią sasko-polską, wierną królowi Augustowi II Sasowi.

W chwili starcia już od ponad dwóch lat trwała wojna domowa pomiędzy szlachtą a królem, która

większą niż utrzymywane w czasie wojny regularne siły państwa. Prerażające zaś, że obie strony odwołały się do wsparcia cara Piotra I, proponując mediację (konfederacji) i pomoc wojskową (król), co sprawiło, że Moskwa od tej pory otwarcie mieszała się do spraw Rzeczypospolitej.

Wojna rozpoczęła się zwycięstwem konfederatów pod Radogoszczą i kolejnymi – pod Ryczywołem i Leszmem; w lipcu, pomimo trwającego rozejmu, zdobyto Poznań, kiedy natomiast na jesieni wojsko saskie ruszyło na Pomorze, jeden z najwybitniejszych dowódców konfederatów – płk Chryzostom Gniazdowski – postanowił wydać im bitwę.

Podszedł pod Kowalewo z siłami liczącymi ok. 9–10 tys. wojska, z czego ok. 6 tys. jazdy koronnej i litewskiej, w której skład wchodziło nawet 30 chorągwi husarskich, 800 piechoty, resztę zaś stanowiło pospolite ruszenie i oddziały świeżo wystawione przez konfederatów. Naprzeciwko wyruszył z Brodnicy Adam Henryk von Bose, prowadząc saskie i koronne regimenty piechoty, kirasjerów i dragonię, a także chorągwie tatarskie. Razem ok. 7–8 tys. ludzi.

Do bitwy doszło 5 października na polach pomiędzy Kowalewem a wsią Pluskowęsy. To płaska jak stół równina, dogodna dla działań jazdy (obecnie jej środek przecina droga wojewódzka nr 15). Wojska konfederatów stanęły plecami do Kowalewa, w kierunku północno-wschodnim. W miejscu, gdzie dziś znajdują się parking dla ciężarówek i stacja paliw, ustawiono piechotę i działa. Na prawym skrzydle, na południe od drogi, aż do mokradeł i błot, stanęła jazda koronna pod dowództwem Gniazdowskiego. Na lewym, rozciągającym się na północ od szosy, aż do dzisiejszej kolonii Zapluskowęsy – jazda litewska pod dowództwem Sta-

niśława Władysława Potockiego. Armia królewska z kolei ustawiła w centrum piechotę i działa, a na skrzydłach – przemieszane oddziały jazdy, piechoty i dragonii.

Bitarza chorągwi koronnych Gniazdowskiego przeprowadzoną polami po prawej stronie drogi (jadąc z Kowalewa na Pluskowęsy), poczynszy od stacji paliw. Była to jedna z ostatnich, jeśli nie ostatnia szarża oddziałów husarii. Niestety, atak załamał się w ogniu piechoty saskiej i koronnej – jak podaje Tomasz Ciesielski – regimentu Friesego i koronnego królewicza Augusta, a także dragonów oraz ostrzału artyleryjskiego. Jak pisał po bitwie Bose, husaria została wręcz „zrujnowana” i rzuciła się do ucieczki, wzbudzając taki popłoch, że Gniazdowski nie był w stanie zatrzymać uchodzących. Sytuację wykorzystali Sasi, atakując w tym miejscu dragonią i piechotą, co doprowadziło do wybuchu paniki i ucieczki całego prawego skrzydła konfederatów razem z regimentarzem. Trochę większą wolę walki wykazała piechota – wytrzymała cztery salwy, a potem złożyła broń. Honor Polaków uratowali natomiast Litwini z lewego skrzydła, którzy zagrożeni otoczeniem bronili się i kontratakowali, wycinając wielu Sasów, a po około czterogodzinnym boju rozpoczęli odwrót.

Bitwa pod Kowalewem wykazała bezużyteczność husarii, której chorągwie zostały odparte ogniem piechoty i artylerii, w otwartym polu i bez wykorzystania – jak 14 lat wcześniej pod Kliszowem – polowych umocnień – kozłów hiszpańskich i zaostrzonych pali. Było to kolejne ostrzeżenie, że jazda Rzeczypospolitej wymaga głębokich reform i powołania nowych formacji wojskowych. Niestety, nasi przodkowie żadnej lekcji z tej kolejnej klęski nie wyciągnęli. ©©



FOT. DOMENA PUBLICZNA

• Kowalewo Pomorskie

I RZECZYPOSPOLITA

rujnowała i tak spustoszoną po najeździe szwedzkim Rzeczpospolitą, a bitwa była ostatnim jej akordem przed zawarciem traktatu warszawskiego, potwierdzonego później na sejmie niemym 1 lutego 1717 r.

Konfederacja została zwołana i ogłoszona dwa lata wcześniej, kiedy władca wprowadził do Korony i Litwy wojska saskie, które pod pozorem osłony od wojsk tureckich i szwedzkich zaczęły nakładać podatki rujnujące kontrybucję. 26 listopada 1715 r. w Tarnogrodzie szlachta zobowiązała się do walki z królem o usunięcie nie tylko jego armii, lecz także saskich ministrów wtrącających się w sprawy Rzeczypospolitej. Konfederaci stworzyli do walki z władcą armię liczącą do 50 tys. wojska, znacznie



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zwycięstwo z głową pod pachą

Pamiętają Państwo te spektakularne kadry z polowania na przedsiębiorców i zamykania lokali, łącznie z wjazdem policji i szarpaniną z gośćmi? Właśnie przychodzą kolejne rachunki, tym razem za covidowe szaleństwo lockdownów. Okazało się, że ze spraw skierowanych do sądów przeciwko sanepidowi zarządzającemu tym szaleństwem bezprawia ta instytucja wygrała tylko 7 proc., i to praktycznie tylko w wypadkach łamania kwarantann. Resztę sanepid przegrał sromotnie. A więc okazało się, że cały pogrzeb na nic.

Praktycznie wszyscy mówili, że te sanepidowe sankcje nie miały legalnych podstaw prawnych, teraz te opinie usankcjonowały sądy, i to w całej rozciągłości. Okazuje się, że brak praworządności ma w Polsce miejsce i nie jest to ta praworządność, o którą tak gorliwie upomina się Unia ręką w rękę z opozycją. Sądy praktycznie wszędzie orzekały tak samo na korzyść pokrzywdzonych. To jednak działania wstecz, bo w trakcie tego proceduru nic nie powstrzymywało władzy od nielegalnych działań.

Jest to kolejny dowód na erozję prawa, w dodatku dochodzi do tego upadek wizerunku policji, która zżawo takie nielegalne działania prowadziła. Pytanie: Co teraz? Po pierwsze, kto za to zapłaci? Sanepid nakładający kary i ściągający je przez

komorników? Policja, która szarpała się z gośćmi w knajpach? Sejm, który praktycznie w całości zainicjował te działania, obchodząc konstytucyjne mechanizmy hamujące zapędy władz, a zapisane w ustrojowych regułach stanów nadzwyczajnych?

No, jeżeli ktoś zapłaci jakieś odszkodowania, to jedno jest pewne – za swe błędy urzędnicy zapłacą naszymi pieniędzmi. Ale ile zapłacą? Jak wycenić tysiące zamkniętych zakładów pracy, firm, restauracji, siłowni? Utratę często dorobku całego życia całych rodzin? Ile to może być warte?

Można to wycenić – mamy przecież metodykę wyceny krzywd ludzkich przeprowadzoną w ramach niemieckich reparacji. Skoro wiadomo, że państwo dało do wiwatu, skoro wiadomo, kto to egzekwował, to kwestia próby naprawy tego będzie egzaminem dla prawa i sprawiedliwości. Nie w sensie partyjnym, ale państwa jako takiego. Pokaże, czy mamy już nie tyle prawo, ile sprawiedliwość.

Na razie wygląda to kiepsko. Właściciel wielokrotnie zamykanego przez sanepid baru PiwPaw właśnie wygrał sprawę. Dostał... 697 zł. Pan Michał Maciąg poszedł na wojnę z sanepidem i walczył, próbując obejść idiotyczne zakazy. Lokal jest zamknięty do chwili obecnej. Dziś wygrał – z własną głową pod pachą. ©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Nauka czy szkoła iluzji?

Nowy rok szkolny w jednym z warszawskich liceów. W pierwszej klasie, gdzie większość uczniów się nie znała, wychowawczynie poprosiła, aby dzieci napisały na kartkach swoje imiona w takiej formie, jak oczekują, aby się do nich zwracano. Jedna z uczennic, która w dzienniku figuruje pod imieniem Pola, zażądała, by mówić na nią Pole. Czternastolatka oświadczyła, że jest innego rodzaju: reprezentuje inną płęć.

Pani pokiwała głową i podporządkowała się oczekiwaniom dziewczynki. W tej samej klasie inna panienka, jakby chciała podkreślić właśnie swoją kobiecość, przychodziła do klasy w samym staniku. W innym liceum pierwszego dnia okazało się, że w klasie na 21 dziewcząt przypada tylko jeden chłopiec. Ale po dwóch godzinach okazało się, że jest jednak dwóch chłopców – ten drugi jest dziewczynką, która sądownie zmieniła imię na męskie. Po kilku dniach okazało się, że kolejne dwie dziewczynki, choć nie mają nadanego sądownie męskiego imienia, odkryły w sobie męską naturę i zadeklarowały, że też są chłopcami. Uporczywie domagają się, aby zwracać się do nich męskimi imionami. W obu tych klasach nauczyciele zachowują się tak, jakby tych dzieci się bali. Respektują dziwactwo i unikają konfrontacji. Wiem tylko, że na pierwszym zebraniu rodziców wychowawczynie i pani dyrektor poprosiły, żeby po zebraniu kilkoro rodziców pozostało

na indywidualne rozmowy. Jak się sprawy potoczą, nie wiemy. Ale to, jak w obu klasach nauczyciele zareagowali na fanaberie dzieciaków, jest groźnym sygnałem.

Szaleństwa genderowych płci kulturowych, zaburzonych tożsamości płciowych, niebinarności docierają do Polski. Dotyczą tak jak tam prawie wyłącznie nastoletnich dziewcząt. Lawinowy wzrost takich przypadków uczciwi lekarze porównują z anoreksją. Jednak w sytuacji anoreksji psychiatria, psychologia i medycyna przyszły z pomocą. Traktowano to jako zaburzenie i nie próbowano naginać rzeczywistości do zaburzonej osobowości. Jesteśmy w tym dobrym położeniu, że możemy obserwować, jakie spustoszenia zostały dokonane w krajach Zachodu. Możemy wyciągnąć z tego wnioski, by ustrzec dzieci przed nieszczęściem.

Jest już coraz więcej raportów, filmów dokumentalnych (świetny „What Is a Woman”), materiałów, opisów spraw sądowych, które pokazują, jak okaleczone w klinikach kobiety po zmianie płci – atrapy mężczyzn – po latach wytaczają procesy o odszkodowania klinikom, chirurgom i tym, którzy przyłożyli rękę do ich unieszczęśliwienia. Problemem jest, czy resorty edukacji i zdrowia wykażą się wystarczającą odwagą, by normalnym nauczycielom okazać wsparcie, a ideologicznie zaczadzanym pedagogom uniemożliwić kibicowanie młodzieńczym fanaberiom. ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Hurtowo a detalicznie

Z cyklu: polityczni wizjonerzy. Stop. Media tendencyjnie przypomniły wizję wielkiego polskiego polityka Radosława Sikorskiego. Stop. Dwa lata temu wizjoner tenże rzekł: „Rosja nie jest naszym wrogiem, a Putin to nie Stalin, jeśli morduje, to detalicznie, a nie hurtowo”. Stop. Dwa lata temu. Stop. Ani wtedy, ani dziś nie uściślił, czy chciałby być ewentualnie zamordowany detalicznie czy hurtowo. Stop.

Czasy coraz dziwniejsze. Stop. Na portalu Tvp.info umieszczono wstrząsającą informację. Stop. „Poczdam. Napastnik znieważył rabina. Krzyczał: »Żyd!«”. Stop. Czasy coraz dziwniejsze, aż strach zadawać pytania. Stop. Czy nazywanie Żyda Żydem to już zniewaga? Stop. W razie nieprzyjemności zeznam, że ten akapit ktoś mi z redakcji dopisał. Stop.

„Gazeta Wyborcza” nie przestaje szokować wstrząsająco wręcz. Stop. Tkwiłiśmy wszyscy w mylnym błędzie, że przekop Mierzei Wiślanej zwiększy bezpieczeństwo Polski. Stop. Tymczasem „Wyborcza” ustami płk. Czesława Juźwika wyjaśniła: „Jest wręcz odwrotnie. Stworzyliśmy infrastrukturę, której musimy dodatkowo bronić. A kumulowanie jakichkolwiek statków czy okrętów na zalewie byłoby prośzeniem się o Pearl Harbor. Dla obronności Polski większy sens miałyby zasypanie tego kanału”. Stop. Internauci szybko wyjaśnili, że Juźwik to oficer związanych z komunistyczną Moskwą

Wojskowych Służb Informacyjnych. Stop. „Wyborcza” Kiszczaka raczej nie zapyta. Stop. Chociaż przypomnijmy, że ta gazeta przeprowadziła z ks. Tischnerem wywiad kilkanaście lat po jego śmierci. Stop. Więc do końca nie wiadomo. Stop.

„Deutsche Welle” podało następującą informację. Stop. Teraz uwaga: „Niemieckie krematoria chcą oszczędzać gaz”. Stop. Za mocne. Stop. Zdymisjonowano wiceministra rolnictwa Norberta Kaczmarczyka. Stop. To ten od hucznego wesela i wypasionego traktora, który dostał, czyli nie dostał. Stop. Małżeństwo to nieszczęście. Stop. Nieszczęście. Stop. Idzie ku gorszemu. Stop. Radio Poznań poinformowało, że wzrosną opłaty za pobyt w izbie wytrzeźwień. Stop. Już teraz jednorazowy pobyt to prawie 350 zł. Stop. Rekordzista przenocował tu od początku roku prawie 100 razy. Stop. Podwyżki? Izbo, pozwól żyć! Stop.

Postępowe media podały z zachwytem, że 50-letnia Gweneth Lee chlubi się kontrowersyjnym rekordem. Stop. Twierdzi, że przespała się z tysiącem żonatych mężczyzn i jest „profesjonalną kochanką”. Stop. Cytat z Bogusia Lindy mi się przypomni: „Żyjemy w czasach, w których k...stwo wzbudza zachwyt, a cnota śmieszność”. Stop. Partia Razem ogłosiła, że potrzebuje pieniędzy, i urzęda zbiorę. Stop. Definicja Lewicy: „Potrzebujemy twoich pieniędzy”. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Skończony jak Tusk

Małgośka – mówią mi – nie ma okrutniejszego słowa niż powiedzieć o artyście, że się skończył. Albo o polityku! – dodają. Niestety, dla wielu gapowatych Polaków nawet skończony Tusk się nie skończył. Szczepkowska też obiecywała, że „komunizm się skończył”, a jakoś wciąż musimy patrzeć na Cimoszewicza et consortes. Hołownia się skończył, z nim na dobre się zaczął, ale widocznie Polacy potrzebują więcej czasu, aby się o tym przekonać.

Trochę to niepojęte, że rodacy tak potulnie godzą się na ten marsz lewicy przez instytucje i głowy obywateli. A mieszkając w Warszawie, w dobrej dzielnicy, terror postępu jest nadto odczuwalny. Niby już w przedszkolu przekonałam się boleśnie, że większość woli stadne zachowania, ale nie przestanie mnie dziwić uległość ludzi mających się zresztą za wielkich oryginałów. Nie ukrywam, że mam czarną listę twórców, których przyłapując na lewactwie high level – od razu się pozbywam. Na przykład pisarzy, którzy mi podpadli, wyrzucam do książkomatu. Myślę czasem o minach zdziwionych bibliotekarek, które znajdują w pudle graty z mojej prywatnej biblioteczki. Owszem, przyznaję, jednego literata wrzuciłam w afekcie do kosza na psie odchody, ale uwierzcie, że zasłużył po tym, co opublikował

w czasie Strajku Kobiet (tym bardziej że to były książki z odręcznie wypisaną dedykacją dla mnie!).

Mogłabym powtórzyć za pewną noblessą, że także moja biblioteczka „nie jest dla idiotów”. Nie, wcale się nie mszczę. Po prostu w moim salonie wisi replika słynnej tablicy z Biblioteki Historycznej Uniwersytetu w Salamance, która groziła ekskomuniką wszystkim, którzy poważiliby się zniszczyć lub ukraść książkę. Ja zaś nie mam litości dla autorów, którzy kradną mi spokój. To taki mój prywatny trybunał inkwizycji. A jakże – stać mnie!

Podobno można już włączyć telewizor bez strachu, że Zenek wyskoczy lub materiał z sylwestra powtórzą, ale obawy mi pozostały. W telewizji grasuje wielu celebrytów i ekspertów, a przecież nie mogą wciąż uzupełniać mojej czarnej listy. Trudno ich też wyrzucić do książkomatu. Mówią, że „to Kaczyński nas podzielił”. Brednia! Świat od zawsze się dzielił na ludzi przyzwyczajonych i idiotów, ideowców i sprzedawczyków. Nie, nie mam certyfikatu doskonałej obywatelki, ale wierzę, że wystarczą kamienne tablice Mojżesza, ta pierwsza próba trzymania w ryzach natury ludzkiej i ustanowienia dobra wspólnego, aby kraj się rozwijał. Skoro dla wielu polityków i artystów data ważności kamiennych tablic już się skończyła – to oni skończyli się dla mnie! ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Serce w rozterce

Trudno wyliczyć wszystkie błędy, bezzasadne zarzuty i złośliwości popełnione przez Andrzeja Dobosza w jednym z ostatnich odcinków telewizyjnego cyklu „Z pamięci” o pisarce Zofii Bystrzyckiej. Nie oszczędził nawet jej rzekomo piskliwego głosu i zbyt częstej zmiany koloru włosów. Zarzucił jej też, że w 1940 r., wywieziona po sowieckiej agresji do Kazachstanu, radziła sobie i tam, wstępując do armii Berlinga i szkoły oficerów w Moskwie, zostając dzięki temu porucznikiem. Do Moskwy wysłano ją jednak rozkazem dowództwa, nie miała nic do gadania i nie myślała o żadnych awansach; jak większość ochotników do armii – zesłańców w łachmanach – chciała wyjść z nieludzkiej ziemi, choćby i z diabłem, nie umrzeć z głodu, jak wywiezione razem z nią jej matka i babcia, pochowane w kazachskim stepie. Jej brat Przemysław, przyszły pisarz, zdołał przedrzeć się do Andersa. Jej się nie udało. Armia Berlinga była więc jedyną szansą ocalenia.

Kolejnymi jej grzechami były według Dobosza małżeństwo z reżimowcem Putramentem i pełniona razem z nim misja dyplomatyczna w Bernie i Paryżu. Nie dodał, że związała się z nim jeszcze u Berlinga, chroniąc się przed obecnymi także tam gwałtami wyposzczonych i pijanych często „kolegów”, na które narażone były młode i ładne żołnierki. Za rolę ambasadorowej poskąpił jej Andrzej Dobosz słowa uznania, choć na tle ówczesnej prostackiej dyplomacji znakomicie Polskę reprezentowała. „Była très chic. Ubierała się w najlepsze paryskie suknie” – pisał o niej Miłosz w swoim „Zniewolonym umyśle”, w rozdziale o Putramencie.

Rozmawiała biegle po francusku, którego uczyła się w swoim zamożnym i kulturalnym domu oraz w gimnazjum. I to nie Putra-

ment się z nią rozwiódł, jak twierdził Dobosz, to ona miała dość jego głośnych, upokarzających ją zdrad, seksualnych skandali – powodów odwołania go z dyplomacji i odesłania do Polski, gdzie jako pan na literackim folwarku, jak o nim mówiono, też na wiele sobie pozwalał.

Nieprawdą jest też, jakoby „jako Putramentowa zachowała wszystkie przywileje”. Nie używała nigdy jego nazwiska, a ponieważ rozstali się i pozostawiali w nienawiści, na nic liczyć nie mogła i nie chciała. Wbrew sugestiom Dobosza literacką karierę zawdzięczała sobie. „Udzielała się w prasie kobiecej” – kontynuował Dobosz, choć od 1957 r. była założycielką i wieloletnią naczelną „Zwierciadła”, odwilżowego tygodnika dla kobiet z wyższym wykształceniem. Jak na zgrzebny PRL, był on pismem luksusowym, na niezłym papierze, niemal bez „ideolo”, za to pełnym kultury, kulinariów, mody, o której pisała jako „kuzynka Bietka”.

Przez 25 lat prowadziła też wymyśloną przez siebie rubrykę „Serce w rozterce”, wielki sukces pisma – jako pierwsze w historii prasy polskiej zamieszczało listy czytelniczek, dotyczące ich spraw sercowych, na które odpowiadała. Na jakiej podstawie Andrzej Dobosz twierdzi, że sama je pisała?

Zdezawuował też jej książki. „Dekorowały półki bibliotek powiatowych i gminnych” – wyzłośliwiał się Dobosz, choć była jedną z najbardziej popularnych i lubianych pisarek PRL, pierwszą przedstawicielką literatury kobiecej, autorką kilkunastu książek psychologiczno-obyczajowych, wielokrotnie wznawianych (np. „Samotność” – ośmiokrotnie). Jej „Kontuzja” o nowotworowym temacie choroby nowotworowej nagrodzona została w 1977 r. przez ministra kultury i sztuki.

Dobosz wypominał jej też wielkie „przestępstwo”, którym były

teksty piosenek na Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, pisane razem z płk. Przymanowskim. Mnie jednak mówiła, że zakochany w niej Przymanowski dopisywał tylko jej nazwisko, żeby sobie trochę zarobiła. Jak było naprawdę, nie wiadomo. Nie brakowało na festiwalu piosenek propagandowych, o przyjaźni polsko-sowieckiej, ale w piętnowanym przez Dobosza utworze „Jednak piechota szła” niczego takiego nie ma, to po prostu piosenka o wojsku, którą śpiewał niezapomniany Mieczysław Świącicki.

Należała rzeczywiście do partii, ale był to obowiązek wszystkich naczelnich. W stanie wojennym wstąpiła do PRON, natychmiast ją jednak stamtąd za „krytykanctwo” wyrzucono, o czym Dobosz już nie wspomina. Wyśmiewając jej krzykliwy sposób ubierania się, za wzór powściągliwej elegancji uznał poetę i eseistę Zbigniewa Bieńkowskiego. Ten porzucał jednak dla młodszych swoje kolejne żony oraz dzieci i nie płacił alimentów, ukrywał zarobki, pisując pod pseudonimami, a żaden alimentarz nie może być wzorem elegancji.

„Jest kompletnie zapomniana” – cieszył się wyraźnie Andrzej Dobosz, kończąc swój odcinek. Pamięć Zofii jest jednak szczególnie żywa w Przemyślu, skąd pochodziła – w przekazanej przez nią państwu pięknej rodzinnej willi znajduje się dziś muzeum miasta, z salą poświęconą Bystrzyckim – burmistrzom, którymi byli jej ojciec i dziadek, literatom – Zofii oraz Przemysławowi, historii ich zesłania. Świetnie ma się też jej dziecko „Zwierciadło”. Jako jedno z nielicznych pism przetrwało transformację i jest obecnie miesięcznikiem. Nadal czytane jest „Serce w rozterce” – książkowy wybór najciekawszych listów, a powieści czytane są już głównie przez starsze czytelniczki. ©©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Macho to nie jest złe słowo. Ono znaczy „męski”, a „męski” znaczy męczyzna, mąż, wojownik, waleczny, honorowy, twardy (gdy trzeba – obroni, postawi się) – czyli normalny FACET; skała, na której może polegać kobieta.

Postawy męskie są w zaniżeniu. Siłą przewodnią narodu są ciepłe serdelki, tłuszczochy załagające na kanapach i sofach. Podniecają się najbardziej, gdy im pilot do telewizora zginie między poduchami – to ich uruchamia do akcji.

Mój Stryj miał imieniny. Facet starej daty; niezsututy. Patriarcha rodu. Potrafi żrugać, ale nie wyżywa się na nikim. Gdy ruga, wiesz, że jest sprawiedliwy, ma mocne powody do rugania, a potem weźmie cię na przyjazną rozmowę, bo ruganie miało coś zatrzymać, a rozmowa ma cię dodatkowo nakierować w dobrą stronę.

Z okazji imienin poszedłem do niego pogadać – zawsze uśmieję się więcej niż ludzie na moich występach i dowiem więcej mądrego niż gdziekolwiek indziej. Stryj był miły, mądry i wesoły.

– Nie rugasz za nic? We wnętrzu prąd ci wysiadł? – pytam.

– W tym roku nie mam cię za co rugać, ale poczekamy i na pewno nabroisz. Taki już twój los, że ciągle broisz.

– Facet musi broić, bo inaczej jest z niego baba.

– Prawda.

Zrobił mi kaszanke z majerankiem na smalcu, czyli „po staremu”. W trakcie smażenia pyta, czemu ja do niego z życzeniami przychodzę zawsze o złej porze roku? – O złej? – pytam. Stryj na to, że jego patronem jest św. Andrzej Bobola, z którego Ukraińcy żywcem darli skórę, przypalali go ogniem, obcięli



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

mu nos i wargi, a przez dziurę wyciętą w karku wyciągnęli język i oberznięli, bo nie chciał wyrzec się wiary, a ja zawsze przychodzę z życzeniami na innego Andrzeja.

– Czemu nic nie mówiłeś?

– Przynosisz mi nielegalne cygara, to nie chciałem sobie psuć okazji.

(Stryjowi nikt inny cygar nie nosi, bo mu od dawna nie wolno palić. Ja przynoszę, bo jest dorosły i sam wie najlepiej, co powinien, a co mu nie służy. W życiu poza zdrowiem są ważniejsze wartości).

Stryj urodził się w trakcie drugiej wojny światowej i miał dostać imię Antoni, ale proboszcz odmówił STANOWCZO. Wtedy proboszcze byli macho. Powiedział, że Antoni Padewski to Włoch, a Włosi to faszyści w spółce z Niemcami i on w czasie wojny nie ochrzci pod włoskim imieniem, o szkopskim nie wspominając. Wtedy mocno lansowano w Polsce św. Andrzeja Bobolę jako trzeciego patrona Polski, więc proboszcz zaproponował i tak zostało.

Po wojnie przez wiele lat mieliśmy proboszcza, który niczego nie proponował na podmiankę. Gdy rodzice mieli fanaberie na niekatolickie imiona, po prostu chrzcili po swojemu, a po chrzcie nie było już tego jak cofnąć. Dawał rodzicom JEDNĄ szansę – po usłyszeniu dziwnego imienia pytał podniesionym głosem: „JAKIE IMIĘ?”.

Jeżeli rodzice byli na tyle głupi, by się nie zorientować, i powtarzali to, co za pierwszym razem, dostawali „za karę” standardową Marysię albo Józefa. Proboszcz twierdził, że niekatolickich imion nie słucha, więc daje pierwsze z brzegu katolickie. Był macho. Rolą księ-

dza nie jest bycie miłym – ma dbać o zbawienie twojej duszy, czyli rugać, gdy trzeba.

Kumpel napisał mi, że jego synowa wybrała szkołę dla wnuków, ale nie ma tam lekcji religii. Zadzwonił do tej szkoły i mu powiedzieli: „Religia? Nie! Tu czegoś takiego nie ma”. Prosił mnie, żeby się modlić o męską postawę dla syna, bo ten nie potrafi się przeciwstawić żonie.

Zacząłem myśleć, który święty jest patronem od męskości, i wyszło mi, że archanioł Michał oraz... św. Joanna d'Arc, która z braku męskich postaw u mężczyzn sama musiała założyć broń i prowadzić do walki. A od religii i rugania doskonałym patronem jest Proboszcz z Ars (św. Jan Maria Vianney), który rugał równo, odmawiał rozgrzeszenia, gdy nie widział żalu za grzechy, umiał nawrzeszczać na pijaków w karczmie, że Bóg czeka na nich samotnie w kościele, podczas gdy oni tu chłają.

Kumplowi poradziłem, by wziął syna na dywan i na niego nakrzyczał. Niekoniecznie w decybelach, ale w pryncypialnej twardości – jako głowa rodziny, czyli patriarcha, jak ze Starego Testamentu, a oni się nie patyczkowali w słowach – wydawali rozkazy.

Facet, który się boi własnej żony, to zjawisko powszechne, niestety. Na strachu nie da się budować, można tylko rozwalać. Ani ona nie powinna się bać jego, ani on jej. Ktoś w rodzinie musi być mężczyzną i często zostaje nim baba, bo to ona najbardziej potrzebuje męczyzny w domu, skały oparcia, konkretnych decyzji. Gdy chłop ich nie podejmuje, baba przejmuje rolę decydenta w spra-

wach męskich. One muszą być załatwione, ich załatwienie daje poczucie bezpieczeństwa. Chłop go nie daje, to se sama muszę załatwić, bo inaczej nikt nie załatwi.

Gdy moja siostra szła do zakonu, nasz ojciec powiedział jej tak: „Stracisz powołanie, jeżeli w pewnym momencie z roli siostry nie wejdiesz w rolę matki (zakonnej)”.

Księża podobnie – tracą powołanie, jeżeli nie wejdą w rolę ojca. Ojca parafii, wspólnoty.

I na identycznej zasadzie facet przegra małżeństwo, jeżeli nie wejdzie w rolę ojca i męża – tatusiem bywa się o pewnych porach dnia, a ojcem i mężem stale.

Zanik męskich postaw powoduje, że w korporacjach szefami są chłystki. Ktoś taki potrafi jedynie besztać, ale nie potrafi nikogo poprowadzić. Od współczesnego szefa nie wymagają prowadzenia – ma wykonać procedurę, czyli zaganiać ludzi do szablonu. A dobry szef powinien być jak ojciec rodu, nie jak karbowy.

Tak samo na poziomie państwa. Józef Piłsudski był ojcem niepodległości i ojcem narodu. Mówili o nim „Dziadek” z miłością. Potrafił rugać. O Bidenie mówią „dziadek” z litością. Potrafi krzyczeć i walić pięścią.

W polskiej polityce brak męskiej opcji – partie serdelkowe, a to oznacza państwo bez ojca. W Unii Europejskiej i w NATO też brak ojców. Zarządzają nami międzynarodowe kluby chłystków, które każą wykonywać procedury – zaganiają ludzi do szablonu.

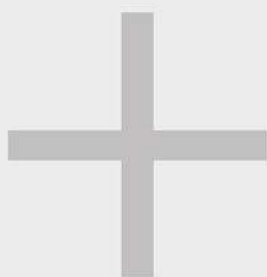
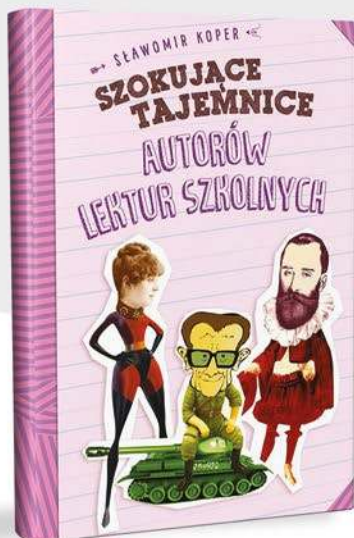
Proste pytanie nad urną wyborczą jest takie: Komu z nich dałbyś się DOBROWOLNIE poprowadzić? Nikomu z obecnych, prawda? No to trzeba się modlić do Michała, Joanny i do Proboszcza z Ars, żeby kogoś podesłali. Kogoś takiego, za kim dobrowolnie pójdziesz w ogień. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~599~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**SŁAWOMIR KOPER
„SZOKUJĄCE Tajemnice
AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

230,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 369 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl ad6fdee2f1



ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

